

Spis treści

Odnaczenia	11
MAREK MICHALIK	
Wspomnienia Zbigniewa Zakrzewskiego z września 1939 roku.	24
TADEUSZ STAŃSKI	
Wspomnienia (1978–1979)	49
ANTONI ANUSZ	
Józef Piłsudski	64
MAREK CHLEBUŚ	
Rejs	81
WOJCIECH BŁASIAK	
Projekt strategii.	94
ADAM OŚTOJA-OWSIANY	
Wspomnienia z Kresów (Tatiana), (Noc z wojny)	103
Relacja z Konferencji „Powtórka z Historii Federacji Młodzieży Walczącej”	165

Szanowni Państwo Czytelnicy!

5 sierpnia 2015 roku Leszek Moczulski za swoją działalność został uhonorowany. Prezydent RP Bronisław Komorowski odznaczył go Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Robert Leszek Moczulski urodził się 7 czerwca 1930 w Warszawie.

W 1945 jego rodzina przeniosła się z Warszawy do Sopotu. W latach 1946–1947 uczestniczył w konspiracji szkolnej w Sopocie (ktoś z jego grupy miał nawet kontakt z „Łupaszka”).

Po powrocie do Warszawy w 1948 i podjęciu studiów na Uniwersytecie Warszawskim wstąpił do PPR (potem PZPR), skąd został w 1949 usunięty za „odchYLENIA prawicowo-nacjonalistyczne”.

W 1952 ukończył studia prawnicze, a w 1958 historyczne na Uniwersytecie Warszawskim.

Od początku lat 50. pracował jako

dziennikarz (praktyka w „Trybunie Ludu”, potem m.in. „Życie Warszawy” i „Dziś i Jutro”).

Po raz pierwszy aresztowano go (na 6 miesięcy) w 1957 pod zarzutem szkalowania władz PRL w prasie zagranicznej, w 1958 został jednak uniewinniony przez sąd.

Przez parę lat był objęty zakazem wykonywania pracy dziennikarskiej (publikował wówczas pod pseudonimami, współpracował z miesięcznikiem „Więź”). W tym czasie nawiązał kontakt z osobami z przedwojennego środowiska oficerskiego, dołączając do konspiracji piśmicykowskiej

funkcjonującej pod nazwą nurt niepodległościowy - nn (na jej czele stał generał Roman Abraham). Dzięki pomocy gen. Abrahama w 1961 rozpoczął pracę w tygodniku „Stolica”, w którym kierował działem historycznym (do 1977). W tym czasie opublikował kilka książek historycznych, m.in. *Miecz Nibelungów. Zarys historii armii pruskiej i niemieckiej*

1618–1967 (1968), *Dylematy. Wstęp do historii Europy Zachodniej 1945–1970* (1971) oraz najbardziej znaną – wycofaną później z bibliotek przez władze – *Wojnę Polską 1939*, w której m.in. bronił polityki zagranicznej Józefa Becka oraz przedstawił przebieg kampanii wrześniowej, formułując tezę o kluczowym znaczeniu dla jej wyniku agresji sowieckiej 17 września.

W 1972 roku poślubił Marię Moskiewicz, która przez kilkadziesiąt kolejnych lat wspierała jego działalność polityczną.

W pierwszej połowie lat 70. rozpoczął półjawną działalność opozycyjną (11 listopada 1973 wygłosił wykład dla kilkudziesięciu osób w Poznaniu – *Obowiązek naszego pokolenia* - jednoznacznie formułując postulat podjęcia działań na rzecz odzyskania niepodległości przez Polskę).

Równocześnie kierował konspiracyjnym Konwentem nn (z udziałem Restyuta Staniewicza, Romualda Szeremietiewa, Andrzeja Szomańskiego i Ryszarda Zielińskiego), którego celem było zbudowanie jawnej partii niepodległościowej. Na przełomie 1974 i 1975 nawiązał kontakt z Andrzejem Czumań i w 1975 oba środowiska utworzyły konspiracyjny

Nurt Niepodległościowy - NN (tzw. „techniczny NN”), którego program wyrażała deklaracja *U Progu* z przełomu 1975 i 1976. Sam Moczulski był autorem *Programu 44*, który ogłoszono 6 sierpnia 1976 a 21 grudnia 1976 napisał *Memoriał* do władz PRL, w którym m.in. postulował, aby komuniści i opozycja wyrzekły się stosowania siły w walce politycznej.

17 grudnia 1976 został zatrzymany przez SB i poddany trzynastogodzinnej próbie przesłuchania w Pałacu Mostowskich. W następstwie tego wydarzenia od stycznia do marca 1977 trwały jego nieformalne przesłuchania przez pułkownika Maję (naczelnika Wydziału III KSMO) w warszawskiej kawiarni. Równocześnie w imieniu NN prowadził rozmowy z KOR w sprawie wspólnej inicjatywy politycznej, mającej na celu obronę praw człowieka.

26 marca 1977 w mieszkaniu Antoniego Pajdaka, Leszek Moczulski, Adam Wojciechowski i Emil Morgiewicz ogłosili powstanie Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którego Leszek Moczulski został rzecznikiem (obok Andrzeja Czumań). W kwietniu tego samego roku wszedł w skład redakcji nowo powstałego periodyku ROPCiO, pisma *Opinia* (nazwisko Moczulskie-

go i innych członków redakcji oraz jej adres były podane w redakcyjnej stopce). W związku z konfliktem z Czumą w czerwcu 1978 grupa skupiona wokół Moczulskiego zaczęła wydawać drugoobiegowe czasopismo *Droga*.

W siódmym numerze *Drogi* z czerwca 1979 Leszek Moczulski opublikował tekst *Rewolucja bez rewolucji*, stanowiący manifest programowy kształtującej się wówczas nowej organizacji. Nazywał w nim PRL „formą władztwa radzieckiego nad Polską”, postulując stopniową budowę „Trzeciej Rzeczypospolitej” na drodze pokojowej. Odzyskanie niepodległości miało nastąpić - według tej koncepcji - wskutek przejęcia władzy przez niezależny od władz system polityczny, którego elementami miały być tworzone spontanicznie przez społeczeństwo, współpracujące ze sobą organizacje.

We wrześniu 1979 roku założył jawną partię polityczną - Konfederację Polski Niepodległej, którą kierował w okresie PRL i następnie w III RP przez ponad 20 lat.

Wiosną 1980 KPN przedstawiła *Platformę Wyborczą* oraz bezskutecznie usiłowała zarejestrować 8 kandydatów w wyborach do sejmiku PRL (jednym z nich miał być Moczulski).

26 lipca 1980 pierwszy kongres KPN w Łądku Zdroju (który został przezwany przez milicję i SB a jego obrady dokonano w milicyjnym areszcie) wybrał formalnie Moczulskiego na Przewodniczącą Rady Politycznej KPN.

Po długiej rozmowie z Lechem Wałęsą w Gdańsku Moczulski napisał 5 sierpnia 1980 (wydaną w ciągu kilku dni) broszurę *Walka strajkowa w Polsce. Lipcowe strajki 1980*, w której postulował, aby robotnicy - inaczej niż w Grudniu 1970 - podjęli strajki okupacyjne w swoich zakładach pracy, domagając się utworzenia wolnych związków zawodowych.

20 sierpnia 1980 został tymczasowo aresztowany, zwolniono go 1 września 1980 po podpisaniu Porozumień Sierpniowych (przewidyujących uwolnienie wszystkich więźniów politycznych). Już 23 września 1980 został ponownie aresztowany

- pretekstem był jego wywiad dla *Der Spiegel*, który ukazał się 15 września 1980 pod tytułem *Sowieci powinni ustąpić*. Od tego czasu przebywał w więzieniu (z kilkoma przerwami) do czasu ogłoszenia amnestii w lipcu 1986 roku.

Do stycznia 1981 do więzień trafiło kilku kolejnych działaczy KPN

(w tym Tadeusz Jandziszak, Tadeusz Stański i Romuald Szeremietew). W ich obronie od wiosny 1981 spontanicznie tworzono w całym kraju Komitety Obrony Więzionych za Przekonania. Akcje KOW za pomocą oraz interwencja Prymasa Wyszyńskiego spowodowały zwolnienie Moczulskiego i innych liderów KPN 6 czerwca 1981 roku. Ich ponownego aresztowania domagał się osobiście Leonid Breżniew w czasie rozmów ze Stanisławem Kanią w połowie czerwca i na początku lipca 1981. 9 lipca Moczulski, Jandziszak, Stański i Szeremietew ponownie trafili do więzienia. W okresie 6 tygodni pobytu na wolności Moczulski opracował (wydany we wrześniu 1981 roku) Plan stabilizacji gospodarczej, przedstawiający zarys niezbędnych reform ekonomicznych w kraju.

Tymczasem 15 czerwca 1981 rozpoczął się tzw. pierwszy proces KPN, początkowo przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie, a po wprowadzeniu stanu wojennego przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Moczulski w lutym 1982 w więzieniu mokotowskim napisał drugi *Memoariat* do władz PRL oraz *List do Prymasa Józefa Glempa*, w których opowiedział się za powrotem do pokojowych

metod walki politycznej w kraju, bez używania przemocy. Wyrokiem z 8 października 1982 roku przywódcy KPN zostali skazani. Leszek Moczulski otrzymał karę 7 lat pozbawienia wolności za to, że „...działając w celu obalenia przemocą ustroju PRL, osłabienia kraju przez zerwanie jedności sojuszniczej z ZSRR, podjął czynności przygotowawcze do osiągnięcia tego celu przez utworzenie nielegalnego związku pod nazwą Konfederacja Polski Niepodległej...”.

Przywódcy KPN odbywali karę, w bardzo ciężkich warunkach, w zakładzie karnym w Barczewie. Zostali zwolnieni na mocy amnestii latem 1984 roku. W Barczewie Moczulski opracował obszerną analizę sytuacji politycznej w kraju wydaną w 1984 pod tytułem *Sytuacja* oraz sporządził obszerny zarys ustroju niepodległej

Polski - *Trzecia Rzeczpospolita*. Po zwolnieniu kontynuował działalność opozycyjną i przystąpił do reaktywacji struktur ogólnopolskich KPN. W tekście *Trzy horyzonty* zaktualizował program KPN do nowej sytuacji politycznej zaś w analizach dotyczących międzynarodowego położenia Polski (które wydano w 1985 w jednym tomie pod nazwą *Geopolityka*) przekonywał, że sytuacja geopolitycz-

na sprzyja odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Na drugim kongresie (22 grudnia 1984 roku w Warszawie) został ponownie wybrany na Przewodniczącego Rady Politycznej.

Już 9 marca 1985 ponownie go aresztowano (wraz z innymi członkami Rady Politycznej), a 22 kwietnia 1986 skazano na karę 4 lat pozbawienia wolności w tzw. drugim procesie kierownictwa KPN (nieco niższe wyroki dostali: Andrzej Szomański, Krzysztof Król, Adam Słomka i Dariusz Wójcik).

Zwolniono ich na mocy kolejnej amnestii we wrześniu 1986. W pierwszym wywiadzie po wyjściu na wolność (który ukazał się pod tytułem *Porozumienie jest formą walki*) opowiedział się za porozumieniem władzy z opozycją, które będzie etapem na drodze do pokojowego odzyskania niepodległości przez Polskę.

Po interwencji brytyjskich parlamentarzystów w Warszawie Leszek Moczulski dostał paszport celem leczenia za granicą. W pierwszej połowie 1987 roku przebywał w Wielkiej Brytanii, Francji, USA i Kanadzie. Spotkał się m.in. z wiceprezydentem USA George'em Bushem, innymi politykami i środowiskami polonijnymi. Wygłosił wykłady na kilku

uczelniach, a „The Washington Post” wydrukował jego artykuł.

Po powrocie do kraju prowadził jawną działalność niepodległościową. Jesienią 1987 roku w wywiadzie za tytułowanym *Krajobraz przed bitwą* polemizował z tezą Jacka Kuronia (*Krajobraz po bitwie*), wedle której nastroje społeczne w Polsce są kapitulankie a powrót „Solidarności” jest niemożliwy. Moczulski przekonywał, że jest odwrotnie, że „Solidarność” wkrótce zostanie zalegalizowana i że będzie to ważny krok w kierunku odzyskania niepodległości przez Polskę.

Nie wziął udziału w rozmowach Okrągłego Stołu. Pozostał krytyczny do poczynionych tam ustaleń. Skończył jednak z ustaleń przy Okrągłym Stole i wziął udział w wyborach kontraktowych, ubiegając się w Krakowie - bez powodzenia - o mandat do Sejmu.

W 1990 wystartował - także bez sukcesu - w wyborach prezydenckich, ale był jednym z sześciu kandydatów, którzy zdołali zebrać wymagane 100 tysięcy podpisów poparcia obywateli.

W 1991 roku wygrał wyrażnie wyścig o mandaty poselskie w Krakowie, zdobywając największą liczbę głosów spośród kandydatów wszystkich partii.

W latach 1991–1997 sprawował mandat posła na Sejm I i II kadencji. Pierwszą inicjatywą klubu parlamentarnego KPN było złożenie w Sejmie projektu *ustawy o Restytucji Niepodległości* przygotowanej przez Leszka Moczulskiego. Projekt przewidywał zerwanie ciągłości prawnej między III RP a PRL oraz rozliczenie przeszłości. Miał być powołany Najwyższy Trybunał Narodowy dla osądzenia komunistycznych zbrodni, a specjalna ustawa miała zagwarantować lustrację i dekomunizację. Projekt został odrzucony przez okrągłostołową większość. 1 lutego 1992 roku występując w Sejmie, rozwinął skrót PZPR jako Płatni Zdrajcy, Pacholki Rosji, zarzucając politykom SLD, że nie odcinają się od swej komunistycznej przeszłości.

W analizach politycznych z początku lat 90. (*Uprogu niepodległości, Trzy drogi oraz Demokracja przeciw demokracji*) przestrzegał przed groźbą postkomunizmu w Polsce, postulował przeprowadzenie głębokich reform ustrojowych i ponowne zdefiniowanie polskiej racji stanu. Podkreślał, że niepodległość nie jest celem samym w sobie, ale jedynie warunkiem koniecznym skutecznego rozwiązywania problemów gospodarczych i społecznych polskiego społeczeństwa.

W polityce zagranicznej postulował budowanie wspólnoty państw Międzymorza.

W 1994 roku wraz z frakcją parlamentarną KPN organizował pomoc dla Czeczenii, był współzałożycielem Czecheńskiego Ośrodka Informacyjnego.

Po 1997 wycofał się z czynnego życia politycznego.

W 1999 roku jako pierwsza osoba w kraju, złożył wniosek o autolustrację (trzeci już proces autolustracyjny trwa do dziś - poprzednie dwa procesy zakończyły się sprzecznymi wyrokami, które następnie zostawały uchylone).

Poparł przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. W roku 2004 wydał książkę *Europa Ojczyzn 2004*. Geopolityka, gospodarka, cywilizacja, w której przedstawił korzyści, jakie odniesie Polska z przystąpienia do UE.

W 2005 roku obronił na Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor w Puławach pracę doktorską pt. *Geopolityka. Dzieje myśli i stan obecny dyscypliny*, której promotorem był profesor Bronisław Geremek. Praca doktorska została oparta o publikację *Geopolityka. Potęga w czasie i przestrzeni*, stanowiącą podstawową

współczesną polską syntezę geopolityki, jako dyscypliny akademickiej. Habilitował się w 2009 roku (jego praca habilitacyjna ukazała się drukiem pt. *Narodziny Międzymorza*), w tym samym roku został honorowym prezesem Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego.

W roku 2001 opublikował książkę wspomnieniową *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości*, zaś w roku 2010 wydał monumentalne *Przerwane polskie powstanie 1914*.

Dzieło poświęcone jest akcji pierwszej Kompanii Kadrowej w sierpniu 1914 roku, pokazanej z dwóch per-

spektyw: młodych ludzi, którzy pod kierunkiem Józefa Piłsudskiego ruszyli w bój z największym zaborcą, oraz z perspektywy światowych mocarstw i ich planów u progu Wielkiej Wojny.

W latach 2014–2015 opublikował kilka analiz nt. sytuacji na Ukrainie, wskazując, że gospodarzem sytuacji w tym kraju jest naród, rzekoma potęga Rosji jest zwykłą wydmuszką a agresywna polityka Putina opiera się na fałszywych założeniach i skończy dla jego kraju katastrofą ekonomiczną.

Michał Janiszewski

HISTORIA NN



ODZNACZENIA DLA DZIAŁACZY NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W INSTYTUCIE PAMIĘCI NARODOWEJ

29 lipca 2015 roku, o godz. 14,00, w gościnnych progach Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej „Przystanek Historia” im. Janusza Kurtyki (ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa) odbyła się uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych 21 działaczom opozycji antykomunistycznej w PRL. Aktu dekoracji dokonali, Doradca Społeczny Prezydenta RP Krzysztof Król i Prezes IPN dr Łukasz Kamiński.

5. Grażyna Jarząb
6. Bogdan Maria Koźmiński
7. Elżbieta Małgorzata Król
8. Witold Kubiak
9. Krzysztof Laga
10. Krzysztof Mazur
11. Krzysztof Mętrak
12. Zygmunt Marek Miszczak
13. Maria Ludwika Moskowiicz-Moczulska
14. Janusz Moszpański
- 15. Łukasz Perzyna**
16. Jerzy Woźniak

Odznaczeni Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski

1. Danuta Czechmanowska
2. Jarosław Jerzy Miszczak
3. Zygmunt Marek Miszczak

Pośmiertnie:

1. Wiesława Janiszewska
2. Paweł Wielechowski

Biogramy odznaczonych;

Odznaczeni Krzyżem Wolności i Solidarności

1. Andrzej Anusz
2. Anna Anusz
3. Grzegorz Maciej Cygonik
4. Czesław Jakubowicz

Danuta Czechmanowska, złożyła przysięgę i została przyjęta w szeregi Konfederacji Polski Niepodległej w październiku 1985 roku. W latach 1982-1984 brała udział w akcjach

ulotkowych i kolportażu gazet, ulotek i książek. Uczestniczyła w akcjach protestacyjnych i malowania napisów na murach. Z KPN związana od lutego 1985 roku gdy była osobą wspierającą protest głodowy w Biezanowie. W latach 1985-88 brała czynny udział w różnych działaniach struktur KPN w Krakowie. Aktywnie uczestniczyła w organizacji protestów rocznicowych 3 maja, 11 listopada oraz rocznic i miesięcznic stanu wojennego w Krakowie i Nowej Hucie. Pracowała i współpracowała przy powstawaniu takich pism podziemnych jak Niepodległość, Contra oraz różnego typu ulotek. Zajmowała się kolportażem oraz organizacją wykładów uniwersytetu latającego dla młodzieży. Była autorką i kolporterem pisma podziemnego w Zespole Szkół Ekonomicznych w Krakowie. Kilkanaście razy zatrzymywana i przesłuchiwana. Brała czynny udział w akcjach organizowanych na terenie Sądu w Krakowie. Była łącznikiem KPN z Konsulem Amerykańskim w Krakowie w latach 1986-87. Aktywnie wspierała działalność Ruchu Wolność i Pokój (zatrzymana w 1986 roku po konferencji Ruchu na terenie Krakowa). Wspierała działania przy powoływaniu Polskiej Partii Socjalistycznej w 1987 roku. W 1988

roku była spikerem radia podziemnego działającego na terenie Krakowa i Małopolski. Uczestniczyła w Marszach Szlakiem 1 Kompanii Kadrowej w latach 1986-88.

Jarosław Jerzy Miszczak działał aktywnie na rzecz odzyskania przez Polskę Wolności, Niepodległości i praw demokratycznych, pełniąc w okresie X.1979 r. – 1987 r. funkcje współredaktora, drukarza i kolportera szeregu wydawnictw bezdebitowych (m.in. „Słowo” – organ Konfederacji Polski Niepodległej i inne wydawnictwa tej partii politycznej). Wchodził w skład Kierownictwa Akcji Bieżącej IV Obszaru Konfederacji Polski Niepodległej, będąc współorganizatorem szeregu manifestacji patriotycznych na terenie Lublina i Zamościa w okresie przed 13.12.1981 r. Za swoją działalność opozycyjną był internowany w okresie 13.12.1981 r. – 2.09.1982 r. oraz dwukrotnie stawał przed Kolegiami ds. Wykroczeń. W mieszkaniu przy ul. Hutniczej 4/78 odbyło się ok. 10 przesłuchań Służby Bezpieczeństwa; Jarosław Miszczak był wielokrotnie przesłuchiwany i pobity przez nieznaną sprawców. Podejmował działalność polegającą na kolportażu wydawnictw bezdebitowych szereg

ugrupowań niezależnych. Po emigracji z Polski w 1987 r. uzyskał azyl polityczny we Francji, gdzie w okresie przed VI. 1989 r. był m.in. współpracownikiem Radia „Solidarność”; we współpracy z Mirosławem Chojcekim zajmował się drukiem i składem książek. Pisał też korespondencje dla Radia Wolna Europa.

Zygmunt Marek Miszczak od 1980 r. współpracował z Konfederacją Polski Niepodległej. Od 1981 roku redaktor naczelny i jednocześnie drukarz pisma politycznego dla młodzieży „Szaniec”. W 1981 współtworzył młodzieżową organizację Ruch Szańca. Od IV 1981 członek Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN Obszar Lublin. Po 13 XII 1981 zostaje członkiem tajnej organizacji Polski Ruch Oporu, jest w tym czasie autorem artykułów w piśmie PRO „Słowo i Czyn”. Do maja 1982 pozostaje w ukryciu, do zatrzymania w dniu 3 maja. Od 5 maja internowany w ośrodku w Lublinie, skąd w lipcu tego roku uciekł. Ponownie internowany od 1 X 1982 i osadzony w Ośrodku Odosobnienia w Kwidzynie. Po odzyskaniu wolności włączył się działania KPN. W latach 1983-89 wielokrotnie karany przez Kolegię ds. wykroczeń, w tym rów-

nież na kary aresztu. W latach 1986-89 ponownie wchodzi w skład KAB KPN OL. Współorganizator wielu manifestacji, akcji ulotkowych. Drukarz i współredaktor pisma „Goniec” wydawanego przez KPN w Lublinie. Kolporter prasy podziemnej i innych wydawnictw.

Andrzej Anusz w latach 1982-1984 kolporter prasy podziemnej w XLIV LO im. A. Dobiszewskiego w Warszawie; organizator papieru dla pisma „GNOM” („Gazety Niezależnej Organizacji Młodzieżowej”), 1984-1989 członek podziemnego Zarządu NZS UW, 1985-1989 intrologator wydawnictwa Bis. 1986-1988 prezes Studenckiego Historycznego Koła Naukowego. 1986-1989 współzałożyciel, organizator pracy redakcji, redaktor, autor w podziemnym „Kurierze Akademickim”, od 1986 udostępniał mieszkanie na potrzeby podziemia. 1986-1988 współzałożyciel, bibliotekarz biblioteki podziemnych wydawnictw na UW, współorganizator spotkań z twórcami kultury niezależnej, kolporter podziemnych publikacji na warszawskich uczelniach, od 1988 współorganizator stoisk z takimi publikacjami na UW. W 1988 organizator przerzutu ze Szwecji do Polski

sprzętu dla NZS, zatrzymany na granicy, ukarany grzywną i anulowaniem paszportu. 1988–1989 współzałożyciel, redaktor i drukarz wydawnictwa Pryzmat; współorganizator i uczestnik patriotycznych demonstracji. 8 III 1988 współtwórca jawnego Komitetu Założycielskiego NZS UW, współorganizator zbierania podpisów pod wnioskiem o rejestrację NZS i złożenia wniosku w sądzie. W V 1988 współinicjator ogólnopolskiego strajku na uczelniach, członek Komitetu Strajkowego na UW.

Anna Anusz od 1984 roku zaangażowana w działalność Federacji Młodzieży Walczącej. Organizatorka grupy kolporterskiej podziemnej prasy w warszawskich liceach (pisma FMW i Tygodnika Mazowsze). Rozprowadzała też książki znaczki pocztu podziemnej i inne rzeczy ukazujące się w drugim obiegu. W mieszkaniu rodziców zorganizowała punkt kolportażowy gdzie co dwa tygodnie zgłaszała się po odbiór kurierzy z Krakowa, Wrocławia, Gdańska, Szczecina, Górzowa i Poznania. W 1986 roku podjęła współpracę z Grupami Oporu „Solidarni”. Jej zadaniem było wyszukiwanie miejsc gdzie można wywieścić transparent. Czynnienie uczestniczyła

w akcjach malowania haseł na murach i ulotkowych. Współpracowała z grupami MRKS-u. W 1988 roku włączyła się w odbudowę struktur Niezależnego Zrzeszenia Studentów na Uniwersytecie Warszawskim.

Grzegorz Maciej Cygonik, działacz podziemnej KPN od 1987 roku. Organizator środowiska, kolporter ulotek, gazet, książek i innych wydruków ukazujących się w podziemiu. Od 1988 roku członek Niezależnego Związku Studentów czynnie włączający się w budowę struktur uczelnianych. Wielokrotnie zatrzymywany przez milicję podczas kampanii wyborczej 1989 roku. Uczestnik akcji zajmowania mienia byłej PZPR w Lublinie i Warszawie (pamięć PRON). Według akt Instytutu Pamięci Narodowej oraz książki Antoniego Dudka; „*Reglamentowana rewolucja*” (wyd. Arcana, 2004) podany inwigilacji SB w ramach akcji „Kolumna” – akcja dotyczyła łącznie (z wyżej wymienionym) trzech działaczy Konfederacji Polski Niepodległej, którzy według Służby Bezpieczeństwa mieli zamiar prowadzić na terenie województwa bielskiego działalność o charakterze terrorystycznym...

Czesław Jakubowicz, w roku 1980 współzałożyciel NSZZ „Solidarność” w Kombinacie Budowlanym „Pojezierze” w Suwałkach. Po ogłoszeniu stanu wojennego wspomaga działalność struktur podziemnej „S”. Kolporter wydawnictw podziemnych, gazet, ulotek i książek na terenie Suwałk i Białegostoku. W swoim Zakładzie Budowlanym zatrudniał ludzi zwalnianych za działalność opozycyjną z państwowych przedsiębiorstw. Organizator lokali z których korzystali działacze podziemia oraz magazynów na materiały niezbędne do działalności drukarskiej. Od 1988 roku współzałożyciel i pierwszy szef Okręgu Konfederacji Polski Niepodległej województwa suwalskiego. Organizator społeczny wielu przedsięwzięć rodzącej się wolnej Polski. Współzałożyciel komitetów wyborczych w wyborach w 1989 roku (Komitet Obywatelski) i w 1990 w pierwszych wolnych wyborach do samorządu terytorialnego.

Grażyna Jarzab, od 1980 roku zaangażowana w ruch Solidarności. Działaczka „S” w Przedsiębiorstwie Usług Socjalnych - Warszawa. Po 13 grudnia 1980 członkini podziemia solidarności i grup politycznych. Współpracując między innymi

z Andrzejem Wiśniewskim (z biletem w jedną stronę został z Polski wyrzucony na emigrację do Kanady) i Januszem Moszańskim pomagała w kolportażu pism, książek i innych rzeczy które powstawały z inicjatywy podziemnych struktur „S” na terenie hoteli robotniczych w Warszawie. Jako szefowa biblioteki w Domu Kultury Budowlanych na ul. Deotymy w Warszawie udostępniała pomieszczenia na spotkania ludzi z podziemia. Zorganizowała przepisywanie tekstów i pisanie matryc białkowych niezbędnych do powielaczowej techniki drukarskiej. Dzięki jej pracy mogły ukazywać się w podziemiu między innymi, „Wolna Trybuna” oraz miesięcznik „UNIA”. Przy pomocy tej techniki ukazało się kilka książek i broszur wydanych przez grupę naszego środowiska. My niżej podpisani bezpośrednio z Grażyną współpracowaliśmy, zlecając jej pracę i odbierając matryce które szły na drukarnie. Od 1986 była członkiem Grupy Politycznej „Niezawisłość”. Od 1987 (po skonfederowaniu) Konfederacji Polski Niepodległej. Po 1988 roku czynnie uczestniczyła w odbudowie struktur związkowych Solidarności w PUS-BW.

Bogdan Maria Koźmiński Od 1980 zaangażowany w ruch solidarności. Współzałożyciel związku w WPBP „Żelbet” skład został wybrany delegatem na Zjazdy NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze. Od wprowadzenia stanu wojennego uczestniczy w działalności podziemnej Solidarności. Zostaje kolporterem prasy i wydawnictw ukazujących się w podziemiu. Organizator lokali dla poligrafii i dla działaczy którzy się ukrywali. W 1983 roku poprzez Marka Kubina nawiązuje współpracę z wydawnictwem NOWA. Od 1984 roku nawiązuje współpracę z Konfederacją Polski Niepodległej i staje się jej działaczem. Zostaje szefem struktur Obszaru I-go Centralnego. Jest współredaktorem i wydawcą pisma „Przyszłość Polski”. Współorganizator wielu podziemnych przedsięwzięć KPN a pod koniec lat 80-siatych (kiedy Konfederacja podjęła decyzję o jawnej działalności) organizator i założyciel wielu biur terenowych na terenie Mazowsza.

Witold Kubiak, od 1980 działacz

i członek zarządu NSZZ „Solidarność” w zakładach UNITRA - UNIMA. Po ogłoszeniu stanu wojennego nie przerwał swojej działalności organizując punkty kolportażu książek i prasy podziemnej. Kolportował wydawnictwa drugiego obiegu na terenie takich zakładów jak „Mostostal”, „Unitra – Unima”, „IBM”. Od 1984 roku po rekomendacji Henryka Skiby podejmuje współpracę z Niezależną Oficyną Wydawniczą NOWA. Zajmował się głównie pracami introligatorskimi. Gilortyna była

narzędziem z którym prawie się nie rozstawał wykonując zadania w lokalach na terenie prawie całej Warszawy. Wykonywał też prace zlecone dla wydawnictwa „KRAĞ”.

Krzysztof Laga, od XII 1980 – III 1981 współorganizator Federacji Młodzieży Szkolnej w Dąbrowie Górniczej; od X 1981 w NZS, XI/XII 1981 uczestnik na UŚ strajku solidarnościowego ze studentami radomskiej WSI. W latach 1983–1989 kolporter pism podziemnych, m.in. „Górnik Polski”, „Głosu Śląsko-Dąbrowskiego”, „Wolnego Związkowca”, „RIS”, „Tygodnika Mazowsze”, „Kultury Niezależnej”, „Wolnego Czynu”, „Narodu i Niepodległości”, książek i druków okolicznościowych; współorganizator Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy parafii św. Antoniego w Dąbrowie Górniczej oraz biblioteki wydawnictw podziemnych w siedzibie DLP; 1984-1988 współpracownik TKZ „S” Huty Katowice; IX 1986 – IX 1988 wiceprzewodniczący tajnej Komisji Uczelnianej NZS. Od 1986 członek śląskiego Oddziału KPN. 1986-1988 współorganizator manifestacji w Katowicach 11 XI i w rocznicę pacyfikacji KWK Wujek, 8 III

w Gliwicach i 1 V 1988 w Dąbrowie Górniczej. 1987-1988 autor i redaktor „NiN”. Uczestnik ogólnopolskiej narady KPN w VIII 1987 w Juszczynie oraz III Kongresu KPN rozpoczętego 4 II 1989 w Warszawie, zakończonego 4 III w Krakowie. W VIII 1988, podczas strajków, współorganizator sieci łączności między strajkującymi kopalniami w Jastrzębiu-Zdroju; zatrzymany, przesłuchiwany w WUSW w Katowicach. W latach 9 IX 1982 – 1985 rozpracowywany przez RUSW w Dąbrowie Górniczej/WUSW w Katowicach w ramach SOS/SOR (od 10 VII 1984) krypt. 7, nadzorowanej przez Wyzd. VI Dep. V MSW, nast. w ramach SO krypt. Centrum; 4 VI 1985 – 30 VI 1987 przez Wyzd. III WUSW w Katowicach w ramach SOR krypt. Kolporter; 25 VIII 1987 – 27 X 1987 w ramach KE krypt. Ab-solwent.

Krzysztof Mazur od 1980 aktywny działacz NSZZ „Solidarność”. Po ogłoszeniu stanu wojennego w kwietniu 1982 współzałożyciel Tajnej Komisji Zakładowej Solidarności w Warszawskim Przedsiębiorstwie Konstrukcji Stalowych i Urządzeń Przemysłowych MOSTOSTAL War-

szawa. Współzałożyciel podziemnego „Biuletynu Informacyjnego Solidarności Mostostal”. Pomagał i współpracował z podziemnymi strukturami Regionu Mazowsze. W latach 1985-1987 drukarz w wydawnictwie NOWA. W zakresie kolportażu podziemnych prasy, książek, ulotek, znaczków itp. współpracował z MRKS i Międzyzakładowym Porozumieniem Solidarności – UNIA. Od 9 maja do 14 czerwca 1982 roku internowany na Białolecie. W październiku 1988 roku współzałożyciel i członek Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w przedsiębiorstwie „Mostostal Warszawa”.

Krzysztof Mętrak, przed 13 grudnia 1981 roku był działaczem Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Kombinacie Budownictwa Miejskiego Warszawa – Południe. Po wprowadzeniu stanu wojennego zaniechał działalności związkowej. Brał udział w kolportowaniu nielegalnych wydawnictw, a także uczestniczył w próbie zorganizowania strajku załogo w dniu 13.05.1982 roku. Przygotowywał również akcję protestacyjną, która miała się odbyć 10 listopada 1982 roku. W dniu 8.11.1982 roku został internowany

włączył się działania KPN. W latach 1983-89 wielokrotnie karany przez Kolegia ds. wykroczeń, w tym również na kary aresztu. W latach 1986-89 ponownie wchodzi w skład KAB KPN OL. Współorganizator wielu manifestacji, akcji ulotkowych. Drukarz i współredaktor pisma „Goniec” wydawanego przez KPN w Lublinie. Kolporter prasy podziemnej i innych wydawnictw.

Maria Ludwika Moskowińska-Moczulska, od powstania aktywnie angażowała się w działalność Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela i Konfederacji Polski Niepodległej. Kolportowała wydawnictwa drugiego obiegu i pomagała przy opracowywaniu artykułów do podziemnych pism takich jak: „Opinie”, „Bratniak” czy „Gospodarz”. Organizowała spotkania popularyzujące program i działalność KPN w różnych miastach Polski. Uczestniczyła w zjazdach NSZZ „Solidarność” oraz Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania gdzie wchodziła w skład jego Rady Koordynacyjnej. Inicjowała szereg akcji na rzecz uwolnienia więźniów politycznych w tym swojego męża Leszka Moczulskiego. W imieniu KPN utrzymywała kontakty z przed-

stawicielami na Zachodzie. W okresie, gdy Leszek Moczulski i kierownictwo KPN było w więzieniu (czyli - z przerwami - w latach 1980-1986) Maria Moczulska de facto kierowała działaniami struktur Konfederacji (oczywiście realizując wytyczne Leszka Moczulskiego). Słynna głódówka w Hucie Baildon z jej udziałem trwała mimo, że 6 czerwca 1981 – po niespełna tygodniu od jej rozpoczęcia – przywódcy KPN zostali uwolnieni. Dopiero 20 czerwca Maria Moczulska i pozostali uczestnicy głódówki, w stanie zagrożenia życia, pod naciskiem Kościoła przerwali protest i zostali przewiezieni do szpitala. Chodziło o uwolnienie braci Kowalczyków... Po porwaniu ks. Jerzego Popiełuszki angażowała się w działalność na terenie kościoła św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Maria Moczulska była ciągle inwigilowana, przesłuchiwana i zatrzymywana przez Służbę Bezpieczeństwa. W domu podstłuchy i częste rewizje. Te lata to życie pełne szczykan i w ciągłym ogromnym stresie. W latach 1977-1983 była figurantem rozpracowywanym przez SB (czyli osobą inwigilowaną) aż do roku 1990, czyli do rozwiązania tej służby, kolejno w ramach: SOR „Majka” (1978), SOR „Oszust” (1978-19

1984), KE „Majka” (1984–1987) i SOR „Oszuści” (1987–1990).

Janusz Moszpański od 1980 roku zaangażowany w ruch Solidarności. Działacz związku w Przedsiębiorstwie Gospodarki Maszynami – Budownictwa Warszawa. Współpracował ściśle z Komisją Zakładową „S” w Zakładzie Eksploatacji Dźwignic (jeden z zakładów wchodzących a skład PGM-BW) a co za tym idzie z A. Chyłkiem i Michałem Janiszewskim. Od 13 grudnia

1981 działacz podziemia solidarności i grup politycznych. Współorganizator kolportażu ukazujących się w podziemiu pism, książek i innych rzeczy które powstawały z inicjatywy podziemnych struktur „S” na terenie hoteli robotniczych skupionych w Przedsiębiorstwie Usług Socjalnych i w PGM-BW. Organizator pracowni fotograficznej na terenie Domu Kultury nieodzwonnej do wykonywania zdjęć z akcji protestacyjnych i manifestacji. Wykonywano tam też prace niezbędne do pracy drukarskiej na sitodruku. Od 1986 działacz Grupy Politycznej „Niezawisłość”. Od 1987 (po skonfederowaniu) działacz Konfederacji Polski Niepodległej. Współpracownik „Wydawnictwa Polskiego KPN” które ma w swoich osiągnię-

ciach wydanie wielu książek, broszur, znaczków pocztu podziemnej oraz takich pism wydawanych w podziemiu jak „Gazeta Polska KPN”, „Droga” czy też krajowe wydanie „Rzeczpospolitej”. Wykonywał między innymi fotoklisze do znaczków i okładek robionych metodą sitodruku. Był zatrudniony i przesłuchiwany przez SB. Każdy z nas poświadczający powyższe fakty współpracował Januszem w różnym czasie jego działalności.

Łukasz Perzyna w latach 1986-89, był redaktorem i autorem artykułów w ukazujących się w drugim obiegu gazet „Solidarności”, takich jak „NURT” i „Ulotka Świątokrzyska”. W latach 1988-89 był członkiem Organizacji Akademickiej Konfederacji Polski Niepodległej oraz jednym z redaktorów pisma tej struktury „Orzeł Biały”. Wielokrotnie w tej działalności wspólnie między innymi ze Stanisławem Mazurkiewiczem, Katarzyną Pietrzyk, Wojciechem Gawkowskim odbywali spotkania z politykami KPN w tym z Michałem Janiszewskim. Łukasz wspomina o tych w swojej książce pt. „Konfederacja rzecz o KPN”. Str.75. W latach 1988-89 współpracownik i dziennikarz w pismach „NURT”

(pismo Niezależnego Zrzeszenia Studentów) oraz „Gazeta Polska” (pismo Konfederacji Polski Niepodległej). Współpracuje w tym czasie między innymi z Andrzejem Anuszem. Autor przedmowy do wydanej w podziemiu książki Józefa Czapskiego, „Na nie-ludzkiej ziemi” wydanej przez Skarżyską Oficynę Wydawniczą „SOWA”. Uczestnik i współtwórca wielu niezależnych inicjatyw kultury między innymi takich jak Teatr Akademicki (kierownik literacki).

Jerzy Woźniak, W latach 1984-1986 kolporter (wspólnie z ojcem Henrykiem Woźniakiem) pism podziemnych m.in. „Tygodnika Mazowsze”, „PWA”, „Wolnego Głosu Ursusa”, 1986-1989 koordynator sieci kolportażu podziemnych wydawnictw w Ursusie Niedźwiadku; założyciel, organizator i wykonawca prac technicznych, autor, redaktor, koordynator kolportażu podziemnego pisma „Świt Niepodległości”. 1986-1990 członek KPN. 1987-1988 w kierownictwie Akcji Bieżącej Obszaru Warszawskiego; 1988-1989 uczestnik Kongresów KPN w Warszawie, organizator wykładów dla młodzieży i projekcji filmów. 1988-1990 członek redakcji „Gazety Polskiej”;

z-ca szefa Obszaru Warszawskiego ds. młodzieży licealnej; W 1988 współorganizator manifestacji patriotycznych w Warszawie i towarzyszących im akcji ulotkowych, w maju 1988 wspomagał strajk NSZ na Uniwersytecie Warszawskim, prowadząc punkt kolportażowy.

Pośmiertnie:

Wiesława Janiszewska od 1980 roku zaangażowana w ruch Solidarności. Założycielka i pierwsza wodnicząca związku w I-szej Woj-

skowej Spółdzielni Mieszkaniowej w Warszawie przy ul. Anielewicza. Działaczka „S” w Przedsiębiorstwie Usług Socjalnych – Warszawa, szczególnie w jego Legionowskim oddziale. Po 13 grudnia 1980 członkini podziemia solidarności i grup politycznych. Była redaktorem technicznym takich pism jak: – „Wolna Tribuna” i „UNIA” wydawanych przez strukturę podziemną MPS-u Unia, „Gazetę Polską” i polskie podziemne wydanie „Rzeczpospolitej” wydawane przez Wydawnictwo Polskie KPN przy realizacji których ściśle współpracowała z Krzysztofem Królem który był redaktorem naczelnym. - „Niezawisłość” wydawaną przez

Grupę Polityczną „Niezawisłość”. Była autorką wielu okładek książkowych, pocztówek okolicznościowych i znaczków. Jako plastyk pomagała w zdobywaniu wielu niezbędnych dla poligrafii materiałów. Pomagała w kolportażu pism, książek i innych rzeczy które powstawały z inicjatywy podziemnych struktur „S”. Od 1983 członkini Międzyzakładowego Porozumienia Solidarności „UNIA”. Od 1986 członkini Grupy Politycznej „Niezawisłość”. Od 1987 (po skonfederowaniu) Konfederacji Polski Niepodległej. Po 1988 roku czynnie uczestniczyła w odbudowie struktur związkowych Solidarności i Konfederacji Polski Niepodległej.

Paweł Wielechowski od 1980 zaangażowany w działalność opozycyjną. W 1980 roku tworzy strukturę NSZZ „Solidarność” w Zakładach Przemysłu Dzwiniarskiego „Bistona” i zostaje Przewodniczącym Komitetu Założycielskiego a później Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność”. Następnie w 1981 roku na Łódzkim Zjeździe Regionalnym, zostaje wybrany do Zarządu Regionu a następnie do Prezydium Zarządu Regionu Ziemi Łódzkiej, Prezydium powierza mu funkcję nadzoru nad całością

poligrafii. To wówczas zaczął współpracę z Komitetem Obrony Represjonowanych, którego szefem był Zbigniew Rybarkiewicz, a poprzez niego z Konfederacją Polski Niepodległej. Drukuje wówczas ważne dla nurtu niepodległościowego pozycje takie jak „Rewolucja bez rewolucji” i pierwszy numer „Gazety Polskiej”. W dniu 13 grudnia 1981 roku w budynku Zarządu Regionu zostaje zatrzymany i internowany w Zakładach Karnych w Łęczycy i Łowiczu. Zwolniony pod koniec kwietnia 1982. Włącza się czynnie w podziemne struktury czego efektem jest powtórne internowanie po dwóch tygodniach. Zwolniony 23 lipca 1982 roku. Jest jednym z założycieli Tajnego Tymczasowego Zarządu Regionalnego Ziemi Łódzkiej. Na początku 1983 roku nawiązując ścisłą współpracę z KPN-em. Organizuje poligrafę wraz z Wydawnictwem Polskim KPN. Wznawia wydawanie „Drogi”. Drukujemy broszury, kalendarze, pisma ulotne, znaczki „Poczty KPN”. 1984 roku zostaje aresztowany. Przebywa w więzieniu cztery miesiące i po amnestii 1984 roku zostaje zwolniony. Po licznych aresztach i szykanach oraz realnym zagrożeniem następnym aresztowaniem, w uzgodnieniu z władzami KPN-u, w 1985

roku wraz z rodziną i biletem w jedną, Biuro jest przekątnikiem sytuacji emigruje do Szwecji. Już w grudniu 1985 roku na polecenie władz Konfederacji Polski Niepodległej organizuje i otwiera Biuro Zagraniczne KPN w Karlstad. Nawiązując kontaktami między innymi z przedstawicielami Rządu i Prezydenta na Wychodźstwie w Londynie, z Instytutem Paryskiej Kultury, Radiem Wolna Europa, Głosem Ameryki oraz wszystkimi organizacjami polskimi w Wolnym Świecie.

Apel

Szanowni Państwo! Żyje wśród nas wielu ludzi którzy swoim życiem i działalnością na rzecz wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej zasłużyli na wyróżnienie i uhonorowanie ich postawy. Niestety nasza Ojczyzna zachowuje się czasami jak macocha i palcem trzeba jej pokazać, że ta córka, ten syn narażając siebie i swoją rodzinę, bił się o to by była wolna i demokratyczna. Instytut Historyczny NN im. Andrzeja Ostoja Owsiatego chce być takim palcem ale bez Państwa pomocy nasze działania będą mało efektywne. Proszę więc serdecznie Wszystkich o dostarczanie nam informacji o osobach które waszym zdaniem zasługują na wyróżnienie i uhonorowanie. Informacje można wysłać na adres redakcji „Opinii” bądź Instytutu albo na adres emajlowy ihoo@o2.pl.

Michał Janiszewski

MAREK MICHALIK*

WSPOMNIENIA ZBIGNIEWA ZAKRZEWSKIEGO Z WRZEŚNIA 1939 ROKU**



Czasy, które przeżyliśmy w ciągu ubiegłego okresu na pewno na długo pozostaną w pamięci świadkom zdarzeń. I ja będę również je pamiętać, niemniej jednak czuję potrzebę rzucenia garści wspomnień na papier, myśląc że może kiedyś sam je przeczytam, a może będę potrzebował do publikacji, do świadczenia, że takie rzeczy były, że istotnie zdarzyły się wypadki, które miejsca mieć nie powinny.

1 września 1939 roku, dzień niby

* Autor otrzymał ksero rękopisu Z. Zakrzewskiego od jego syna Marka przebywającego w Kanadzie od wybuchu stanu wojennego w Polsce. Rękopis został merytorycznie wykorzystany przy pisaniu szkicu biograficznego „Bryła”, natomiast nie był dotychczas nigdzie publikowany. Autor zachował specyficzny szyk zdań i sposób pisania, zresztą jego zdaniem bardzo ładny, poprawiając jedynie pisownię tylko w przypadkach, kiedy dziś byłaby uznana za błędy ortograficzne. W ten sposób zapewne czytelnik szybko się zorientuje, że tekst pochodzi z pierwszej połowy XX wieku. W kilku

taki sam jak wiele innych, jest tą fatalną datą rozpoczęcia wojny między Polską a Niemcami. Naród polski tłumiony własną potęgą, pobudzany do manifestacji przeciwniemieckich, pewien pomocy państw zachodnich, powitał pierwsze działania wojenne z entuzjazmem. Rezerwiści powołani do szeregów wyznaczali spotkania w Berlinie, Hamburgu, gotowi byli wojować z Marsjanami i na Saturnie wyznaczać spotkania. Żołnierz, znany z bitności, który od wieków sławnie roznosi imię Polski po wszystkich krańcach świata, gotów był i teraz dawną tradycję rycerską wskrzesić, gotów powtórzyć Grunwaldy, Chocimy, Wiednie, Kircholmy. Sceptyk pomyślał, że nic to dobrego nie wróżyło,

Postaram się teraz przedstawić

i Niezawisłość. Szef wywiadu łódzkiego okręgu WiN, zastępca łódzkiego prezesa WiN Kazimierza Grendy. W okresie przedwojennym mieszkał w Rembertowie gdzie przed był m.in. pracownikiem państwowym w urzędzie pocztowym. W wyniku procesu działaczy łódzkiej komendy WiN w styczniu 1947 roku został skazany przez WSR w Łodzi na karę śmierci. Wyrok wykonano 26.03.1947 roku w Łodzi. Miejsce pochówku pozostaje nieznane. Odnaczono pośmiertnie w 2009 roku Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta. W marcu 2010 roku odznaczony pośmiertnie tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za uratowanie podczas okupacji Broni Rubinowicz – Glass

(podczas okupacji – Piotrowskiej). Szerzej o Z. Zakrzewskim patrz: M. Michalik, Zbigniew Zakrzewski ps. „Bryła” (szkic biograficzny), *Zeszyty Historyczne WiN-u*, 1995, nr 7, s. 41-57; idem, *Wizerunek Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość w świetle wybranych tytułów prasy centralnej 1945-1947*, cz. II, „Zeszyty Historyczne Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość”, nr 13, s. 22; idem, Zbigniew Zakrzewski (1911-1947) „Bryła”. Żołnierz AK i WiN, [w:] *Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944-1956*, Słownik biograficzny, Kraków – Warszawa – Wrocław, t.II, s. 548-551; idem, *Kazimierz Grenda (1906-1959)*, Słownik biograficzny, Kraków – Warszawa – Wrocław, t. I, s. 142 – 145.

stan armii tak, jak on był dla mnie, cywila i podoficera widoczny. Kadry oficerskie były wyszkolone dostatecznie. Pod tym względem nie miałem zastrzeżeń. Natomiast psychiczne nastawienie było wybitnie pacyfistyczne. Oficer był dobrze sytuowany, zagospodarowany, dużo z nich posiadało wartościowe nieruchomości do których byli przywiązani. Wartość moralna kadry niestety mnie się nie przedstawiała wystarczająco. Oficer młody był żądny użycia i życia, a starsi oficerowie nie dawali im lepszego przykładu, a nawet przeciwnie, czego dowodem tragedia w rodzinie gen. Kasprzyckiego^{*}.

Jeżeli ktoś ma dwie rzeczy do wyboru, to wybiera droższą jemu. Niestety dla wielu oficerów ich prywatne sprawy, ich rodziny i kochanki były droższe od honoru tak własnego jak i honoru ojczyzny. W dalszych słowach udowodnię to. Podoficerowie stanęli na wysokości zadania i gdyby im wolno było postępować tak, jak niejednokrotnie chcieli, kto wie czy

^{*} Zapewne chodzi o bardzo szeroko komentowany w okresie przedwojennym związek generała Tadeusza Kasprzyckiego z mało znaną aktorką Zofią Kajzerówną, parzr także: Wielki minister i skandalista, Sadyba 24.pl/template feature/item/438-wielki-minister-i-skandalista

wojna nie byłaby już skończona. Żołnierz był bitny i odważny, gotów dzielność swą posunąć do bohaterstwa. Aby tę dzielność wykorzystać, trzeba było dać odpowiednich dowódców. Błędem było to, że w części trzymanej w pogotowiu nie było młodych roczników. Prócz cywilnej służby, której było stosunkowo niewiele, pod bronią znajdowali się ludzie w wieku ponad 35 lat, niezdolni do trudów jakie im wojna od razu w pierwszych dniach przygotowała. Nie wiem czemu mężczyźni w wieku 24 – 35 lat prawie nie byli powołani i nie wiem czemu tych ludzi, zgłaszających się na ochotnika nie przyjmowano.

Mniej więcej przedstawiłem obraz głównych warstw narodu, który brał czynny udział w tragedii. Przejdę teraz do opisu chronologicznego wypadków i przeżyć aż do dnia dzisiejszego. Żal i rozgoryczenie odsunę na bok, postaram się traktować wszystko jako widz, a jeżeli tu i ówdzie jakaś kropla żółci wycisnie się to myślę, że mam prawo jej nie kryć. Pominę wszystkie przygotowania wojenne, bo były one dla społeczeństwa okryte tajemnicą i to tak głęboką, że do dziś naród niewiele co się stało z pożyczką przeciwlotniczą, pominę kopanie rowów, przygotowywanie zapasów, bo te na nic

się zdały z powodów, które znów dalej wykażę. Zaczę wspomnienie z perspektywy 5- ciu miesięcy właśnie od dnia wybuchu wojny od 1 września 1939 roku.

W godzinach rannych, bo o 9.30 rozmawiałem z moim przełożonym na dziedzińcu biurowym o wszystkich możliwościach jakie mnie się nasuwały. Nad nami krążył samolot, ale nie zwracałem na to uwagi, bo tyle było ćwiczeń codziennie, że nawet strzały nie zwróciły mojej uwagi. Nigdy zaś nie przypuszczałem, że nieprzyjaciel może zaatakować bezpośrednio stolicę. Dopiero rzut oka w górę zmusił mnie do pilniejszego obserwowania tego co się dzieje. Dookoła lecącego nierówno samolotu pełno było dymków rozrywających się pocisków. Znaków na samolocie nie dostrzegłem żadnych, ale alarm lotniczy wyjaśnił mi, jakiego rodzaju to był samolot. Mimo tego alarmu, nikt i ja również, nie brał serio tego nalotu. Powszechnie twierdzono, że był to próbny alarm, aby na wszelki wypadek przygotować społeczeństwo do obrony, gdyby tego zaszła potrzeba. Natychmiast zaczęły się dyskusje, zakłady, nowe wybuchy bojowości i entuzjazmu. Tej bojowości nie postrzymywał fakt stwierdzenia, że

lotnisko na Okęciu zostało zbombardowane^{*}, że montownia w Tarnowie została zbombardowana, tak samo Brześć, Biała Podlaska, Otwock itd. Radio potwierdziło wiadomości o nalotach, podało jednak tak niskie straty własne i tak duże straty w u nieprzyjaciela, że wyglądało to tak, jakby lotnicy niemieccy dostali porządną nauczkę.

Dzień ten upłynął wśród stałych nalotów odpieranych przez artylerię przeciwlotniczą. Dodać muszę, że artyleria nasza ustawiona w rejonie Praga, Wawer, Poligon, Zielonka, strzelała po mistrzowski tak jakby nie posiadała żadnych przyrządów pomiarowych, czy też miała za zadanie straszyć eskadry, a nie unieszkodliwiać je. Na oddanych kilka tysięcy strzałów w rejonie, który określiłem nie widziałem ani jednego trafionego.

Pierwsze dni wbiły mi się dobrze w pamięć, więc będę je oddzielnie opisywał. Potem było tyle zdarzeń i wrażeń, że będę mógł operować tylko okresami mniej lub więcej długimi.

^{*} Według relacji rodzinnych podczas pierwszego nalotu na Okęcie został ranny brat Zbigniewa Romuald służący wówczas w żandarmerii, strąć być może podana informacja pochodziła bezpośrednio z kręgów rodzinnych, Uzupełnienia M. Zakrzewskiego ...

Noc z 1 na 2-go upłynęła mi prawie bezsenność. Zbyt dużo było wrażeń, zbyt dużo po raz pierwszy widzianych rzeczy, by można było przejść nad nimi do porządku dziennego. Radio nadawało uspakajające audycje, które miały na celu podniesienie ducha tak w narodzie jak i u żołnierza. A ten ostatni potrzebował, bo właśnie w pierwszym dniu zaczął doznawać na sobie działania pogardliwie u nas traktowanych „erztatów”. O tym, że zaczęliśmy przegrywać nie podawano. O tym, że wycofujemy się, a właściwie uciekamy „co koń wyskoczy” nikt nie wiedział jeszcze kilka dni potem. Wiadomości te przyniosły niedobitki różnych dywizji.

Drugi dzień zaczął się dla mnie o godz. 5.30 rano alarmem lotniczym. W drugim dniu byłem świadkiem walki powietrznej naszych myśliwców z lotnikami nieprzyjacielskimi. Od strony miasta nadleciały eskadry lekkich samolotów niemieckich i w rejonie Wawra, Wesołej, Rembertowa stoczyły walkę z naszymi myśliwcami. Z walki tej nasze samoloty musiały się wycofać. Za eskadrami lekkimi nadleciały bombowce, które bombardowały Grochów oraz mosty na Wiśle. Pierwszy raz posłyszałem głos rozrywających się bomb w godzinach po-

łudniowych, kiedy Niemcy bombardowali Kawęczyn, Węgodę oraz tor kolejowy. Stałem w bramie o 2 km od miejsca wybuchu a czułem jak prąd powietrza porusza mi nogawki spodni. Cały ten dzień upłynął na oczekiwaniu alarmów, na słuchaniu uspokajających audycji płk Umiastowskiego* oraz na oczekiwaniu wypowiedzenia wojny przez naszych sprzymierzeńców. Bo przecież mówiono nam, że w wypadku wojny Anglia i Francja automatycznie zaatakują Niemcy od zachodu. Wiara w ich dobre chęci nikogo nie opuszczała. Zresztą wiadomo było, że we własnym interesie powinni to uczynić jak najszybciej. Niemcy wypowiedzenia tego nie było.

Tak samo prawie, z małymi wariantami upłynął trzeci dzień. W międzyczasie dowiedziałem się, że Częstochowa wzięta, że Niemcy minęli już Kielce, że połączyli się na linii Chełmno, Grudziądz z Prusami Wschodnimi i o wypowiedzeniu wojny przez naszych sprzymierzeńców. Wypowiedzenie to wyglądało co prawda

* Pułkownik Roman Umiastowski był szefem propagandy Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego w Warszawie szerzej patrz.: www.szte.tl.org.pl/pl/term/373.apel-umiastowskiego; www.info-pc.home.pl/whatfor/baza/m_pol_piech_39a.htm

groteskowo, bo eskadry angielskie po upływie ultimatów wyrzuciły na Niemcy dziesięć milionów... ulotek. Efektywnie nic więcej nie zrobiły do samego końca wojny polsko – niemieckiej. Prasa nasza rozpowszechniała co prawda wiadomości jakoby linia Zygfrйда* była przzerwana w 12 – tu miejscach, ale obecnie wiem, że to była bujda. Wówczas brałem to jako fakty.

Minął trzeci dzień, minął czwarty i piąty w ciągłym pogotowiu, aż nadszedł dzień szósty kiedy zaczęły mi się otwierać oczy na faktyczny stan rzeczy. Zaczęły iść szeregi rozbitków, obdarci, bosi, głodni, obraz nędzy i rozpacz. Bez karabinu, bez plecaka, jedną nogą bosą, rozpięty jak przysłowiowa mamka, szedł żołnierz i prosił o kawałek chleba i o papierosa. Pytam takiego jednego –gdzie wasza kuchnia – ano ja wiem czy w ogóle była kuchnia. Nam od początku wojny ani razu jeszcze nie dowieziono żywności. Pamiętam tę złość jaka mnie ogarnęła na tego żołnierza. Byłem pewien, że to łazik, jakich jest tutaj dużo, idzie

* System niemieckich umocnień fortecznych na granicy z Francją i Luksemburgiem zwany także Linia Hindenburga lub Walem Zachodnim. Wbudowany w latach 1936-1939, rozbudowywany w 1944 roku.

„bokami” i na domiar wszystkiego złego rozsiewa wiadomości niezgodne z prawdą. Niestety szybko sprawdziłem jak bardzo prawdę mówił ten żołnierz.

Tego dnia po południu zadzwoniło z gminy aby naczelnik robił „to co wie”. Naczelnik nic nie wiedział, więc polecił mi udać się do sekretarza zarządu Wawrzeckiego** i wziąć od niego dokładne instrukcje. Siadłem na motocykl i pojechałem. Wymieniony jegomość, błady i roztrzęsiony mówił, że należy przygotować urząd i poneson do natychmiastowej ewakuacji. Był to dla mnie grom z jasnego nieba. Samo serce Polski – Warszawa, w szóstym dniu wojny zagrożone!

Muszę tu wpleść pierwiastek osobisty, bo łatwiej będzie zrozumieć niektóre z rzeczy, które dalej będę podawał. Nie byłem na wysokim stanowisku, raczej odwrotnie, mimo to byłem przez przełożonego bardzo ceniony jako wybitna siła. Powodziło mi się do ostatnich czasów bardzo nieszczególnie. W skutek śmierci jednego z mych krewnych otrzymałem spadek, który gruntownie zmienił

** W spisie znanych mieszkańców Rembertowa do 1945 roku znajduje się jedynie Kazimierz Rola – Wawrzecki. Nie pewnością, że to ta sama osoba.

moje życie. Spadek ten pozwalał mi dopełnić wykształcenie, założyć rodzinę i w ogóle pozwolił mi zacząć kulturalniej pędzić życie*. W mojej obecnej żonie byłem zakochany jako w narzeczonej, poza tym opiekowałem się jej domem, bo ojciec jej inwalida nie mógł dać koniecznej i prawdziwej opieki, matka nerwowo chorowała po świeżo przebytej operacji lewej piersi i wreszcie siostra, świeża matryszka. Ewakuacja więc, rozdzielała mnie z moimi bliskimi, których brać ze sobą nie mogłem i z którymi jechać nie mogłem. Nastąpiła pierwsza walka wewnętrzna między obowiązkiem a sercem. Wówczas zwyciężył obowiązek, bo chociaż zasady wpajane od dzieciństwa już wówczas się chwiały – jeszcze nie runęły. Jak wyglądało jednak wprowadzenie w życie rozkazu ewakuacji. Wyjechać trzeba było – nie podano jednak kierunku. Naczelnik dzwoni do władz naczelnych ale te już „wymigrowały”. Władze bezpośrednie nie wiedzą co robić, zostawiają wolną rękę, czyli typowe bezhołowie jak mówią na Ukrainie. Na drugi dzień, na zarekwirowanych wozach

* Spadek otrzymał jako siostrzeniec Walego Sławka jednego z najbliższych towarzyszy Marszałka Józefa Piłsudskiego i trzykrotnego premiera rządu w okresie międzywojennym

gros urzędu z naczelnikiem na czele wyrusza na tułaczkę.

Czym była ewakuacja dla ludności patriotycznie nastawionej może świadczyć przykład jaki miałem, biorąc koło od kowala. Oczywiście miało ono być zarekwirowane. Rzeczy takie jak sprzęt różnego rodzaju był mieniem rzemieślnika i on zrezygnowany bez słowa sprzeciwu otwiera kuźnię prosząc uprzejmie, żeby sobie wybrać odpowiednie i jak najlepsze. Kowal był człowiekiem biednym i oddawał swoje mienie myśląc, że tym przyczyni się do obrony kraju. Ten kowal w błąd wprowadzony teraz, gdy przypomni sobie chwilę swej ofiarności – zaciska pięści i klnie, bo niczym się nie przyczynił do obrony, a sam teraz nie ma co jeść. Jego patriotyzm zginął, jak zginął u wielu innych. Na placówce pozostało pięciu innych pracowników ków ze mną jako zastępcą naczelnika. Gorące dni przeszliśmy. W ciągu tych dni zobaczyłem do jakiego stopnia posunięty jest egoizm u ludzi stojących na wyższych stanowiskach, jak są samolubni i bezwzględni. Przeszedłem bombardowanie, popłoch, ucieczkę na ślepo społeczeństwa, zostałem do końca. Ponieważ te rzeczy rzadko się zdarzają opiszę niektóre więcej charakterystyczne wypadki.

Jednym takim zdarzeniem było spotkanie oficera, przełożonego z czasów ćwiczeń wojskowych. Podam rozmowę z nim, która wyglądała mniej więcej w ten sposób.

– Czołem panie poruczniku! Co słychać? – skąd pan tu się wziął?

– A! Czołem! Ja tu przyszedłem, żeby zadzwonić do żony do Warszawy.

– Dzwon pan – mówię – tylko warunek, że niech pan nie powie skąd pan dzwoni, dokąd pan się udaje itd.

Porucznik ten, nazwiska nie pamiętam, zadzwonił, następnie po rozmowie telefonicznej z nie wyrażną miną kręci się koło mnie, wreszcie pyta:

– Panie, czy tu nie dałoby się gdzieś zjeść coś gorącego?

– Na poligonie – mówię – jest kasyno oficerskie, tam można i zjeść i wypić sobie uczucie

– A czy tak prywatnie nie można by?

– Owszem, przed wejściem na teren wojskowy, z lewej strony jest restauracja Romańczuka*. Tam drożej, ale wykwinieć. I określiłem mu dokładnie jak należy iść, aby nie błądzić

* Nie udało się odnaleźć informacji na temat tej restauracji.

i od razu trafić. Informacje te były jednak niewystarczające, bo po chwili mój bohater pyta gdzieby tu można było umyć się i przespać. Poinformowałem go o hotelu oficerskim, będąc pewien, że ucieszony od razu tam się uda. Niestety był to oficer, który nie bardzo zasługiwał na gwiazdkę, przyznał mi się bowiem, że chciałby się gdzieś „zadekować” na parę dni, bo się zmęczył. Nie pomogłem mu w tym dekowaniu się, ale jakiś niesmak i rozczarowanie powstało we mnie. Opowiadał mi coś o rozbitej kompanii pod Małkinią, ale ja nie bardzo słuchałem, myślałem, czy dużo jest takich dekowników i dlatego im dano ludzi, którymi nie są godni dowodzić.

Drugim typem ciekawym był dyrektor poczty polowej pan Szczurek*. Jegomość bardzo elegancki, szarmancki, umiejący wspaniale bawić panie, w ogóle towarzystwo. Człowiek, jakich wielu na wyższych stanowiskach widzimy, który nie chciał za nie brać na siebie jakkolwiek odpowiedzialność. Jeździł z główną pocztą polową, a więc ze sztabem. Był w moim urzędzie przez kilka dni. Ponieważ

** Nie udało się odnaleźć informacji o tej osobie.

nie miałem żadnego środka lokomocji dla pracowników, którzy ze mną zostali, prosiłem go o interwencję.

Obiecał, że o taki środek będzie się starał, a w rezultacie nic mi nie pomógł, zabrał tylko odjeżdżając dwie telefonistki i doktorową Prażmową*, którą darzył osobistą sympatią.

Trzecim typem najwięcej charakterystycznym był inżynier Łosiński**. Zważył mi do lokalu trzy łącznice telefoniczne, dużo innego sprzętu oraz lekko uszkodzony samochód na podwórze, a sam jeździł rzekomo na uszkodzenia. Kiedy spostrzegłem, że mają zamiar już się wynieść pytam go wprost co mam zrobić ze sprzętem pozostawionym oraz własną centralą.

Czy je zdementować, czy pozostawić nadające się do użytku. To był jego móć na dość wysokim stanowisku więc odpowiedź była tego rodzaju, że za to co będzie – ja jestem odpowiedzialny. Twierdził jednak z całą pewnością, że nie dojdzie do tego, bym potrzebował się usuwać, a ich wyjazd jest tylko z góry przewidzianym przesunięciem. Nieprzrzyciel tymczasem z jednej strony był w Radzyminie czy-

* Nie udało się odnaleźć informacji o tej osobie.

** Nie udało się odnaleźć informacji o tej osobie.

li o 16 km, z drugiej strony w Raszyń, a więc o 30 km. Ja o tym dobrze wiedziałem.

Niesamowite były te ostatnie noce. Ciemne, bezksiężycowe, światła wygaszone w obawie nalotów lotniczych. Po ulicach kręcał się jakiś cień tajemnicze z tobołami. Słychać od czasu do czasu nawoływanie do gaszenia świateł, a w dali, gdzieś daleko bezustanny turkot wozów, sygnały aut i jakiś dziwny jakby krzyk, jednostajny i jednostajnością straszny. Ogarnęła ludzi panika trudna do opisan.

Rzucano cały swój dobytek, wszystko co kto miał i wprost na ulicy przyłączano się do tej procesji uciekinierów pomieszanych z wojskiem, z artylerią, z taborami. Matki pchały przed sobą w wózkach dzieci nie zważając na to, że drogi rozbite, zatarasowane, że przecież daleko tego wózka nie będą mogły pchać. I nie było nikogo, żadnej organizacji, która by miała na celu opanowanie tego ruchu. Nie było nikogo, kto by propagandą zatrzymał ludzi przed samobójstwem, przed zrujnowaniem własnej przyszłości. Był minister propagandy, ale zdaje się wówczas już za granicami kraju. Miliony wyruszyło by po powrocie zastać tylko gruzy lub puste ściany, a ktoś powinien to przewidzieć, Nie

było takiego stanowiska, więc nikt o tym nie myślał, ale ktoś musi za to odpowiadać. Z tych milionów tysięcy nie wróciły. Zabici bombami, kulami czy stratowani w tłoku mogiłami tysiące kilometrów wyznaczyły. Czyż to ma ujść bezkarnie? Czyż nikt za to nie odpowie? Wierzę, że sprawozdanie będzie, że rachunek będzie i zapłaćta będzie. Taką była noc z 10 na 11 września. Wyszedłem z centrali o godz. 10 wieczorem. Nad Warszawą olbrzymia łuna palących się składów i domów, a w dali bezustanne detonacje armatnie. To Niemcy atakowali od zachodu i południa Warszawę. Na szosie turkot wozów, nawoływania, jakieś maszerujące oddziały wojskowe, procesja cywilnych osób z tłumkami, dziećmi, całym dobytkiem jakiegoś zmieścić. I mnie się udzielił ten strach. Idę do centrali, dzwonię do dowódcy garnizonu z prośbą o środek lokomocji. Był to pułkownik, którego nazwiska nie pamiętam. Zapewniał mnie, że bezwzględnie przysła jakiś samochód. Na wszelki wypadek dzwonię jeszcze do magistratu, który również obiecał mnie zabrać i aby być zupełnie zabezpieczonym dzwonię jeszcze do policji. Otrzymawszy zapewnienia tylokrotnie uspokoiłem się i zostawiwszy na dyżurze telefo-

nistę na razie poleciłem położyć się i sam postanowiłem zdrzemnąć się. „Drzemka” moja trwała do godz. 1 w nocy. Budząc się zdziwiłem się, że nikt nie dzwoni do tego stopnia, że telefonista przy centrali śpi sobie snem sprawiedliwego. Wstaję i dla sprawdzenia dzwonię do centrali wojсковей. Cisza! Sprawdziłem, że moja centrala jest odłączona. Dzwonię do magistratu nikt nie odpowiada, z polcją to samo. Zdałem sobie wówczas sprawę z tego, że zostawiono nas własnemu losowi. Opanowała mnie wówczas straszna złość. My ochotniczy zostaliśmy dla pełnienia służby do ostatka i ci, dla których zostaliśmy, nie raczyli nas nawet o tym zawiadomić, że już nie jesteśmy im potrzebni. Pomijam obietnice jakie mi dawano. Przez 5 lat służby państwowej nauczyłem się cenić obietnice. Ilekroć były potrzebne moje wysiłki, tyle razy obiecywano mi awans, nagrody itp. Ale tu należało tylko zawiadomić nas, żebyśmy daremnie nie narażali się siędząc przy centrali. Nawet i tego nasi bohaterowie nie zrobili!

Fakt był faktem. Należało działać! Gdybym był starszy wiedziałbym, że nie groźnego mnie nie spotka, że należy opuścić posterunek pracy i iść do domu. Ale ja byłem za młody aby

powziąć taką decyzję. Udzielił mi się ogólny strach i pod jego wpływem postanowiłem również ewakuować się. Zebrałem ludzi i wyruszyliśmy wzdłuż toru w kierunku na Mińsk Mazowiecki. W czasie marszu smutne myśli mnie opanowały. Zacząłem później myśleć, zacząłem wysnuwać wnioski. I wnioski te były niewesołe, bo więcej niż połowa kraju w ciągu 10 dni była w ręku nieprzyjaciela. Przypomniały mi się linie obronne przygotowywane przed Pułtuskim na linii Narwi, przypomniały mi się słowa, że nie oddamy ni pędzi ziemi, że granic naszych broni najlepiej przygotowana na świecie armia. Gdzież ta armia? Ciągnęły jakieś oddziały. Artyleria, tabory, ale szły w przeciwnym kierunku i w nastroju bardzo mało wojowniczym.

To była noc i niewiele widziałem. Raniutko zobaczyłem pierwsze ofiary wojny, zwał trupów na stacji kolejowej Dębe Wielkie. Ponieważ samoloty zaczęły dość gęsto krążyć, zapadliśmy w las pod Mińskiem naprzeciw spalonej wsi Stojadła. Wyruszyliśmy wszyscy tak jak staliśmy. Nie mieliśmy nic do jedzenia i ta doba głodu porządnie dała się nam we znaki. Ale wszyscy byliśmy młodzi i z humorem ten głód znosiliśmy. O zmroku we-

wicz) do Siedlec. Nie było jednak mowy o tym, że można było zwać którakolwiek z tych dróg piechotą. Na szczęście komenda w Mińsku zabroniła brać ze sobą kobiety ze względu na ich bezpieczeństwo. Zrzucano więc z samochodu manatki prywatne, niepotrzebne rzeczy urzędowe i w ten sposób znalazło się miejsce dla mojej drużyny. Wyruszyliśmy z podwórza o godzinie 10 wieczorem, ale dopiero o godzinie 1-ej wjechaliśmy na jezdnię, nieprzerwany ciąg trenów^{*} idących trzema rzędami uniemożliwił zupełnie wyjazd. Lekkie samochody wojskowe oraz tankietki jadące w stronę Warszawy jechały chodnikiem, bo innej drogi nie było. O godzinie drugiej wyjechaliśmy wreszcie na szosę siennicką. Było to pocieszającym, ale tymczasem wyczerpał się zapas benzyny. Nastąpiły pamiętne od tego czasu dla wszystkich uczestników tej jazdy starania o benzynę.

Benzyne muszę poświęcić specjalnie kilka słów. Kraj nasz posiadał dostateczną ilość paliwa. W chwili wybuchu wojny nagle paliwa tego zabrakło. Wszędzie po drogach stało pełno samochodów, motocykli, cią-

ników, zupełnie dobrych do użytku, które porzucono z braku benzyny. Po drogach zostały miliony w tym sprężenie. Nie rozumiem jak można było nie zorganizować dowozu benzyny chociaż dla pojazdów wojskowych i państwowych. Gdzież się podziały nasze zapasy? Chyba, że nie miano zamiaru ratować tych rzeczy – ale to przecież zdrada! Niezależnie od tego można było znaleźć pełne beczki benzyny – wyrzucone dla ulżenia. Taki wypadek był przed mostem na Bugu koło Podhorodnego^{**}. Z nami była taka sama historia. Od żadnej kolumny nie można było dostać benzyny, twierdzili bowiem, że mają bardzo niedostateczny zapas, zaś tych parę litrów, które nas mogły przesunąć o dziesiątki kilometrów, mogły decydować o życiu x osób.

Na tej szosie, o której już pisałem, mniej więcej w połowie drogi do Siennicy, udało mi się otrzymać 20 litrów benzyny. Obliczyliśmy, że benzyna ta powinna nam wystarczyć do Siedlec, gdzie mieliśmy się zaopatrzyć w dalszy zapas. Do Siedlec pojechaliśmy na Stoczek Łukowski i zaraz za Stoczkiem zostaliśmy zatrzymani

^{*} Należy rozumieć jako – naszej większości, M.Zakrzewski, op.cit.

^{*} W dawnym znaczeniu – tabor wojskowy, tamże.

^{**} Wieś na Wołyniu między Lubomlą a Kowlem.

przez jakiegoś kapitana, który polecił nam zabrać dwóch ciężko rannych oficerów i odwieźć ich do szpitala w Łukowie. Jeden z rannych był pułkownikiem i miał nogę w gipsie, tchórz i nerwowo, jakich mało, drugi porucznik pilot miał całą twarz i obie dłonie opalone. Przez cały czas drogi zachowywał się wprost po bohater-sku, znosząc ból z całą wytrzymałością, na jaką stać go było. Wystarczy fakt, że przez całą drogę prawie wcale nie jęczał. Poza nimi dwoma zabraliśmy jeszcze trzech łzej rannych.

Od samego początku wojny trwała piękna, słoneczna pogoda. Taka sama była i wówczas. Ze względu na stan rannych postanowiliśmy jechać natychmiast i pojechalśmy. Zaraz za Stoczkiem ciągnie się szosa obsadzona świeżymi drzewkami, nie dającymi żadnej osłony. Na tej szosie zaatakował nas, co prawda bez rezultatu samolot bombowy. Na trzecim mniej więcej kilometrze zatrzymał nas sanitariusz z rewolwerem w rękę, chcąc abyśmy zabrali rannych, oddanych jego opiece. Widocznie wiele aut zatrzymywał bez skutku, jeżeli do nas zastosował presję. Tłumaczył, że jest to ciężko ranny, który może nie przeżyć transportu furą tak, jak nie przeżył tego ranni w liczbie sześciu, od-

dani jego opiece. Nie można go było wziąć, bo nie było miejsca, pułkownik jednak obiecał, że natychmiast z Łukowa wyśle sanitarkę. A sanitarki zamiast zbierać rannych – woziły prywatne rzeczy i żony panów oficerów, ranni zaś ginęli.

W Łukowie w szpitalu rannych nie przyjęto, bo miejsca nie było nawet na podwórzu. Musieliśmy więc mimo niebezpieczeństwa jazdy dniem odważyć się na dalszą podróż do Lublina. Gorzej było z benzyną, której nie mogliśmy w żaden sposób nigdzie w Łukowie dostać. Wreszcie po wielu staraniach otrzymaliśmy parę litrów, które pozwoliły nam ruszyć w drogę. W dalszej drodze miałem zamiar wystarać się o większą ilość benzyny. Koło południa stanęliśmy w lesie na odpoczynek, przed zachodem słońca ruszyliśmy w dalszą podróż by o pierwszej w nocy stanąć w Lublinie.

Szpital do którego zawieźliśmy naszych rannych był zapełniony, jak to mówią, po brzegi. Na każdym schodku leżał jakiś ranny. Wszystkie korytarze zamieniono na sale szpitalne. Wszędzie duszący zapach chloroformu, jodyny i innych specyfików oraz jęki rannych. Większość tych rannych – to cywile, którzy ucierpieli od nalotów. Po ulokowaniu rannych

postanowiliśmy trochę odpocząć i zatrzymać się chociaż jeden dzień. Szofer nasz, który niejednokrotnie był przyczyną naszej wesołości, postanowił przejechać dobre wóz, by nam nie zrobił czasem jakiejś niespodzianki w dalszej drodze.

W Lublinie byliśmy 13 września. Cały ten dzień niestety nie upłynął nam według programu, spędziliśmy go bowiem znów na szukaniu benzyny. Tam zaszedł wypadek charakterystyczny solidarności pocztowców. Dyrekcja jeszcze była na miejscu (oczywiście lubelska). Urzędy były czynne, cały tabor przygotowany do wyjazdu, bo Lublin również przygotowywał się do ewakuacji. Benzyny było tyle, że wystarczyłoby na objechanie połowy świata, zdawało się, że trudności w uzyskaniu jej nie będzie. Tymczasem zaczęło się wysyłanie od jednego do drugiego. Wreszcie biurokraczm wziął górę i bracia Polacy benzyny nie dali, bo brak było zapotrzebowania, a więc brak asygnaty, a bez tego magazynier byłby bardzo rad, ale z przykrością musiał odmówić. Tylko inicjatywy, psia krew, panu magazynierowi było brak. A ja gdyby to leżało w mojej mocy, kazałbym tym wszystkim ananasom dyrekcji lubelskiej z dyrektorem na czele wypić pięć

beczek trzystu litrowych benzyny. Jest to ilość jaką teje nocy uciekając w popłochu bydłaki zostawili.

Celem naszej wędrówki była własna dyrekcja, która co dzień zmieniała miejsce. Była tak przewidywająca, że nie mogliśmy jej w ogóle złapać. W Lublinie była, lecz wyjechała całym taborem, z dyrektorem na czele do Włodawy. Cóż było robić. Z benzyną, jaka była w baku wyruszyliśmy na Włodawę. Noc ciemna bezksiężycowa, a dookoła pożary. Z każdej góry widać wsie i miasteczka płonące. Wśród tych pożarów dojechalśmy na połowę drogi do Włodawy, na tyle nam starczyło benzyny.

Szosa od Włodawy do Chełma była wyjątkowo mało uczęszczana i nie mogliśmy zdobyć benzyny. Wróciliśmy do środka napędowego w większości przez wojsko nasze używane, mianowicie do pary koni. Ciągnęliśmy się stępą do rana, po to by rankiem cały samochód przekazać miejscowemu sołtysowi, a samym furą udać się w dalszą drogę. Szczęście nam jednak sprzyjało, bo przejechał samochód z znajomymi oficerami, którzy benzyny nam dali i poczęstowali zapasami jakie mieli, a więc boczkiem, chlebem, ogórkami konserwowymi itp. itd. Głód nie wszystkim dokuczał.

Cały czas naszej wędrówki spotykaliśmy oddziały wojskowe, lecz nigdy nie widzieliśmy, żeby na czele był oficer służby czynnej. Zawsze był to albo sierżant, albo podchorąży, albo jakiś safandulski podporucznik rezerwy. Przypominały mi się wówczas słowa, że mamy oficerów młodych, ale doświadczonych. Rzeczywiście doświadczenie ich sięgało aż do starożytności i do wyboru lepszych środków lokomocji.

Po otrzymaniu benzyny wróciliśmy do Chełma, by tamtędy udać się na Kowel. Okropna to była droga. W Chełmie udało mi się jeszcze dostać kilkadziesiąt litrów benzyny i z takim zapasem byliśmy pewni, że do Kowela spokojnie dojedziemy. Nikt z nas nie przypuszczał, że może istnieć taka droga. Od Chełma do Kowla trakt, bo inaczej tego nie można nazwać, idzie wzdłuż toru kolejowego. Szczery piasek! Jeżeli jeszcze weźmie się pod uwagę suszę, trwającą od dwóch miesięcy, to można sobie wyobrazić jak ta droga nadawała się do jazdy samochodem, czy w ogóle jakimkolwiek środkiem przewozowym. Nasz chevrolet zdał egzamin w 100 %. Na przestrzeni 48 kilometrów minęliśmy cały tabor wojskowy, jadący tam chyba dziesięcioma rzędami, tabor cywilny

wówczas prawie wcale nie ucierpiało od nalotów przepelnione było wieloletnią rzeszą uchodźców. O dostaniu czegokolwiek do zjedzenia nie było mowy i nie wiem co byśmy robili gdyby nie znajomości naczelnika z Mińska, który na terenie Kowla miał bardzo szerokie stosunki. Co prawda nie przyjęli nas z tą słynną staropolską gościnnością, ale zawsze coś się tam i do zjedzenia znalazło i przez jedną noc przenocować nam dali. W ogóle nocowaliśmy tam co noc u kogoś innego, a jedną noc spaliliśmy w samochodzie, tylko rano nie mogliśmy rozprostować swoich kości.

W Kowlu nastroje były bardzo różne i bardzo różne plotki krążyły. Powtarzać wszystkich nie ma celu. Za to wiadomość o wkroczeniu wojsk rosyjskich w nasze granice była gromem z jasnego nieba. W mieście zawrzało. Wykrzykiwano o zdradzie, sprzedaniu kraju itd. Kto wie do czego by mogło dojść wówczas, gdyby nie były już bardzo dyplomatyczne, a w swej podłości przechodzące samą zdradę, posunięcie. Mielśmy zamiar udać się w stronę Zamościa – Lwowa, gdy wtem gruchnęła wieść tak radosna, że wprost ludzie ze szczęścia na ulicy płakali. Twierdzono mianowicie, że Ameryka wystosowała 24 godzinne

ultimatum do ZSRR w sprawie wycofania wojsk z granic naszego kraju, że Japonia ultimatum to podtrzymała, grożąc natychmiastowym wkroczeniem wszystkimi swoimi siłami, że Turcja bije się już na południu, że Anglicy wysadzili swoje wojska w Gdyni i połączyli się z armią Bortnowskiego, że Bortnowski rozbił pierścien, oswobodził Warszawę i dąży na Opole, by odciąć drogę dywizjom niemieckim za Wisłą i tyle jeszcze innych wieści radosnych. Pogłosek różnego rodzaju krążyło bardzo dużo, więc po sprawie ostatnich udaliśmy się do komendy garnizonu, która urzędowo wszystkie te wiadomości potwierdziła.

Oczywiście postanowiliśmy natychmiast wracać. Biegnę do miejsca postoju samochodu i po drodze widzę rozbijających się w lasku żołnierzy. Bardzo ostrożnie pytam rezerwistę podporucznika, czy to prawda – to rozbicie się – on mi potwierdza z goryczą mówiąc, że „wykuwało” się Polskę więzieniem, Sybirem, własnymi kośćcami po to, by teraz z powrotem ją zaprzepaścić. Powtarzam mu nowiny świeżo słyszane, ale był mądrzejszy ode mnie i nie uwierzył mi.

* Władysław Bortnowski (1891–1966), generał dywizji, podczas wojny polskiej 1939 roku dowódca Armii „Pomorze”.

Nastąpiły znów starania o benzynę, w rezultacie zdobyliśmy spirytus, który zupełnie dobrze spełniał rolę paliwa. Wreszcie ładujemy się, zabieramy jeszcze niejakich państwa Barudów* z Lublina i po upewnieniu się, że nieprzyjacieli z Bugu wycofuje się za Wisłę, i że droga do Lublina wolna – ruszamy z powrotem. Jedziemy już w dzień, bo naloty ustały wskutek „interwencji” Ameryki, dojeżdżamy do Maciejowa gdzie zatrzymujemy się na noc, bo podobno w Lubomli coś nie wszystko w porządku. Wia- domości pewnych nie ma, więc na drugi dzień rano wyruszamy w dalszą drogę. Koło południa wyjeżdżamy z górki wpadamy w ręce Ukraińców, którzy nas doszczętnie rozbijają. W międzyczasie widzieliśmy jeden samochód patrolowy niemiecki i jeden motocykl. Po rozbiciu puszczono nas wolno w dalszą drogę. Ponieważ most na Bugu był spalony, więc ruszyliśmy drogą w górę rzeki, by tam przejechać w bród. Przeprawa kosztowała nas 200 zł, co uważane było za niską stosunkowo cenę. Ludzie mieszkający tam porobili w ciągu tygodnia majątki! Pocieszam się tylko,

* Nie udało się odnaleźć informacji o wymienionych osobach.

że krzywdą nie tuczy, i że pewno nie- jeden z nich kiedyś przed Bogiem będzie odpowiadał.

Od tej przeprawy do Chełma droga była rzeczywiście wolna. Na całej trasie nie spotkalismy żadnego żołnierza, ani polskiego ani niemieckiego. Dopiero wyjeżdżając do Chełma natknęliśmy się na bojowy patrol polski udający się w kierunku na Zamość. W Chełmie zaopatrzyliśmy się w dalszy zapas paliwa, ale informacji czy droga do Lublina wolna zdobyć nie mogliśmy. Wyjeżdżając przez barykady za miasto natknęliśmy się na kolumnę samochodów 1 p.** udającą się również do Lublina. Mieliśmy zamiar jechać za nimi, ale nim się oni wygrzebali minęliśmy ich i po przejechaniu przez wszystkie pułapki i barykady bez żadnej szkody ruszyliśmy pełnym gazem na Lublin. Nie ujechalismy daleko! O sześć kilometrów od Chełma na górcę, zobaczyliśmy rozsypane po drodze i polach światła. Zatrzymano nas i okazało się, że był to czołowy patrol niemiecki. Zachowywali się poprawnie, zapytali nas czy posiadamy broń, a gdy wyjaśniliśmy, że została nam zabrana w Lubomli, polecieli cofnąć się do wsi i zaczekać do rana.

** Prawdopodobnie – pułku

Na drugi dzień rano pojechalismy w dalszą drogę. Nie była to droga bez przeszkód, bo przed Piaskami po raz drugi nas zatrzymano, zabrano w oboz męczyzn, z męczyzn wybrano tych, którzy byli od początku wojny w szeregach po to, by poprowadzić ich jako jeńców wojennych do Niemiec. Stwierdzić tu muszę, że pod pojęciem „jeniec”, rozumiało się żołnierza, którego wzięto podczas działań wojennych. Ci zaś, o których mówiłem, byli zdemobilizowani i puszczeni do domów na parę tygodni przed tym. Po użyciu paru wojennych forteli wyjechalismy samochodem w dalszą drogę i po południu stanęliśmy w Lublinie, gdzie nas gościnnie podejmowali państwo Barudowie, nasi towarzysze podróży z Kowla.

Bajki słyszane w Kowlu „urzędowo” potwierdzone rozwały się, istniała rzeczywistość z którą należało się pogodzić. Staralismy się bunt wewnętrzny, który istnieć musiał, stłumić i w myśl zarządzeń władz okupacyjnych postanowiliśmy się udać do naszych miejsc pracy, by pełnić służbę przerwaną przez wojnę. Go- rzej, bo nie mieliśmy dostatecznej ilości paliwa i balismy się, że samochód stanie nam przed celem podróży. W celu usunięcia tego braku pan

Pitrow* wzięwszy blaszankę poszedł do komendantury w celu wystarania się o benzynę. Po sprawdzeniu, że ta benzyna jest konieczna przydzielili jej 10 litrów i to była pewnego rodzaju tragedia. Pitrow na benzynie się nie znał i to co otrzymał od razu wlał do baku. Tymczasem była to mieszanka tłusta, która tak zanieczyściła spirytus jaki mieliśmy, że w czasie jazdy zanieczyścił się stale karburator, wreszcie uszkodziła się pompa ssąca – tłocząca. Staralismy się ominąć pompkę, w tym celu odjechaliśmy bak, przeniesiśmy go do środka dając benzynę wprost na karburator, ale i to nie pomogło, więc w Markuszowie ostatecznie opuściliśmy naszego chevroleta, na którym przejechalismy w bardzo ciężkich warunkach przeszło 600 kilometrów.

Dalej podróż odbywalismy bardzo różnie. Pieszo, furą, rowerem, bo i jeden rower mieliśmy ze sobą, aby do domu, aby do swoich. Po ciosie zadającym naszym narodowym ambicjom, każdy chciał zobaczyć chociaż to, co nam jeszcze ocalało. I ja przeżywałem całe burze i jedna myśl tylko mnie trapiła – po co to wszystko. I coraz smutniej mi było w drodze. Widzia-

* Nie udało się odnaleźć informacji o tej osobie.

łem działa porzucane po drogach, i 100 ludzi. Trupy ludzkie wrzucono przy nich pełno amunicji jeszcze. Amunicja nie wystrzelona! Widziałem karabiny maszynowe wrzucone do rowu w zupełnie dobrym stanie! Widziałem amunicję rozgniecioną na całych kilometrach! Jaka musiała być dyscyplina, jeżeli żołnierz rzucił broń do rowu i szedł dalej, jacy dowódcy, którzy do tego dopuścili! Dowódcy! Na czele maszerujących oddziałów podoficerowie i podchorążowie! Przez cały czas powrotnej drogi myślałem o tym, co się mogło stać z kadrą oficerską, bo jadąc od frontu myślałem, że cofają się z ostatnimi szeregami. Tam ich jednak nie było!

Szosa całymi kilometrami niemożliwie cuchnęła padliną. Konie zabite przez lotników w upale rozkładały się zanieczyszczając do tego stopnia powietrze, że przejeżdżając, czy przechodząc musiałem zatykać nos chustką, lub wciągać głęboko powietrze i starać się nie oddychać. Padliny tej było tak dużo, że nawet wrony i sępy nie fatygowały się do niej. Padły stadem na pola i tam uctowały z dala od ruchu, który ich płoszył. Padlinę dopiero zaczęto grzebać gdyż już niebezpieczeństwo zarazy groziło.

Koło Garwolina w małym lasku olśzowym zabito przeszło 250 koni

do rowu i przysypano z wierzchu piaskiem. Warstwa ziemi była tak cienka, że deszcz padając obnażał tu rękę, gdzie indziej nogę. Przy samej drodze mogła majora z 15 p. ul. (tak przynajmniej twierdzili moi koledzy), który pozabawił się życia wystrzelałem w skroń widząc beznadziejną sytuację. Teraz, już po wojnie dowiedziałem się, że jeden z moich kolegów z korpusu kadeckiego, Wróbel Jan*, w stopniu porucznika na wieść o ostatecznej klęsce odebrał sobie życie. Cześć pamięci tych, co hańby przeżyły nie umieli!

Szliśmy przez Garwolin, Ryki i ścisłało się nam serce coraz boleśniej, coraz więcej niepokój szarpał, czy zastaniemy coś więcej niż gruzy? A tu podróż się przeciągała! Za Parysowem placówki niemieckie wszystkich zatrzymywały nie puszczając dalej. Nie podawano ani powodu tych zarządzeń ani czasu jak długo trwać będzie wstrzymanie ruchu na drogach.

Zatrzymaliśmy się w miejscowości Stodzew, stąd widać było wieżę kościoła w Latowiczu. Wieża ta, to prawie jedyna budowla, która w tym miasteczku ocalała. W Stodzewie by-

* Nie udało się odnaleźć dodatkowych informacji.

liśmy cztery dni. Spaliśmy na słomie pokotem. W małej niskiej izbie gnieździło się nas 12 osób. Ciepłe dni minęły i nolens volens musieliśmy całonocnie siedzieć w zaduchu. Gdy wychyliłem głowę na dwór to dostawałem zawrotu.

Ze Stodzewa w ciągu połowy dnia dotarliśmy do Mińska Mazowieckiego, gdzie zatrzymałem się u kapitanaowej Łopuszańskiej. Syn jej zaciągnął się do tworzącego się oddziału ochotniczego przysposobienia wojskowego. Dowódcą tego oddziału był oficer komendant okręgu R.W*. Oddział jego miał przydzielony samochód, do którego Łopuszański** włożył własny plecak wypakowany bielizną i prowiantami. Pewnej nocy ochotnicy się budzą i nie znajdują ani samochodu, ani dowódcy, ani swoich rzeczy. Bohater ten milczkiem, nocą zwił swoim podwładnym, tak jak jego koledzy w wojsku robili.

Były to wiadomości, które identycznością swoją przypominały czasy „potopu”, kiedy zdrajców było więcej niż ludzi uczciwych. Wszystko we mnie się burzyło! Cała wiara jaką miałem w honor wojskowych, w ich

* Nie udało się ustalić imienia i nazwiska.

** Nie udało się ustalić imion kapitana i jego żony.

ambicję, dawno upadła, ale nie było we mnie jeszcze nienawiści. Teraz zaczęła się zbierać nienawiść! Zapiekaliśmy się wewnątrz, tworzyła się zawzięta złość, żeby takiego drania dostać w swoje ręce! Może to były dyrektywy ich władz, ale na polubel tym władzom! W duszy powstała nienawiść nie do wroga, który ziemię zabrał, ale do ludzi, którzy powołani, szkoleni, odpowiednio uczeni ziemię tę bronić – uciekli! Uciekli jak tchórze, którymi można tylko pogardzać, dla których nie zdobędę się na żadne inne uczucie, jak na wstręt! Być zwyciężonym przez silniejszego – to trudno, ale uciekać, nie spróbować nawet czy jest możliwość obrony – to hańba! Hańba ta w dziejach naszej historii będzie przez wieki płamą, a pokolenie współczesne na wieki zhańbione! Zhańbione dzięki ludziom, co dorwawszy się do żłobu, zapomnieli, że ten żłób łatwo stracić! Dziś go stracili bezpowrotnie!

Pytałem w Mińsku Mazowieckim jak wygląda Rembertów? Większość mówiła, że doszczętnie spalony. Tu znów wychodziła zaleta moich rodaków – błaga! Żaden z nich nie był w Rembertowie po wojnie, ale każdy z całą pewnością mówił o jego zniszczeniu. Po dwóch dniach pobytu

w Mińsku i upewnieniu się, że można iść dalej, ruszyłem do domu. Trudno opisać wszystkie uczucia jakie przeżywałem w tej drodze. Niepokój domiноваł nad wszystkimi innymi pchał mnie coraz więcej naprzód tak, że towarzyszy podróży pożegnałem w Mińskiej, bo nie mogli za mną nadążyć. Zastałem wszystko w porządku!

Część obecna moich wspomnień nie będzie miała charakteru opisu – tego bo trudno mi będzie tak obiektywnie traktować moje uczucia. Będę chciał przedstawić teraz sposób życia, sposób zdobywania „chleba powszedniego”, szukania źródeł dochodu itd. Dużo z właściwych przeżyć będę musiał opuścić ze względu na to, że mogą te zapiski trafić do różnych rąk i może trzeba by było ponosić za to odpowiedzialność, a obecnie najmniej jestem do tego przygotowany, tym bardziej, że absolutnie czynnie na to nie zasługuję. Czynnie, to znaczy, że w niczym nie myślę, ani zarządzeń, ani rozkazów obecnych władz nie honorować, a krytyka niech w duszy zostanie. Jestem z tych Polaków co nie zapominają ni krzywd, ni dobra.

Jak już wspomniałem, zastałem wszystko w porządku. Zdawałoby się to zupełnie naturalne, że z chwilą gdy dom nie jest zburzony, powinno

być wszystko w porządku. Tak byłoby w kraju, gdzie poczucie cudzej własności jest wкорзненione w społeczeństwo. U nas tego rodzaju uczucia są w zaniku, a w praktyce wyglądało to w ten sposób, że wszystkie mieszkania, których właściciele czy to ze strachu, czy wskutek rozkazu się ewakuowali, zostały doszczętnie obrabowane. Rabunek ten był usankcjonowany wolą ogółu i odbywał się w białych dzień, wśród wzajemnych wymysłów, śmiechu Niemców i trzasku ich aparatów fotograficznych. Z odrząż myślę o tym plebsie i rozumieć te raz odrząż arystokracji do gminu. Jest to bydlę, któremu szkoda poświęcać inne uczucia prócz pogardy. W chwili obecnej często widać na ulicy twarz, co to po rosyjsku kierpicza prosić, obramowaną w srebrne lisy, których nosić nie umie, często można być świadkiem ulicznych kłótni o jakąś odzież, którą poznają różne osoby na drugich. Ucieszyłem się więc szczerze, gdy otworzywszy drzwi stwierdziłem niezmienny stan z przed wojny. Rzeczy, które mam są mi szczególnie

* Dosłownie – prosi o cegłę, rosyjski idiom który należy tłumaczyć: osoba prosząca o dostanie po głowie, narażająca się na kłopoty, dosadnie – prosząca o dostanie w mordę, M. Zakrzewski, op.cit.

drogie, bo odziedziczyłem je po tragicznie zmarłym Walerym Sławku, po człowieku, który był otoczony przeze mnie kultem, pomijając jego zasługi dla kraju, i pomijając cenę właściwą tych rzeczy*.

Wspominałem już o tym, że moi bliscy również wyemigrowali, gdy nieprzyjaciół przeszła linię Bugu. Pobiegłem więc do domu teściów, zobaczyć czy są i czy tam wszystko w porządku. Mieszkanie ocalało ale mieszkańców nie było! Byłem sam bez żadnej przyjaznej duszy, bez środków do życia w ogołoconym przez rabunek miesście, oddany myśłom ciężkim i ciemnym, jak jesienne niebo. Tym, że nie było co jeść – nie przejmowałem się, ale troska o tamtych spędzała mi sen z powiek, kłóciła każdą myśl. Wiedziałem, że nie mieli dużo pieniędzy i wiedziałem co się działo w tamtych stronach, gdzie miliony ludzi przemaszerowało. Nie mogłem spokojnie

* Więcej na temat spadku i relacji pomiędzy Z.Zakrzewskim i W.Sławkiem patrz: M.Michalik, Zbigniew Zakrzewski „Bryła”, op.cit., s. 42, 50. Sprawa jego sławnego wujka powróciła jeszcze pod koniec jego życia podczas procesu łódzkiego WiN. Jeden z komunistycznych dzienników prasowych nawiązał do tego w tytule relacji z procesu, Sióstrzeniec Walerego Sławka i profesor uniwersytetu łódzkiego w komendzie łódzkiej organizacji WiN, „Głos Ludu”, 15 I 1947, nr 14.

myśleć o brakach jakie mogli mieć w tej podróży. Samo jednak myślenie nic mi pomóc nie mogło. Trzeba było coś zrobić. To pierwsza wojna, którą przeszedłem jako dorosły człowiek, więc każde doświadczenie trzeba było samemu zdobywać.

Na drugi dzień poszedłem do Warszawy. Warszawa, miasto tyłu tradycji, miasto królów i nieprzeliczonych pańątek, miasto gdzie tyle przeżyłem, tyle nadziei pokładałem, leżało, jak moje nadzieje – w gruzach! Obraz zniszczenia straszny! Ulice zawałone gruzem, swąd spaleniźny łączył się z trupim zapachem przywalonych ścianami ciał, na jezdniach błoto, lepka maź po której deptał bez ustanku korowód ludzi – upiórów, wynędzniałych, wygłodniałych, brudnych. Nowy Świat miał tylko jezdnię lekko oczyszczoną, bocznice jak Świętokrzyska, Warecka, zupełnie zawałone na całą szerokość. W domach nie zburzonych przez bomby pustymi oknami dołami świeciły okna i smutnie wyglądały na ulice rozwalone, obrabowane sklepy. Ludność się snuła jakaś cicha, nieśmiała, raz w raz uchylająca czapkę przed krzyżem, co na środku chodnika wyrastał i był również smutny jak ta ludność, z dwóch paryków jednym gwoździem zbita.

Krzyży tych bardzo dużo! To po-
legli w oblężeniu. Nie sami żołnie-
rze! Śmierć nie szukała mundurów,
a bomba z góry lecąca czy pocisk ar-
matni nie umiała odróżnić cywila od
żołnierza. Każdy skwer to cmentarz,
tak jak jednym cmentarzem były pola
podwarszawskie, tylko tam zamiast
krzyży stał wetknięty lufą w ziemię
karabin, na karabinie hełm lub zwy-
kła czapka, pas, ładownice. Smutno
było, jak smutna jesień i żal tych mło-
dych istnień niepotrzebnie straco-
nych. Bo cóż z tego, że jakiś patriota
będzie mówił o uratowanym honorze,
kiedy wiadomo, że to bлага, a leż ma-
tek nikt nie obetrze, żalu nie ukoi na-
wet ta myśl, że syn zginął w obronie
słusznej sprawy. Smutnie wyglądały
te pola, smutne, szare było niebo i we-
mnie taki sam smutek gościł. Ale ży-
cie jest życiem. Oklepamy niby frases,
ale jakże bardzo teraz właśnie był ak-
tualny.

Szedłem do Warszawy w nadziei
znalezienia jakichkolwiek środków do
życia. Byłem bez pieniędzy, bez zapa-
sów, bez możliwości zapracowania na
chleb bo pracy nie było żadnej i cho-
ciaż miałem parę złotych, bez możno-
ści kupienia żywności bo tej nie było.
Wytworzyły się warunki śmieśznie
skandaliczne, kiedy kupował tylko

magnat finansowy i złodziej. Za chleb
płacono 20 zł, za kilo kartofli 3 zł.
Mnie naprawdę nie było stać na tak
drogi pokarm. Rozpacz mnie ogar-
niała! Dzień cały chodziłem o głodzie
w przemoczonym obuwiu nie widząc
wyjścia z sytuacji. Nikogo z tych co
by mi pomóc mogli nie znalazłem.
Kupiłem za 20 zł papierosów i z tymi
papierosami ruszyłem do domu mając
nadzieję wymienić je na wsi na pro-
dukty żywnościowe. Przyszedłszy do
Rembertowa odwiedziłem po kolei
kilkę domów, które dawniej korzysta-
ły bezpośrednio, czy pośrednio z róż-
nych moich grzeczności w nadziei, że
może mnie gdzieś poczęstują czymś
do jedzenia, ale uczucie gościnności
w tych czasach zginęło. Na szczęście
w domu miałem jeszcze kromkę chle-
ba, którą zostawiłem na „wszelki wy-
padek”.

Samoloty rozrzuciły ulotki, na-
wołując ludność wsi do dostarczania
artykułów żywnościowych. Chłop
stał się panem! Jest przysłówie, że nie
masz gorszego pana z chłama i to przy-
słowie jest stale aktualne. Teraz nie
wiem, czego więcej nienawidzę, czy
zdrajców, którzy uciekli, czy „poczci-
wych” kmiotków, którzy zostali ale
z których dałbym pasy bez wyrzutu
sumienia. Chłop nie wiedział jakie

ceny stawiać! Stawiał bardzo wysokie
a klasa pracowników umysłowych
i rzemieślników, reszta zmaltretowa-
na tulaczka, poniewierka, zdemorali-
zowana strachem przed nieszcześciem
leczącym bezlitośnie z góry, wynędz-
niała i wyголоzona płaciła każdą cenę,
byle do ust coś włożyć. Po zapłaceniu
i zjedzeniu stawy z rozpaczą każdy
patrzył w przyszłość.

Przyszłość czarna! I bez nadziei!
Ziemia nasza, bogata żywicielka tylu
milionów, nagle nie może wyżywić
swych dzieci! Zabrakło chleba! Kar-
tofle, ten chleb najuboższych stał się
za drogi, stał się czymś bardzo pożą-
danym, czymś prawie nieosiągalnym.

A chłop, bydle z uczucia wyzute potra-
fił oddać w ręce władz nędzarza, któ-
ry mu ukradł z wozu kartofle i scho-
wał je do... kieszeni! Chłop, brudne,
cuchnące bydle, zaczął kupować fu-
tra, drogie ubrania, które i tak znisz-
czy, bo do gnoju się nie nadają! Chłop
zaczął drzeć skórę. Za żadnych czasów
to zwierzę tak nie rozpanoszyło się jak
teraz. I nikt przeciw temu nie wystę-
pował, nikt nie pomyślał o obronie
milionowej rzeszy inteligencji, niech
zginie! Ale nie zginie i nie zginęła!
Natury twarde! Odezwała się nasza
zaciętość, o chlebie z wodą, kartoflu
z solą miliony ludzi żyje i żyć będzie!

Miliona tego nie zmoże ni głód, ni
zima sroga, jakiej od stu lat nie było.

Drożyzna szaleje. Można kupić tyl-
ko to co producent chce przywieźć.
Milionową Warszawę mają wyżywić
powiat: radzyński, miński, błoński.
Powiaty te objedzone były już w czasie
wojny. Teraz pokój. Pokój – wielkie
słowo. Ale tylko słowo. Teraz dopiero
toczy się wojna, wojna o życie! Każdy
kęs chleba jest zdobywany tysiącem
fortelów, heroizmem, poświęceniem,
oszustwem, kradzieżą, wszystko jed-
no jak, byle nie w normalny sposób.
Normalnie nic dostać nie można!
Można się zarejestrować jako bezro-
botny i .. dalej nic nie robić .

Ja żywność zdobywałem w różny
sposób. Kupowałem w Pułtusk, bo
tam było taniej i przeprowadzałem się
w bród pchając wóz, moknąc po pas
w lodowatej wodzie, bo inaczej prze-
wieźć nie można było. I co to była za
żywność! Kartofle! Jeździłem do Lub-
lina, bo tam było taniej, a z powrotem
przy 22 stopniach mrozu w nieopa-
lanym wagonie 19 godzin jazdy. Pró-
bowałem handlu, ale miałem za mało
gotówki żeby to się opłacało. Wozi-
łem gruz marznąć i moknąć od świtu
do nocy. Dotąd żyję. Żyję jak zwierzę,
które póki głodne szuka pożywienia,
a syty nigdy teraz nie jestem, bywam

tylko napchany. Wielką ulgę przynosi mi w tej doli żona, która z pogodą znosi ten los i mnie dodaje ducha, oraz mój wrodzony optymizm, który nie pozwala mi zrezygnować z przyszłości. Wierzę, że jeszcze żyć będę, że

TADEUSZ STAŃSKI

WSPOMNIENIA (1978–1979)



Zdjęcie Marka Ząkrzewskiego i autora podczas konferencji prasowej pod siedzibą UB na ul. Anstadta w Łodzi



Krzyż Komandorski wręczany synowi Zbigniewa Markowi Ząkrzewskiemu przez Prezesa IPN Janusza Kurtykę

Data 18 kwietnia dla większości ludzi jest bez znaczenia. Dla mnie i mojej żony jest to dzień wyjątkowy, który staramy się spędzać w sposób odmienny od innych szarych dat. W 1978 roku była to już nasza ósma rocznica ślubu.

Wróciliśmy do domu około godz. 18 – ej i rozpoczęliśmy przygotowania do uroczystej kolacji. Czynności te przerwał nam sąsiad, który przyszedł z wiadomością, że był u mnie kuzyn i opis kuzyna nie odpowiedział wizerunkowi nikogo z rodziny. W trakcie kolacji około godziny 19 – ej usłyszeliśmy dzwonek. Przez wizer zobaczyłem mężczyznę w białym prochowcu. Był średniego wzrostu, gruby, lat około 45 i na pewno nie był moim kuzynem. Gdy otworzyłem, jego pierwszą czynnością było włożenie nogi pomiędzy próg a drzwi. Jednocześnie zobaczyłem, że na korytarzu stoi kilku innych ludzi. Serce zabiło mi szybciej. Mężczyzna w pro-

chowcu przedstawił się: „Jestem kapitan Grad. Mamy nakaz przeszkupania pana mieszkającego. Pan Tadeusz Stański?”. Wpuściłem do środka pięciu mężczyzn ubranych po cywilnemu. Zapelnili cały przedpokój. – „Będziemy mieli rewizję” – powiedziałem do Ali, a odpowiedziały były jej przerażone oczy. Zażądałem od nich okazania legitymacji i nakazu rewizji. Nakaz dli mi do ręki, natomiast legitymację machnęli tylko przed oczami. Potrzebowałem czasu na ochłonięcie; zacząłem im robić małą awanturę o legitymację i jednocześnie uświadamiałem sobie ile trefnych rzeczy mam w domu. Ze służbowej legitymacji MSW, którą jednak otrzymałem, spisałem dane kpt. Grada – nie wyglądał na zadowolonego. – „Czy życzy pan sobie kogoś jako świadka przy przeszukiwaniu?” – zapytał. Trzymając ich cały czas w przedpokoju poszedłem po Kodeks Postępowania Karnego. Szukałem artykułów dotyczących re-

wizji, ale nie znalazłem praktycznie niczego.

Rewizja dla Polaków to nic nowego. Od 200 lat jest tak samo. Zmieniał się tylko uniformy i nacje tych, którzy to robią. W moim przypadku było to przykre dlatego, że ci co przyszlizli 18.IV.1978r. na pierwszą w moim życiu rewizję byli Polakami. Wolałbym, aby to byli Rosjanie lub Niemcy – byłoby to zgodne z wielowiekową tradycją.

Funkcjonariusze SB przeprowadzali rewizję zaglądając i szperając wszędzie. Robili to systematycznie i z widoczną wprawą. Niczego nie niszczyli i nie zostawiali po sobie bałaganu. Mam sporo książek, które strona po stronie zostały sprawdzone. Zajął to kilka godzin, ale żadnej książki nie opuścili. Odkładali na stół te, które ich interesowały. Z żalem patrzyłem jak wśród nich znalazł się gruby tom „Przemówień, rozkazów, wystąpień” gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Prawdziwy rarytas dla koneserów w Polsce. W miarę upływu czasu na stole robiło się coraz cieżniej. Z mojego biurka trafiło tam kilka teczek notatek i opracowań na temat sytuacji międzynarodowej, sytuacji w Rosji i w Polsce. Całość była przygotowywana przez wiele miesięcy

żonej przez Jerzego Strzałkowskiego organizacji, której celem było wychowanie młodego pokolenia metodą samorządności. Jerzy Strzałkowski był w czasie wojny twórcą Powstańczych Oddziałów Specjalnych „Jerzyki” i dowodził oddziałem żołnierzy AK z Kampinosu idącym na odsiecz powstańczej Warszawie. Akcja się nie udała i doszło do bitwy na skraju Puszczy Kampinoskiej pod Pocięchą. Skromny partyzancki cmentarzyk stał się dla nas miejscem symbolicznym. W 1966 roku zostaliśmy spacyfikowani jako organizacja.

Rozmyślania przerwał mi kpt. Grad, który przystąpił do formalnego przesłuchania do protokołu. Interesowało go co robiłem 17 – go kwietnia. Zgodnie z prawdą podałem, że rano pracowałem w domu, a potem cały dzień byłem z żoną. Na pytanie, czy nie należę do ROPCiO, odpowiedziałem odmownie. Zadał mi jeszcze kilka pytań; jakby mniej istotnych, i poprosił o podpisanie protokołu. Następnie radził mi, abym nie wiązał się z ROPCiO. Kiedy puścili mnie była druga w nocy, ale w całym gmachu komendy paliło się światło, co świadczyło o intensywnej pracy.

Mój powrót uspokoił zdenerwowaną żonę. Zrobiłem przegląd

mieszkania i okazało się, że rewizji nie przeprowadzili najlepsi fachowcy. Nie znaleźli wielu cennych rzeczy, a maszyny do pisania nie chciało im się dźwigać.

Następnego dnia dowiedziałem się, co było przyczyną wizyty tajemników w moim domu. Okazało się, że podobnych operacji przeprowadzono na terenie całego kraju bardzo dużo. W sumie, jak później obliczono, około 200. Praktycznie, aż do 13.XII.1981r., było to największe jednorazowe uderzenie na rzeczywistych i potencjalnych opozycjonistów.

Pretekstem stał się zamach na pomnik Lenina w Nowej Hucie. Uszkodzenia dokonano materiałem wybuchowym 17 kwietnia i zrozumiałem, dlaczego przesłuchujący pytał mnie co robiłem właśnie tego dnia. Lenin w czasie wybuchu stracił nogę. Przez kilka dni, dzień i noc, dorabiano mu protezę, aby był gotów na uroczystości związane z jakąś rocznicą. Efekty tych masowych rewizji były dla komunistów szokującym. Wielu z tych, u których po raz pierwszy pojawili się SB – cy, przestało mieć opory przed jawnym włączeniem się do życia opozycyjnego. Dla mnie również ta pierwsza rewizja była pasowaniem na jawnego działacza antykomunistycznego.

Po rozbiciu organizacji Jerzego Strzałkowskiego, o czym wcześniej wspominałem, doszedłem do wniosku, że komuniści są jeszcze zbyt silni i trzeba poczekać. Przez okres studiów na Wydziale Prawa Kanonicznego Akademii Teologii Katolickiej nie udzielałem się politycznie. W 1973r. podjąłem prace w PAX – ie, gdzie po gierkowskiej reformie administracji zostałem wybrany na przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego PAX w Siedlcach. Szybko nawiązałem kontakty z ludźmi o podobnych poglądach. Praktycznie już w 1976r. zaczęła się tworzyć silna grupa młodych ludzi, dla których PAX ze swoimi koncepcjami był nie do przyjęcia. Wśród nich był Romuald Szeremietiew, Tadeusz Jandziszak i Maciej Psrąg – Bieleniowski. Wydawałem wtedy w Siedlcach podziemny miesięcznik „Przegląd”. Zaczęły się nasze stałe i systematyczne (Romka od 1972r., a moje od 1977r.) kontakty z Leszkiem Moczulskim – wtedy jednym z liderów ROPCiO. Na wiosnę 1978r. złożyłem rezygnację z pracy w PAX – ie i praktycznie zacząłem działać w niejawniej opozycji. Mielśmy wtedy comiesięczne spotkania w mieszkaniu jednej z łączniczek AK na Żoliborzu. Uczestniczyli w nich Leszek, Romek i ja, a raz czy dwa An-

ną. Rozchodziliśmy się mówiąc: „Jak spadać to z wysokiego konia”.

Do nowej idei trzeba było przekonać Leszka Moczulskiego. Leszek był zdania, że ROPCiO stracił już swoją dynamikę, jest jednak znaną organizacją. Zaproponował, aby stworzyć płaszczyznę integracyjną dla wszystkich grup niepodległościowych, istniejących w kraju. Romek i ja byliśmy za powołaniem partii politycznej. W trakcie dyskusji nasze argumenty przeważały: należy otwarcie powiedzieć, że nadszedł czas, by podnieść wśród Polaków problem odzyskania niepodległości. Leszek zaproponował nazwę – Obóz Polski Niepodległościowej (OPN). Nazwa, która mówiła by wszystko – Polska Partia Niepodległościowa (PPN), miała niestety skróty przypisany już do utajnionej struktury – Polskie Porozumienie Niepodległościowe, działającej od 1976r. Zaproponowałem, aby zamiast „obóz” użyć tradycyjnej polskiej nazwy – Konfederacja. Dwa pozostałe członki nazwy były bezdyskusyjne.

Tak więc na początku maja 1978r. uzgodniliśmy, że zakładamy partię polityczną od nazwy KPN, a data jej ogłoszenia będzie związana z ważną dla Polaków rocznicą. Wybraliśmy datę 1.09.1979r.

Tymczasem w kraju trwały przygotowania do pierwszej wizyty Papieża. Okres poprzedzający wizytę był okresem cichej wojny SB ze strukturami opozycyjnymi. Chodziło o to, aby poza cenzurą nie ukazało się nic, co miałoby jakkolwiek związek z Papieżem Polakiem. Na tydzień przed wizytą SB odniosła duże sukcesy: większość publikacji wpadła w łapy tajniaków. Wszyscy mieliśmy cały czas obstawę. Naszą ambicją było jednak pokazać się publicznie, wyko-

rzystując fakt wizyty Papieża. Oprócz przygotowania transparentów, które mieli rozwinąć nasi sympatycy podczas uroczystości, chcieliśmy wydać numer „Drogi”, poświęcony Papieżowi i ulotki też z tej okazji. Nie dysponowaliśmy wtedy żadną techniką drukarską i ulotki mogłem zamówić w mieście oddalonym kilkadziesiąt km od Warszawy. Wizyta Ojca Świętego rozpoczynała się w niedzielę. W środę miałem odebrać ulotki i nakład „Drogi”. Tego dnia od rana miałem obstawę SB. Odwożem żonę do pracy, a potem wykorzystując dobrą znajomość stolicy, uciekłem śledzącym mnie tajniakom na osi Chopina i Pięknej poprzez teren ambasady rumuńskiej. Koło południa przekazałem naszym ludziom około 3

tyś. ulotek. Wieczorem czekało mnie o wiele trudniejsze zadanie: odebrać nakład „Drogi”. Musiałem niestety wrócić w pole widzenia tajniaków, gdyż czekałem na wiadomość, gdzie będzie odbiór nakładu i pieniędzy na jego opłacenie. Uznałem, że jest szansa oszukania moich prześladowców. Z okien klatki schodowej z wysokości XI piętra widziałem białego SB-owskiego fiata 125p. w środku jak zwykle zarysy trzech sylwetek. Zjechałem windą na dół i szybko poszedłem do kolegi z sąsiedniej klatki. Liczyłem, że wprowadzę bezpiekę w błąd, jeżeli uwagę skupili tylko na moim samochodzie. Powiedziałem Andrzejowi o co mi chodzi, a on wyraził dużą ochotę wzięcia udziału w akcji. Wsiadliśmy z klatki schodowej i wsiadaliśmy do jego fiata. Przejechalśmy kilkaset metrów i zatrzymaliśmy się w osiedlowej uliczce. Schowani między innymi samochodami odczekaliśmy kilkanaście minut. Uspokoił nas fakt, że nie przejechał obok nas żaden samochód z tajniakami. Ul. Bonifacego dojechalśmy do Włostroady, a nią w kierunku Mostu Łazienkowskiego. Pierwszym sygnałem niebezpieczeństwa było to, że na Rozbrat przez pewien czas jechał równoległe z nami samochód, z którego pilnie

nam się przyglądano. Po chwili samochód skręcił w ulicę Ludną, a my wjechalśmy na parking przy Cynku i stanęliśmy z tyłu budynku. Przyjeżdżając z ul. Solec stała zaparkowana czerwona Skoda. Numery się zgadzały. To od jej właściciela, który markował jakąś naprawę, mieliśmy odebrać 500 sztuk nakładu naszego ideowo – politycznego miesięcznika „Droga”. W zamian nieznajomy miał otrzymać 80 tys. zł. Druk był wykonany nielegalnie w państwowej instytucji, na państwowych maszynach i w godzinach pracy opłacanych przez PZPR – agentów PRL. Pieniądze miałem otrzymać na peronie dworca Powiśle. Zostawiłem Andrzeja w samochodzie i nie podchodząc do Skody udałem się na peron dworca. Cały czas miałem paskudne uczucie, że jestem obserwowany. Zauważyłem pijanego mężczyznę ubranego po robociarsku, ściskającego przy piersiach teczkę. Wydawało mi się, że do niej mówił. Gdy mnie mijal miałem wrażenie, że wcale nie jest pijany. Odebrałem kopertę z pieniędzmi. Zastanawiałem się, co robić. To, że byliśmy cały czas namierzani nie uległo już wątpliwości i szanse odbioru bibuły były minimalne. Postanowiłem jednak zaryzykować. Szybko podjechalśmy

do czerwonej Skody. Wymieniliśmy hasło i przekazałem kopertę. Przetoczyłem kilka ryz papieru do „malucha” musiało chwilę potrwać. Już po chwili jazdy zorientowaliśmy się, że podąża za nami jakiś samochód. Mimo prób nie udało nam się ich zgubić. Po kilkunastu minutach kluczeniu dojechalśmy do stromej uliczki, którą z Powiśla wjeżdża się na Stare Miasto. I tam, na ulicy Bednarskiej dwa samochody wypełnione tajniakami zepchnęły nas do krawężnika i zablokowały. Funkcjonariusze byli mocno zdenerwowani. Pobieżnie lustrowali zawartość naszego pojazdu, w którym na tylnym siedzeniu leżały stosy ryz papieru. W tym czasie miały nas inne samochody z siedzącymi w nich tajniakami. Miałem satysfakcję, że aż tyle siły musieli użyć, aby złapać w sieć kilkaset gazet. Pojechalśmy do Pałacu Mostowskich. Moja aktywność skończyła się z chwilą naszego zatrzymania. Byłem w ich rękach i to oni decydowali o moim losie. Po dwugodzinnym czekaniu zaprowadzono mnie do jednego z pokoi. Długo, wąski i wysoki korytarz sprawiał ponure wrażenie. Zimna, pancerna szafa, małe politurowane biurka. Na ścianie godło i kalendarz z rozebraną panielką. Za biurkiem elegancki,

z idealnie uczesanym przedziałkiem, szpakowaty, szczupły towarzysz mjr Henryk Przybyszewski, szef brygady antyopozycyjnej. Nie byłem formalnie przesłuchiwany. Była to raczej próba rozmowy w celu odwołania się do mojego rozsądku. – No i co, wpadł pan, panie Stański – zaczął. Nie odzywałem się, czekając na dalszy ciąg. – Mało tego, wpakował pan w kabałę swojego kolegę. – On o niczym nie wiedział – starałem się bronić Andrzeja. – No i na co to panu. Po co ta znajomość z Moczulskim. Pan siedzi, a on teraz kawkę sobie popija. My tu znamy takich jak on. Zawsze znajdują kilku młodych i niedoświadczonych, żeby ich wykorzystać. Tylko po to, aby pokazać siebie, bo przecież i tak nie są w stanie nic zmienić.

Kiedy skończył, odpowiedziałem mu spokojnie: za to, co wiozłem, w czasach stalinowskich dostałbym czapę, za Gomułki poszedłbym na kilka lat do więzienia, a dziś możecie mnie przetrzymać 48 godzin i to wszystko.

Mjr Przybyszewski sięgnął po telefon i po chwili młody tajniak poprowadził mnie do celi. Starał się być bardzo uprzejmy. Przekazał mi, że żona wie, iż nie wrócę do domu, że zrobili u mnie rewizję, ale nic nie znaleźli.

W małej celi obok dyżurki musiałem się rozebrać do naga. Moja odzież została dokładnie obmacana i zwrócona. Musiałem jeszcze podpisać depozyt. Milicjant oznajmił mi, że od tej chwili jestem nr 9. Straciłem więc na jakiś czas nawet nazwisko i stałem się cyfrą.

Długim korytarzem doszliśmy do zielonoznitych, metalowych drzwi, zabezpieczonych dwoma solidnymi sztabami. Dostałem cieniutką materacyk, szary koc, miskę, kubek metalowy i łyżkę, co stanowiło cały smutny sprzęt więźnia. Gdy wszedłem do celi zobaczyłem rząd ludzi leżących na długiej pryczy i na podłodze. Kilka głów podniosło się i kilkoro par oczu uważnie zaczęło mi się przypatrywać.

Usłyszałem za sobą szezęk kluczy. Po raz pierwszy znalazłem się w areszcie. Cella nr 19 była duża, piwniczna. Obok drzwi kibel, stół i ława. Okno przesłonięte, od wewnątrz siatka. Jedna z leżących postaci podniosła się. Starszy łysy mężczyzna przedstawił się:

– Adam. Tadeusz – odpowiedziałem.

– Za co cię wsadzili? – Za działalność polityczną.

– Który raz wpadłeś?

– Pierwszy raz – odpowiedziałem.
– Daj, to ci pomogę posłać, bo zaraz zgaszą światło.

Wśliznąłem się pod prześcieradło. Teraz dopiero poczułem zapach charakterystyczny dla piwnic. Zmieszany był z innym, kwaśnym. To pot ludzki gromadzony przez wiele pokoleń uwięzionych daje uczucie kwaśności w ustach. Byłem byt zmęczony, aby jeszcze o czymś myśleć. Zasnąłem.

Ruch w celi, światło i metaliczny dźwięk odsuwanych zasuw wywarły mnie ze snu. Dopiero po chwili doszło do mnie gdzie jestem. Moi współtowarzysze ubierali się i załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne na oczach innych. Zasnąłem swoje legowisko, ubrałem się i kuląc z zimna siedziałem na materacyku.

– Apel – usłyszałem wrzask z korytarza – apel!

Wszyscy stawali o kilka kroków przed drzwiami. Było nas tak dużo, że utworzyliśmy dwusereg. Szczęknięły zasuwę i w drzwiach stanęło dwóch strażników. Jeden z więźniów zamel-dował:

– Obywatelu sierżancie, melduję stan celi 19. 15.

Po zamknięciu drzwi część położyla się ponownie, inni zaczęli „spacerować” pokonując przestrzeń kilkoma

szybkimi krokami, a przed ścianą robiąc obrót o 180°. kiedy drzwi się ponownie otworzyły jeden z więźniów poszedł po wodę. Dwa wiadra miały starczyć do umycia całej gromady ludzi i naczyń po śniadaniu. Adam, który był szefem celi powiedział mi, abym dobrze umył swój kubek. – Nigdy nie wiadomo, kto używał go przed tobą! Dowiedziałem się, że budzą nas o 6 rano, a śniadanie około 7 – ej jest rozwożone „Batorym”. Był to wózek ciągniony przez dwóch więźniów. Stały na nim, jak co dzień, dwa olbrzymie kotły z czarną kawą i miski ze smalcem. Pierwszy raz miałem pić czarną więzienną kawę i jeść czarny więzienny chleb.

Po śniadaniu zacząłem zawierać znajomości z towarzyszymi więziennej niedoli. Byli ciekawi co się dzieje za murami. Siedzieli od kilku tygodni do kilku lat. Wiedzieli, że coś się dzieje, gdyż od 1976r. do aresztu co raz częściej trafiali ludzie z opozycji. Zamykano ich w celach zajmowanych przez kryminalistów, bo być może władze liczyły na powtórzenie się sytuacji więźniów politycznych w Rosji, którzy byli tradycyjnie przesładowani przez złodziei i bandytów, często gorszych od władzy. Ale w Polsce jest inaczej. Sympatia kryminalnych

wobec politycznych wyraża się we wszystkim: w dzieleniu się żywnością, w wyłączeniu ze sprzątania, a przede wszystkim – w zaufaniu. Zapoznałem się z koncepcją polityczną mojej grupy – słuchali z ogromnym zainteresowaniem. Później opowiedzieli o sobie, a ja udzielałem im porad prawnych na ile potrafiłem. Większość więźniów była ofiarami systemu komunistycznego – w państwie o demokratycznym ustroju nie przyszłoby im do głowy wchodzić na drogę przestępstwa. Tylko w sytuacji gospodarczego dna zdobywanie dóbr powoduje kolizję z prawem. Adam fałszował świadectwa szkolne. Janusz, pracując jako kierowca CPN – ie ukradł 25 tys. litrów benzyny. Inni chodzili „na włam” lub kradli materiały w swoich miejscach pracy, inni brali pieniądze za obietnice załatwienia jakiegoś dobra, którego komunizm nie był w stanie w wystarczającej ilości wyprodukować, np. samochodu czy mieszkania.

Na obiad dostaliśmy michę zupy. Przy okazji dowiedziałem się, że PRL dziennie wydaje na mnie 4zł 60 gr.; gdybym musiał dłużej pozostać na wikcie więziennym mogłoby być ciężko, bo 4,60zł wtedy to była równowartość małej kostki sera topionego

(bochenek chleba kosztował 3,60zł, kostka margaryny – 8,50zł). Nic dziwnego, że więźniowie, którzy nie mieli pomocy z domu cierpieli głód.

Myliliśmy miski, gdy strażnik polecił nam przygotować się do spaceru. Eskortowani przez dwóch milicjantów długimi korytarzami, a potem schodkami w górę wyszliśmy na słońce.

Spacernikiem była duża klatka z siatki postawiona w zamkniętym wyasfaltowanym czworoboku Pałacu Mostowskich. Czulem się jak zwierzę w ZOO.

Podczas spaceru nie wolno było rozmawiać, ale i tak usłyszałem od więźniów kilka historii ucieczek Podobno wszystkie skończyły się tragicznie. Po około 30 min. wróciliśmy do celi. Zobaczyłem w kacie nieduży stos książek. Nie okazały się dla mnie ciekawe, ale był wśród nich jeden prawdziwy białą kruk: stenogram z procesu IV Komendy WTN – u, organizacji, która zbrojnie walczyła z komunistami aż do 53r. Wśród skazanych był znany mi płk Kwieciński. Przeczytałem książkę szybko i pomimo, że był to produkt epoki stalinowskiej, znalazłem w niej wiele rzeczy ciekawych.

Po kolacji i po identycznym jak rano apelu, około 21 zgaszono światło. Leżałem na materacu rozłożonym na podłodze i myślałem, że to druga

noc spędzona w areszcie. Byłem spokojny o swój dalszy los. Musiałoby wydarzyć się coś nadzwyczajnego, abym pozostał tu dłużej niż 48 godz. Przecież za dwa dni przyjeżdża Papież, a niezbyt zręcznym posunięciem ze strony władz byłoby aresztowanie w tym czasie ludzi z opozycji, która oficjalnie nie istnieje.

Następnego dnia po obiedzie zostałem zaproszony na górę. Funkcjonariusz poprosił abym usiadł i zaczął uprzejmie: - Panie Stański, to co należono przy panu wczoraj, nie interesuje mnie, to są sprawy moich kolegów. Ja mam do pana dwa pytania. Podczas przeszukiwania zakwestionowano dużą teczkę materiałów dotyczących terroryzmu. Mnie interesuje, czy zajmuje się pan tym problemem praktycznie, czy teoretycznie? I druga sprawa. Ukazała się publikacja złożona z dokumentów w Ministerstwa Sprawiedliwości i nie ma dostępu do żadnych ważnych akt. Zresztą materiał został wydany przez ludzi, z którymi nie jestem związany, a wy wiecie, kto go opublikował.

SB – ek aprobując pokiwał głową.
– Ważniejszy jest drugi problem – stwierdził. – Czy zajmuje się pan terroryzmem praktycznie, czy teoretycznie? – powtórzył.

-Czy można sobie wyobrazić, aby ktoś kogo nazwisko, adres, znajomości są powszechnie znane, zajmował się terrorem praktycznie? To czysty nonsens. Chyba na samobójcę nie wyglądam. Nawiasem mówiąc, zbierając materiały i próbując stworzyć sobie jakiś obraz współczesnego terroryzmu, łatwo można stwierdzić, że brak rozwiązań politycznych zawsze – wcześniej, czy później – wywołuje chęć podjęcia działań bardziej zdecydowanych. W komunistycznej prasie można spotkać tak dużo opisów działań, np. grupy Bader-Meinhoff czy Czerwonych Brygad, że właściwie robi to wrażenie kreowania ich bohaterów.

– Czyli, że zajmuje się pan terroryzmem w celu przestrzelenia rządu – przerwał mi SB – ek.

– Tak, chociaż właściwie bardziej chodzi mi o wyjaśnienie istoty zjawiska, np. kim jest Carlos, uznawany za szefa międzynarodówki terrorystycznej. Zbieram materiały, gdyż chciałbym napisać książkę na ten temat.

Zostałem sprowadzony do celi. Po kolacji, gdy już zaczynałem się lekko denerwować, kazali mi się pakować. Szybko złożyłem to, co 40 godz. wcześniej dostałem jako aresztowany. Po dokładnej rewizji, podczas której

nic nie znaleźli, zwrócili mi dowód osobisty i przekroczyłem bramę więzienia.

Był ciepły czerwcowy wieczór. Ulica Nowotki i Świerczewskiego kursowały tramwaje, jeździły samochody. Na chodnikach spacerujący i spieszący się ludzie, którzy nie zwracali na mnie uwagi. Byłem jednym z nich. Wychywałem specyficzną atmosferę miasta, nastroj oczekiwania, bo przecież już następnego dnia rano miał wyładować Jan Paweł II, pierwszy Papież-Polak, nasza nadzieja na zmiany.

Po powrocie do domu dowiedziałem się, że rewizja była bardzo pobieżna i przeprowadzona elegancko. Nic nie zostało zabrane. Andrzeja wypuścili już następnego dnia po zatrzymaniu.

Nazajutrz, w sobotę, Papież wyładował na Okęciu. Byłem szczęśliwy, że mogłem być na trasie przejazdu Papieża, w barwnym rozśpiewanym tłumie, wiwatującym na Jego cześć. To ogromne przeżycie, będące udziałem wszystkich Polaków, dało nam siłę, której owocem był także sierpień 1980 roku.

W okresie wizyty Jana Pawła II Leszek Moczulski skończył pisać „Revolucję bez rewolucji”, którą wydaliśmy w lipcu. Od razu przystąpiliśmy

do przygotowań związanych z ogłoszeniem powstania KPN. Odbyliśmy bardzo pracowity dwutygodniowy obóz nad Zalewem Zegrzyńskim. Służba Bezpieczeństwa użyła aż helikoptera, aby nas wytropić. Gdy jej się to udało, cały czas obok naszych namiotów kilku panów łowiło ryby. Pod koniec lipca mieliśmy już gotowe podstawowe dokumenty. Na początku sierpnia pojechalśmy do Siedlec na rozmowy z Zygmuntem Goławskim i jego przyjaciółmi, którzy zgłosili akces do naszej partii. Odbyliśmy też spotkanie z byłymi AK – owcami. Ponieważ ideą partii miała być jej legalność, trzeba było zrobić sprawdzian: Jak komuniści zareagują na pierwszy w dziejach powojennej Polski, a i całego obozu komunistycznego, akt polityczny.

Ustaliliśmy, że spotkanie członków KPN w Lublinie będzie sondażowe. Miało się odbyć w mieszkaniu Zdzisława Jamrożka, który mimo poważnego kalectwa od kilku lat prowadził punkt ROPCiO. O spotkaniu mówiliśmy przez telefony na podsłuchu, aby SB mogło przejść materiały m.in. statut KPN, Deklarację Ideową, Akt Założycielski. Zgodnie z umową pojechałem do Lublina. Około 17 – ej do mieszkania Zdzisława zaczęli się

schodzić ludzie. Wśród kilkunastu mężczyzn i kobiet zobaczyłem również młode twarze. Ponieważ moi koledzy nie dojechali ja poprowadziłem spotkanie. Omówiłem sytuację międzynarodową, przedstawiłem ocenę sytuacji w Rosji, scharakteryzowałem mapę polityczną w Polsce, kładąc nacisk na układ w opozycji. Przeprowadzona analiza dawała podstawę do wyciągnięcia wniosku, że w działalności opozycyjnej konieczny jest krok naprzód. Tym krokiem powinno być naszym zdaniem powołanie partii politycznej. Obawiałem się negatywnej reakcji, ale ku mojej radości zdecydowana większość, pomimo zaskoczenia, entuzjastycznie odniosła się do tej propozycji. Lapidarnie ujął to jeden z robotników:

– Oni mają swoją partię, dlaczego my nie mamy mieć swojej?

Musiąłem odpowiedzieć na wiele pytań, ale dotyczyły one szczegółów, a nie samej idei. Po spotkaniu poszedła do mnie starsza kobieta. Jej dwóch synów uczęszczało na spotkanie w punkcie ROPCiO. Chciała się przekonać, czy jej synowie mogą spotykać się z ludźmi z opozycji. Po dzisiejszym spotkaniu nie miała już żadnych obaw o swoich synów (obaży byli w ostatnich klasach liceum, ich

dalsze losy były podobne do losów całego pokolenia – w okresie naszego procesu wydawali w Lublinie pismo dla młodzieży „Szaniec”, byli internowani 13 grudnia 81r., zwolnieni nie zaprzestali działalności, za którą przesiedzieli w więzieniu po 1,5 i 2 lata). Rano dowiedziałem się, że operacja powiadamiania władzy o naszych zamiarach powiodła się: Leszek i Romanek zostali zatrzymani pod Lublinem. Zabrano im wszystkie dokumenty KPN i przetrzymano do godz. 22 – ej, a więc do czasu zakończenia mojego spotkania i wyjazdu z Lublina. Na to, że będzie trzeci prelegent władze nie były przygotowane.

Około 10 sierpnia 1979 r. odbyło się w Gdańsku nasze spotkanie z tamtejszą grupą niepodległościową. Następnie w Krakowie w Domu Studentów odbyliśmy dyskusję z Krzysztofem Gąsiorowskiego z Krakusami. Był Krzysztof Bzdyl, Roman Kahl – Stachniewicz i inni. Generalnie zgadzali się z naszą ideą. Chcieli jednak zachować autonomię i powołać Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów, skonfederowany w ramach KPN. Cały czas wyobrażałem sobie KPN jako monolit o tendencjach centro prawicowych, a tutaj raptem wyskakuje problem grupy o orienta-

cji socjalistycznej. Przecież na Polaka hasło socjalizm działa jak płachta na byka!

Następny tydzień należał do bardzo pracowitych. Ruszyliśmy w turę po Polsce. Znowu Kraków, gdzie w podobnym, jak przed tygodniem składzie, uzgodniliśmy formułę skonfederowania RPPS z KPN oraz nazwiska osób z tego terenu, które będą umieszczone na liście założycieli KPN. Nazajutrz ruszyliśmy do Częstochowy, gdzie trafiliśmy akurat na pierwsze grupy Warszawskiej Pielgrzymki wchodzące na Jasną Górę.

Wieczorem po załatwieniu naszych spraw wyruszyliśmy w podróż do Kotliny Kłodzkiej. Miejscowa organizacja opozycyjna pod nazwą Dolnośląska Grupa Ludowa, była kolejną, która zgłosiła akces do KPN. Następnym punktem naszego objazdu był Wrocław. Obecni na spotkaniu członkowie Związku Narodowego Katolików ustanowili w KPN grupę o zapatrzyaniach chadeckich.

Po dniu odpoczynku znowu ruszyliśmy w teren. Tym razem bliżej do Lublina i do Siedlec. W Lublinie powstał Lubelska Grupa Ludowa, a w Siedlcach – Podlaska Grupa Narodowo – Ludowa. Z tym momentem proces tworzenia Konfederacji Polski

Niepodległej został zakończony. Mogliśmy przystąpić do ustalenia listy założycieli i rozpocząć intensywne przygotowania do ogłoszenia powstania naszej partii. Czasu było niewiele – tylko kilkanaście dni.

W ciągu ostatniego tygodnia, jaki dzielił nas od dnia 1.09.1979r. wydrukowaliśmy kilka tysięcy ulotek, w których zawarte były tezy ideowe, zasady dotyczące legalizmu KPN, statut i kilkanaście nazwisk z adresami mieszkań lub biur KPN – u na terenie całego kraju. Oprawa propagandowa musiała być maksymalnie duża, w czym powinni byli pomóc nam komuniści poprzez liczne aresztowania.

Zakładając, że to nastąpi, kilka osób przygotowało się, aby bez względu na okoliczności dotrzeć do Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie tradycyjnie kończyły się wszystkie patriotyczne manifestacje i ogłosić powstanie KPN. Duża grupa członków naszej partii miała za zadanie rozrzucenie ulotek. Zależało nam na tym aby ogłoszenia dokonała Nina Milewska z Gdańska. Na tydzień przed 1.09.79r. Nina przyjechała do Warszawy i ukryła się w jednym z naszych lokali. Otrzymałem zadanie dostarczenia jej tuby, gdyż spodziewaliśmy się kilku tysięcy ludzi. Przygotowałem tubę żeglarską,

którą z kawałka blachy zespawaliśmy w zaprzyjaźnionym warsztacie samochodowym. Na trzy dni przed akcją byliśmy gotowi ze wszystkim.

Reakcja władz była zgodna z naszymi przewidywaniami. Jej celem było policyjne uderzenia w nas, aby uniemożliwić nam ogłoszenie powstania KPN. Kiedy w sobotę 31.08.1979r. elegancko ubrany ze względu na mającą się odbyć uroczystość pojechałem na Jaracza zastałem tam kilku zapracowanych funkcjonariuszy SB, a wśród nich mjr Henryka Przybylszewskiego, który oficjalnie nie był szefem rewizji, ale którego polecenia wykonywano natychmiast.

Żona Leszka powiedziała, że rewizja trwa od piątku, od godz. 15 – jej z przerwą nocną od 23 – jej d 6 – jej rano. Leszka i Romka zabrali do Pałacu Mostowskich już w piątek. Tych co przychodzą na Jaracza albo aresztują, albo siłą wsadzają do pociągów jadących do ich miejsca zamieszkania. W ten sposób Tadeusz Jandziszak został wyekspediowany do Wrocławia, a Zdzisław Jamrożek do Lublina. – Ciebie też zaraz zabiorą – powiedziała Majka. – Napij się kawy jeśli zdążysz.

Rzeczywiście chwilę później SB – ki zabrały mi dowód i wsadził do samochodu – kierunek Pałac Mostow-

skich. Byłem spokojny, a całą sytuacją bawiła mnie, gdyż nasze szanse na ogłoszenie powstania KPN – u wcale nie malały. Martwiło mnie tylko to, że w jedynym swoim garniturze, białej koszuli i krawacie idę do aresztu.

Na komendzie kazano mi czekać na korytarzu. Pilnowany przez dwóch młodych tajniaków mogłem obserwować nerwową krzątanie SB – ków. Po pewnym czasie zostałem poinformowany, że jedziemy do mnie na rewizję. Przeszukanie nie przyniosło i m żądanych sukcesów, zresztą nie wyglądali na takich, którzy byłiby tym faktem zmartwieni. Około 13 – ej wróciliśmy do Pałacu Mostowskich.

Trafilem do celi 29 o powierzchni 5m² z małym oknem i pryczą zajmującą 3/4 powierzchni. Stojący w rogu kibelek dotykał prawie stołu. Miejsca było tak mało, że trudna sobie wyobrazić chodzenie po celi. Siedziało tam już dwóch więźniów; pierwszy z nich był jednym z najsławniejszych kierowców rajdowych Polskiej, drugi – jednym z najlepszych złodziei.

Spaliśmy już gdy drzwi zostały otwarte i milicjant kazał mi się pakować. Wychodząc za mną wypuszczali Andrzeja Czumę, którego zatrzymano po manifestacji. Powiedział, że aresztowań było dużo, ale wszystko się

udało i Nina Milewska świetnie spełniła swoje zadanie.

Pojechałem na Jaracza – a tam całe mieszkanie ludzi. Co chwila ktoś z wypuszczonych dzwonił do drzwi. Ci, co byli na manifestacji, zdawali relację, jak się wszystko odbyło. Nina dotarła z pochodem pod Grób, ogłosiła powstanie KPN i poinformowała o aresztowaniach. Chłopcy zgodnie z planem sygnali ulotkami.

Na dzień następny na godz. 12 wyznaczaliśmy sobie pierwsze posiedzenie Rady Politycznej KPN.

Przez śpiącą Warszawę wracałem do domu pełen euforii. Chciałem się podzielić radością z Alą, która ucieszyła się, że wróciłem, ale oblała mnie kubłem zimnej wody: u mamy była rewizja. Skamieniałem. Pobiegłem do aparatu telefonicznego. Z ulgą odechnąłem, gdy po chwili usłyszałem zaspiany głos mamy.

– Nic się nie stało, nagałaś im jeszcze – mówi moja dzielna mama. – Wiesz, powiedzieli mi, że przystąpiłeś do bandy, a szukali ulotek i gazetek. Tata też zdrowy i nie martw się o nas – skończyła rozmowę mama.

Tej nocy zasypiałem ze świadomością, że od 1.09.1979r. zaczął się nowy rozdział mojego życia.

ANTONI ANUSZ*

JÓZEF PIŁSUDSKI

W czasie drukowania tych kartek, poświęconych Józefowi Piłsudskiemu, zaszedł fakt jego ustąpienia z wojska.

Dla J. Piłsudskiego jest to jedyna dostępna dla niego, jako dla oficerów najwyższej rangi, forma protestu przeciwko temu, co się w Polsce stało. Przesunięcie zapomocą sztuczek parlamentarnych punktu ciężkości władzy państwowej od stronnictw lewicowych ku stronnictwom prawicowym jest dla przenikliwych, w daleką przyszłość patrzących oczu Piłsudskiego nie konsolidacją narodu, lecz jego rozdarciem.

Pod wpływem mądrzej polityki Piłsudskiego lewica społeczna w Polsce została wprzągnięta do rydwanu państwowości polskiej. Te elementy społeczne, których odpowiedzialność na wschodzie i zachodzie były czynni-

kiem wrzenia rewolucyjnego i przewrotów społecznych, w Polsce coraz bardziej przepajały się poczuciem praworządności i wdrażały do wyłącznie legalnych form walki społecznej.

Dzięki temu mogliśmy przy niezamąconym pokoju wewnętrznym wygrać wojnę i przetrwać ciężkie niedomaganie gospodarcze i aprowizacyjne pierwszych lat naszego istnienia państwowego.

Dalszy postęp tego, co możemy określić jako proces upaństwowiania się lewicy społecznej, doprowadziłaby nas istotnie do tak upragnionej i niezbędnej dla nas konsolidacji.

Ten zbawienny dla państwa i narodu proces został przerwany przez utworzenie rządów prawicowych.

Władza przeszła od rządu, opierającego się na umiarkowanej lewicy, do

zanarchizowanej prawicy. Zniknęło centrum, i kraj cały podzielił się na dwa obozy, a nie trzeba zapominać, że siła dynamiczna dzisiejszego obozu opozycyjnego jest większa, niż obozu rządowego.

Nadomiar złego władza państwowa znalazła się w ręku stronnictw, które swem dotychczasowym postępowaniem burzyły podstawy praworządności, które są obciążone zbrodniami zamachów na przedstawicieli najwyższej władzy państwowej, hańbą wysławiania mordercy Pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, i które do dnia dzisiejszego nie dały opinii publicznej moralnego zadośćuczynienia za te potworne czyny.

W tych warunkach zarówno rozum polityczny, a jeszcze bardziej poczucie moralne nie pozwoliły Piłsudskiemu pozostawać biernym świadkiem nowego kursu politycznego, sprzecznego z dotychczasowym rozwojem stosunków polityczno-społecznych w wywołanej Polsce.

Piłsudski *ustąpił* z wojska.

Piłsudski nigdy nie ustępował wobec wrogów narodu polskiego. Szedł naprzelaj, łamał przeszkody, *pokonywał* wrogów zewnętrznych.

Własny naród Piłsudski stara się *przekonywać*.

Ustąpił, ponieważ jako oficer czynnej służby nie mógł reagować na wytworzoną sytuację polityczną, zgubną dla państwa. Nie mógł reagować, a musiałby niejako sankcjonować przez pozostanie w wojsku.

Piłsudski jest niedoścignionym wzorem ofiarnej służby dla Polski, lecz jednej ofiary nie wolno nikomu wymagać od niego, aby z zaparciem się samego siebie przykładał rękę do kombinacji politycznych, szkodliwych dla państwa.

Te kombinacje polityczne muszą być zmienione; Piłsudski musi być powrócony Armii Polskiej, której jest duszą, mózgiem i wolą, musi być powrócony Państwu Polskiemu, którego jest najświeższym twórcą.

Jest to postulatem nietylko sprawiedliwości, lecz nakazem rozumu politycznego.

A. A.

Istota psychologii narodowej nie da się wyrazić całkowicie żadną formułą, ani zawrzeć bez reszty w jednym jakimś określeniu.

Przez zrozumienie i odczucie wielkich ludzi w narodzie najbardziej zbliżamy się do poznania psychologii

* Antoni Anusz (1884–1935) działacz niepodległościowy, poseł na sejm RP, publicysta. Publikacja pt. „Józef Piłsudski” opubliko-

narodowej w jej istotnej, nie dającej się wypowiedzieć treści.

Wielki człowiek nigdy nie był i nie jest wyrazicielem przeciętności swego pokolenia, nigdy nie reprezentuje tego, co stanowi szarość i codzienność w życiu jego współczesnych.

Przeciwnie, wielcy ludzie prawie zawsze, a zwłaszcza na początku swej działalności, popadali w konflikt z większością swego narodu, przeciwstawiali się inercji ogółu, walczyli z jego apatią i niechęcią do śmiałych przedsięwzięć, a czynili to właśnie dlatego, że pozostawali wiernymi duchowi dziejów swego narodu, że mieli wzrok utkwiony w te uroczyste, świąteczne chwile historii narodowej, przez które naród wznosił się na szczyty wielkości.

Przeciętny ogół lubi święcić triumfy, lecz nie lubi pracować dla triumfów; lubi wyniki zwycięstwa, lecz nie lubi procesu zwyciężania, procesu, wymagającego wysiłku, zaparcia się i ofiary. To też wielcy ludzie zawsze mieli przeciwko sobie tłumy „zjadaczy chleba” i wielkość swą zadokumentowali niczem innym, jak tylko tem, że potrafili dokonać wielkopomnych, zbawiennych dla potomności dzieł, pokonywując bezwład i gnuśność swego środowiska, łamiąc sporty-

kane na drodze przeszkody, usuwając pchnięciem swej woli wszelkie piętrzące się przed nimi trudności.

Nikt nie stał się wielkim przez to, że się ludzie zmówili nazywać go wielkim, ponieważ łaskawie schlebiał ich próżności, filisterstwu i małostkowości i był wyrazem ich dążenia do świętego spokoju i błogiego wywczasu.

Tytuł do wielkości zdobywa się w walce, trudzie i znoju. Ten został wielkim w narodzie, kto umiał zeń wykręcać największą sumę energii i dźwignąć go na wyższy szczebel rozwoju. Dlatego też twórcy świetności sztandaru narodowego rzadko kiedy znajdowali poparcie dla swych zamierzeń i poczynali wśród szerokich warstw swego narodu; opowiadali się za nimi i stawali obok nich do twórczego czynu tylko najdzielniejsi z prośród współczesnych.

Olbrzymia większość skłaniała głowę przed nimi dopiero wówczas, gdy zamierzenia swe uczynili faktami dokonanymi.

Tak było zawsze, tak jest i dzisiaj: eadem sed aliter.

Temi pobicznymi, teoretycznymi rozważaniami poprzedzam swoją charakterystykę pierwszego Naczelnika Państwa i pierwszego Naczelnego Wodza odrodzonego wojska

polskiego ku większemu jej uplastycznieniu.

Józef Piłsudski ma za sobą tak piękną przeszłość, tyle świetnych, heroicznych czynów; tak bogate plony naród zebrał z jego mądrości i przenikliwości politycznej, z jego pracy i trudu, że już od współczesnych doczekał się uznania: jednomyślną uchwałą Sejmu Ustawodawczego został powołany na najwyższe stanowisko w państwie.

Na stanowisku tem Piłsudski podzielił los wszystkich wielkich mężów stanu, którzy widzieli dalej i lepiej, niż ogół ich współobywateli, i dlatego częstokroć powstawała między nimi, a tym ogółem większa lub mniejsza rozbieżność na punkcie oceny sytuacji i metod działania.

Podobna rozbieżność pomiędzy Piłsudskim, a częścią społeczeństwa polskiego naraziła go na brutalne ataki ze strony tych odłamów społeczeństwa, które uosabiają rodzime filisterstwo, dawniej uległe i ugodywe wobec rządów zaborczych, dzisiaj zuchwale i wyzywające wobec władz polskich.

Ci to trójzaborowi filistrzy warczą dzisiaj na widok dzieł Bożych, doko-

nywanych per Summum Polonorum Ducem; warczą w prasie, frondując w salonach, ponieważ nie są w stanie ocenić znaczenia Piłsudskiego właśnie dla swego filisterstwa, które jest moralnym kalektem.

Piłsudski jest dzisiaj przez jednych kochany i uwielbiany, przez innych nienawidzony i zaciekle zwalczany; dla nikogo w Polsce nie jest obojętny. Czas najwyższy, aby Go wreszcie zrozumiano, a to tem bardziej, że przez zrozumienie Piłsudskiego dojdziemy do zrozumienia tego, co jest nieprzemijające, lecz istotne i wieczne w dążeniach narodu.

Na czem polega rola Piłsudskiego? Piłsudski jest twórcą odrodzonej państwowości polskiej i pod tym względem dokonał dzieła, równego dziełu Bolesława Chrobrego, który z „surowizny słowiańskiej wytopił i wykuł państwo polskie”. Piłsudski miał do czynienia nie z surowcem, lecz ze szmelcem.

Naczymie państwowe polskie zostało rozbite na kawały, które były użyte do budowy wrogich nam państw. Okaleczony naród polski przestał żyć własnym życiem państwowem i został wciągnięty w wir wydarzeń, spraw i interesów trzech państw zaborczych. Na uczuciowe tło jednności narodowej

bieg wydarzeń rzucał fakty za fakta-
mi, które układały się w trzy odrębne
systemy pojęć i dążeń politycznych,
nadwyrażając w narodzie poczucie
spójni międzydzielnicowej, ogólnopolskiej. Nie tylko naczynie państwowego narodu zostało rozbite, lecz i naród sam zatracił swoją jednolitą treść moralno-polityczną. I stało się, że, gdy nadeszła wielka wojna narodów, wśród Polaków zawrzał spór o to, jaka obrońca jest lepsza: austriacka, niemiecka, czy też rosyjska.

Na mchem porośłych gruzach państwowości polskiej, wśród narodów i rozprzeczonych dążeniach politycznych, nacechowanych minimalizmem, Piłsudski rozpoczął swoją niezmordowaną pracę nad skonsolidowaniem woli narodowej i stworzeniem dla niej wyrazu politycznego w samodzielnej, niezawisłej państwowości.

W takich warunkach Piłsudski od pierwszej chwili swej działalności był

zaiste tem cudownym zjawiskiem, jakie duch dziejów polskich zapalił na niebie naszych tęsknot i marzeń politycznych w głuchą i ciemną noc niewoli, gdy „dwindziestomilionowy naród spał kamiennym snem niewolników”.

Był on bezwzględnie zaprzecze-

i przywróci mu jego prawowite miejsce pod słońcem, otaczając go promieniami sławy i czystym powietrzem wolności.

Pod tym względem Piłsudski nie zboczył ani na milimetr od tej zasadniczej, magistralnej linii swej polityki; zdawało się, że te warunki czasu i przestrzeni, które politykom wyginają i załamują ich linię polityczną, jak gdyby nie były w stanie wywrzeć swego wpływu na geometryczną wprost prawidłowość wszystkich działań i wystąpień Piłsudskiego.

Zakrawałoby to na mistykę polityczną, gdyby temu nie towarzyszyło głębokie zrozumienie wszystkich politycznych, społecznych i gospodarczych zagadnień czasu i przestrzeni oraz zadziwiająca zdolność w postugowaniu się niemi, zdolność i zręczność najbystrzejszego polityka-realisty. Piłsudski stanął u szluzu wartykiego prądu i puszczal ją na młyn polskiej polityki niepodległościowej.

Realne traktowanie zagadnień politycznych jest to traktowanie ich w płaszczyźnie siły. Wyrzeczmy siły narodu jest jego armia. Że Piłsudski jest duszą wojska polskiego, wiemy o tem

wszyscy, jak również to, że powstało ono z jego woli i miłości.

Lecz tylko ten zrozumie cały ogrom wysiłku i bezmiar pracy, jak Piłsudski włożył w dzieło tworzenia armii, kto sobie uprzytomni te bezprzykładnie ciężkie warunki, w jakich się ta praca odbywała.

Oprócz niebywałych trudności technicznych, musiał Piłsudski przezwyciężyć w Polsce zarówno głęboko zakorzeniony „cywilizm” prawicy społecznej, jako też doktrynizm lewicy, w przekonaniu której myśl o armacie i karabinie była wstecznictwem, nawrotem do śmiesznych mrzonek szlachecko-powstańczych.

Piłsudski pokonał te uprzedzenia przekonaniowo-nastrojowe i stworzył siłę zbroijną, która w jego ręku stała się dźwignią do poruszenia z martwego punktu Sprawy Polskiej i nadania jej wszechświatowego rozgłosu.

Przez porównanie z Czechami najjaskrawiej uwydatnia się przewaga

Polski w zakresie militarnym, przewaga Polski w zakresie militarnym, przewaga, którą zawdzięczamy naszej armii. Czesi mają kwitnący przemysł i rolnictwo, fabryki amunicji, dobrą walurę, mają suto zaopatrzonych i dobrze uzbrojonych żołnierzy, lecz nie mają armii, ożywionej geniuszem

i spojonej wola wodza tej miary, co Piłsudski.

Bo wodza dla armii narodowej nie można sobie wypożyczyć ani prze-flancować z obcej armii.

Piłsudski od pierwszej chwili swej działalności stał się kołem rozpęd-wem dla energii narodowej, a sposób, w jaki tę energię rozwija i wpręga do rydwanu wielkich celów, jest zro-zumiały i możliwy tylko w Polsce, a może jeszcze w Anglii.

Piotr Wielki postawił Rosję dęba, mówiąc słowami Puszkina: „Rossiju wzdiornuł na dyby”. Tak, lecz Piotr Wielki czynił to zapomocą knuta i pałki.

Współczesny nam mąż stanu Venizelos zapragnął stworzyć wielką Grecję wbrew Grekom, którym obce były dążenia do sławy i wielkości na-rodowej, a którzy najzupełniej zado-walniaли się dobrym stanem interesów handlowych.

Venizelos urzeczywistnił wiel-ką część swych planów, korzystając z poparcia Wielkiej Brytanji i tłumiąc bezwzględniemi represjami wszelką opozycję, wymierzoną przeciwko swej polityce. Po upadku Venizelosa wypuszczono z więzienia kilka dzie-siątków tysięcy jego przeciwników politycznych.

Inne były metody, któremi posłu-giwał się Piłsudski w swej działalności państwowej.

Wobec wrogów zewnętrznych, go-dzących w niepodległy byt narodu, stosował on z całą bezwzględnością siłę miecza; w stosunku zaś do wszyst-kich współobywateli zawsze był i jest wychowawcą, który kształtuje ich przekonania i uczy tworzyć *prawo*, jako podstawę zbiorowego współżycia i współdziałania dla chwały i potęgi całego narodu.

Nielatwo znaleźć w dziejach po-dobny przykład polityka, któryby wydobyl z narodu tyle energii, ile jej wydobyl Piłsudski, odwołując się do dobrej woli swych współobywateli, unikając już nie tylko represyj, lecz nawet do minimum ograniczając sto-sowanie przymusu.

Sprzjała pod tym względem Pił-sudskiemu cechująca Polaków nad-zwyczajna pobudliwość na wpływ wybitnych jednostek w narodzie; dzięki tej pobudliwości w promie-niu woli Piłsudskiego znaleźli się lu-dzie o nieprzeciętnych charakterach oraz natury czynne o żywym uczuciu patriotycznym, słowem ci wszyscy, którzy widzieli w nim wcielenie naj-szczytniejszych tradycji narodowych.

To samorzutne przymierze, a raczej

dobór naturalny, pomiędzy Piłsud-skim, a tymi, w duszach których żarzy się, a choćby tylko tli, iskra polskich tradycji dziejowych, najwymowniej świadczy o tem, że posiada on głębo-ką podstawę w narodzie.

Głęboką, lecz nie szeroką, i to trze-ba wyraźnie powiedzieć. Przeciętne-mu człowiekowi w Polsce brak tchu, aby mógł podać za Piłsudskim w krainę Jego celów politycznych; naród doznaje zawrotu głowy, gdy go Piłsudski wprowadza na wyżyny jego dawnej wielkości i ukazuje mu stam-tąd rozległe perspektywy ekspansji kulturalno-politycznej na dzień dzi-siejszy.

Ponieważ czas nie czeka, czego się nie robi dzisiaj, to może już jutro zrobić się nie da wcale. Zanim za-stygnie roztopiona przez ogień wojny i żar rewolucji lawa historii, trzeba jej nadać pożądany kształt i wycisnąć na niej swoje piętno. Piłsudski nie chcąc przestraszać społeczeństwa śmiałością swoich pomysłów i gigantycznością zamiarów, musiał poprosto zwodzić nietyłe naród, ile małoduszność na-rodu. Mówił niejako: „krzając się, kochanie współrodacy, koło swoich

spraw codziennych, handlujcie, za-biegajcie koło swych interesów, a ja tymczasem z zastępem waszych naj-dzielniejszych synów wyrąbuję wam mieczem Polskę wielką i bogatą, któ-rej wpływy sięgać będą granic Polski Jagiellońskiej”. Jaskrawym tego do-wodem była wyprawa Kijowska.

W wojnie z Rosją zwycięstwo mo-gliśmy osiągnąć tylko pod tym wa-runkiem, że inicjatywa będzie zawsze spoczywała w naszym ręku. Musieli-smy stałe i konsekwentnie dążyć do zniszczenia armji bolszewickiej pod Kijowem lub pod Warszawą, lecz żąd-ną miarą nie mogliśmy wypuścić ini-cjatywy ze swych rąk. Zatrzymanie się na jakiegokolwiek linii obronnej z za-miarem nieposuwania się dalej ozna-czałoby przejście inicjatywy w ręce nieprzyjaciela, który, gdyby nawet nie planował ofensywy, osiągnąłby nad nami przewagę przez taktykę „ni-mir, ni wojna”, któraby nas zmusiła do trwającego w nieskończoność sta-nu wojennego, wyczerpującego skarb i naród.

Przestrzeń i absolutystyczny cha-akter rządu moskiewskiego stawiały Rocję w położenie niezmienne ko-rzystne, gdyby wojna z nami przeszła w stan przewlekły i stała się wojną na przetrzymanie.

O tem wszystkim trzeba pamiętać, gdy się chce z należytych obiektywizmem traktować wyprawę Kijowską, która była koniecznością strategiczną i polityczną. Kto ją ocenia inaczej, jest albo naiwny albo przewrotny.

Lecz zaprzeczć się nie da, że prawie tej powinna była towarzyszyć świadomość i wyrażona wola całego narodu. Tego nie było, a czy mogło być? Sądzę, że nie. I w tem tkwiła dotychczasowa tragedia Piłsudskiego.

Przeciwny człowiek w Polsce nie był i nie jest w stanie nastrój swego duszy i woli na ten podniosły hymn wielkości i sławy, jaki narodowi wydzwania Piłsudski.

Piłsudski jest za ciężki dla narodu, znużonego przeżyciami wojennymi, jak za ciężki stał się dla Francji Clemenceau, gdy minął czas burzy i trwogi wojennej.

Lecz Polska jest w położeniu znacznie gorszym, niż Francja, jest bardziej od niej wystawiona na niebezpieczeństwa, i dlatego przeciwny człowiek w Polsce musi wyżyć swe siły, aby nadać za „pierzwoworem demokracji i jej woli” jak Piłsudskiego określił Witos.

O tem musimy ustawicznie pamiętać, jeżeli chcemy pozostać demokracją żywotną, zdolną zapewnić

swemu państwu bezpieczeństwo, siłę, pomyślność i rozkwit.

Jest bowiem rzeczą niejednokrotnie stwierdzoną, jak o tem nadmienilem wyżej, że najwybitniejsi mężowie stanu nie znajdowali u ogółu poparcia dla swych mądrych i przenikliwych zamierzeń, przeciwnie, zamierzenia swoje realizowali częstokroć wbrew wielkości społeczeństwa; niektórzy z nich dokonywali wielkich dzieł, opierając się nie na zaufaniu większości narodu, lecz na autorytecie monarchy.

Jerzy III utrzymywał przy władzy Pitta Młodszego „wbrew woli parlamentu i despotyzmowi opinii”. I ten to właśnie gabinet Pitta, który w ciągu pierwszego półrocza doznał w parlamencie szesnaście razy porażki, stał się w następstwie jednym w najbar dziej zasłużonych gabinetów, którym Anglia zawdzięcza swoje zwycięstwa i rozrost.

Wybitny pisarz polityczny polski twierdzi, że Bismark w konflikcie z sejmem „był nietylko wielkim politykiem, ale także mężem silnym i patriotą pruskim”. Mógł Bismark w ciągu 1862-66 rządzić wbrew, acz nie bez parlamentu, ponieważ miał po swej stronie autorytet monarchy, „posiadającego zmysł władzy, a nie odczuwającego zazdrości władzy”.

Posiadając poparcie króla, Bismark rządził państwem pruskim, tworzył rzeczę niemiecką w atmosferze niemal powszechnej nienawiści ku sobie; nienawidzili go nietylko polacy, Duńczycy i alzacczy, lecz także Niemiec- cy katolicy, Niemiec- ci socjaliści i austriaccy Niemiec- ci.

Również i historia Rosji przekazuje nam imię wybitnego męża stanu i świetnego finansisty Sergiusza Wittego, który przeprowadził naprawę skarbu państwa rosyjskiego wbrew radzie państwa, opierając się jedynie na zaufaniu do swej osoby cara Aleksandra III.

Nauka, wypływająca z przytoczonych powyżej przykładów, nakłada na demokrację obowiązek świadomego współdziałania z zamierzeniami najwybitniejszych ludzi w narodzie.

Demokracja wówczas stanie się naprawdę czynnikiem postępu, gdy zdoła uskrzydlać, a nie pętać tych ludzi z pośród siebie, którzy posiadają polot myśli, zdolność przewidywań i odwagę decyzji.

W przeciwnym razie panowanie demokracji będzie równoznaczne z zastojem, a nawet uwstecznieniem, inaczej mówiąc, demokracja wykaże swoją niezdolność do życia w tym świecie, gdy wszystko, co chce żyć, musi posuwać się naprzód i wwyż.

Jak się układały stosunki pomiędzy demokracją polską a Piłsudskim w zakresie pracy państwowej?

Politycznym wyrazem demokracji polskiej po zrzuconiu jarzma był i jest Sejm.

Piłsudski z największym pośpiechem dążył do zwołania Sejmu Ustawodawczego, ponieważ chciał, „by kładąc trwałe fundamenty pod swe odrodzenie, Polska wyprzedziła sąsiadów i w ten sposób stała się siłą przyciągającą dającą zapewnienie choćby nie najszybszego, lecz spokojnego i prawnego rozwoju”.

Była w tem wielka i głęboka myśl, aby „w wielkim chaosie i rozprężeniu, które ogarnęło po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, z Polski uczynić ośrodek kultury, w którym rządzić i obowiązuje prawo”.

Z chwilą zwołania Sejmu, który stał się „domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem”, punkt ciężkości naszego życia politycznego spoczął na Sejmie Suwerennym, a Piłsudski stał się tylko „najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych”.

W tem miejscu trzeba powiedzieć całkiem otwarcie, że Piłsudski w swej działalności nie był ślepym wykonawcą „uchwał Sejmu w sprawach cywil-
73

nych i wojskowych”, lecz przeciwnie, pozostawał niejednokrotnie w ideowej walce z Sejmem, a nawet mu się przeciwstawiał.

Parlamentaryzm polski, aczkolwiek powstał w innych warunkach, niż parlamentaryzm państw zachodnich, posiada jednak te same co i tamten cechy i właściwości.

Stronnictwa i posłowie idą do izb przedstawicielskich, aby bronić interesów swych wyborców. Przed kim się bronić?

Przed władzą państwową. To też kluby poselskie mają na ogół tendencję do rozdrapywania już nie dóbr państwowych, lecz samej władzy państwowej, do parcelowania między sobą kompetencji władzy wykonawczej. Gdzie władza wykonawcza jest starsza od parlamentu, tam ona skuteczniej przeciwstawia się jego uroszczeniom, zapobiegając zgubnemu dla państwa pomieszaniu zakresu kompetencji władz: ustawodawczej i wykonawczej.

Przedstawiciele narodu są zawsze maksymalistami na punkcie swych postulatów; potrafią ogromnie dużo naopowiadać o tem, *co* potrzeba ich wyborcom, rząd zaś musi mieć możliwość ograniczenia ich wymagań, ponieważ rząd musi jednocześnie my-

śleć, *jak* to wszystko spełnić, co się podoba masom wyborców.

Powyższy stan rzeczy w Polsce był doprowadzony do absurdu przez to, że mieliśmy Sejm Suwerenny. Ten Sejm Suwerenny, który wobec historii Polski ma nieskończenie większe zaślugi, niż Sejm Czteroletni z końca osiemnastego stulecia, nie stał jednak na wysokości wymagań, jakie mu stawiała ta osobiwa chwila historyczna, w której powstawał i pracował.

Przedewszystkiem wykazał on wielką nieporadność przy tworzeniu rządów i zeszedł ze sceny historii, dokumentując tę swoją nieudolność przez przekazywanie władzy rządowi pozaparlamentarnemu. Oczywiście, że w tych warunkach poczucie odpowiedzialności historycznej w większym jeszcze stopniu, niż litewski upór, zmuszało Piłsudskiego do ideowej walki z tym Sejmem. Terenem takiej walki była między innymi sprawa wileńska. Cały Sejm chciał złączenia Wileńszczyzny z Polską, lecz gdy chodziło o sposób urzeczywistnienia tej powszechnej woli w określonych międzynarodowych stosunkach, to Piłsudski musiał się minąć ze stanowiskiem większości sejmowej (odezwa wileńska) i samo przyłączenie uskutecznić przy znacznym oporze Sejmu.

Nieco szerzej wypada mi omówić inny moment ideowej walki Piłsudskiego z Sejmem, ponieważ jest on wielce charakterystycznym dla naszych stosunków wogóle i dla osoby Piłsudskiego w szczególności. Mam na myśli długotrwałe przesilenie rządowe w roku 1922.

Przebieg wspomnianego przesilenia odbywał się w atmosferze jeszcze bardziej gęstej od kłamstw oszczerstw i insynuacji, niż załatwienie sprawy wileńskiej.

Opinia publiczna została tak zdeзорjentowana przez prasę wrogą Piłsudskiemu, że w oczach wielu to przesilenie było jedynie tylko posunięciem taktycznym, a nie zasadniczym. A tymczasem Piłsudskiemu chodziło wówczas o wielką rzecz, a mianowicie o przeipojenie czynników rządowych poczuciem odpowiedzialności za bezpieczeństwo państwa w związku z wynikami konferencji Genuńskiej.

Konferencja w Genui zamiast trwałych gwarancji pokoju europejskiego przyniosła zapowiedź nowych komplikacji międzynarodowych w postaci traktatu w Rapallo, który związał sojuszem dwóch najzaciętszych wrogów Polski i Traktatu Wersalskiego: Niemców i Rosjan.

W obliczu tej nowej i groźnej sy-

tuacji Piłsudski postawił rządowi Ponikowskiego pytanie: czy wobec stanu rzeczy, jaki zaistniał po Traktacie Repalskim, bezpieczeństwo Państwa Polskiego stało się bardziej zagrożone, a jeżeli tak, to jakie praktyczne wskazania wynikają stąd dla rządu.

Rząd po dłuższym rozważaniu wytworzonej sytuacji międzynarodowej odpowiedział, że zagrożenie Państwa bezpośrednio się zwiększyło i wymaga wzmózonych wysiłków ze strony rządu i społeczeństwa w zakresie stworzenia pogotowia obronnego.

Piłsudski wówczas zmusił rząd Ponikowskiego do krytycznej samoceny. Samocena ta nie mogła nie wypaść bardzo niekorzystnie. Zgóry trzeba powiedzieć, że nie było to winą samego rządu Ponikowskiego lecz i rządu i Sejmu. Sejm nie umiał stworzyć rządu parlamentarnego, a rząd Ponikowskiego przez swoją ingerencję w jego kompetencje sprawował do roli „naocznego świadka”

tego, co się w Polsce siłą inercji działo. Żaden klub szczerze i lojalnie nie popierał tego rządu, lecz zato każdy klub stawiał mu natarczywe wymagania, dawał nieproszone rady i nękał interpelacjami. Czy taki rząd zdołałby przeprowadzić kraj przez jakąś ciężką próbę dziejową? Był to bowiem rząd,

który nie mógł w odpowiedzi wymienić Piłsudskiemu sprawy, którą można było w naszych urzędach załatwić w ciągu jednego dnia. To też po skonfrontowaniu przez Piłsudskiego ówczesnej naszej sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej ze zdolnością gabinetu Ponikowskiego do odpowiedzialnego reagowania na tę sytuację polityczną, ówczesny rząd podał się do dymisji.

Rozpoczęło się długotrwałe przesilenie, które skończyło się dla Piłsudskiego niepowodzeniem. Piłsudski wówczas przegrał, lecz nie była to jego osobista porażka; była to porażka męskiego poczucia odpowiedzialności, odniesiona w starciu z dobrane nam znaną naszą zbiorową niefrasobliwością, która przodków naszych nie opuszczała nawet wobec bezpośredniego niebezpieczeństwa runięcia w przepaść.

Czas jednak najwyższy do zdania sobie sprawy, że wyłoniliśmy się z przepaści nie poto, aby swoim postępowaniem dać powód do twierdzenia, że niczegośmy w niewoli nie zapomnieli i nieczegomości się nie nauczyli.

Pod groźą najcięższych konsekwencji dla naszej samodzielności państwowej musimy się nauczyć umie-

jętności świadomego współdziałania z ludźmi, przodującymi narodowi na drodze do jego wielkich przeznaczeń.

Ta umiejętność musi się stać udziałem nie mniejszości, lecz większości narodu (zgodnie z demokratycznym charakterem naszego ustroju państwowego), jeżeli najwybitniejsi ludzie w Polsce nie mają się szamać i wreszcie ulec w walce z obojętnością większości, żyjącej wyłącznie dnem dzisiejszym, nie umiejącej przewidzieć i odwracać groźących niebezpieczeństw.

Przebieg omawianego przesilenia wykazał, że poczucie odpowiedzialności i perspektywy dziejowej, które uwarunkowało stanowisko Piłsudskiego, nie znalazło zrozumienia wśród reprezentantów narodu. Piłsudski pozostał odosobniony, lecz to odosobnienie musi ustać, jeżeli chcemy pozostać demokracją żywotną, zdolną zapewnić swemu państwu trwałość i rozkwit.

Dobro narodu i państwa wymaga, aby Piłsudski w swych zamierzeniach, zakrojonych na miarę historyczną, miał świadome poparcie większości społeczeństwa i nie był zmuszony ukradkiem, kontrabandą niejako, uprawiać rolę ojczystą pod posiew wielkiej i sławnej przyszłości.

Pisząc o Piłsudskim niepodobna nie wspomnieć o tem, jak on reprezentował Państwo Polskie nazewnątrz, co – jak wiemy – jest jedną z funkcji Prezydenta Rzeczypospolitej.

Zdaje się, że nie było Polaka, zdolnego czuć i myśleć bez uprzedzeń, któremu radość i duma nie rozszerzałyby piersi, gdy się dowiadywał z prasy, jak Piłsudski w Paryżu reprezentował majestat narodu.

Nie było to rzeczą przypadku, ani też tylko zrzecznością.

Tylko bowiem ten, kto posąg Polski Niepodległej przez całe swe życie wykuwał w twardym kamieniu ciężkiej rzeczywistości naszej, tylko ten mógł i może godnie reprezentować wschodzącą gwiazdę państwowości polskiej.

Nie może tego zrobić ten, dla kogo Polska Niepodległa jest niespodzian-

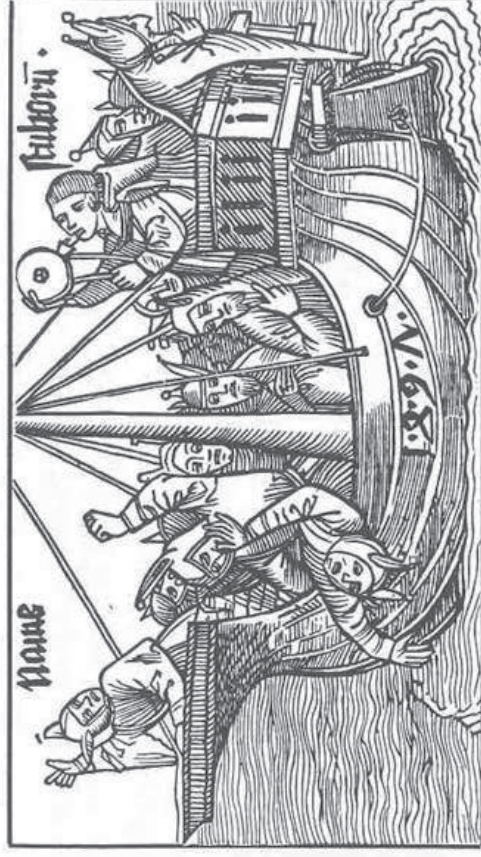
ką, jeżeli nie przykrą, to w każdym razie nieoczekiwaną, dla kogo Polska dziś jest „wybuchła”. Należy żałować, że dzisiaj reprezentują Polskę zagranicą przeważnie tacy dyplomaci, którzy nawet myślowo nie przeżyli procesu powstawania Polski przez krew i ofiarę, którym się zdaje, że oni coś znaczą zagranicą tylko jako książęta, hrabiowie lub potentaci finansowi, lecz nie jako przedstawiciele narodu, sięgającego po należyte sobie miejsce w wielkiej rodzinie ludzkości.

A miejsce nam należne musi być jedno z pierwszych, nie ze względu na naszą liczbę ani też na zajmowany przez nas obszar, lecz ze względu na te idee cywilizacyjne, które państwo-wość polska reprezentowała i reprezentować będzie na Wschodzie Europy, a których najdoskonalszym i najczystszy wyrazem jest dzisiaj Józef Piłsudski.

POLSKA WSPÓŁCZESNA

MAREK CHLEBUŚ

REJS



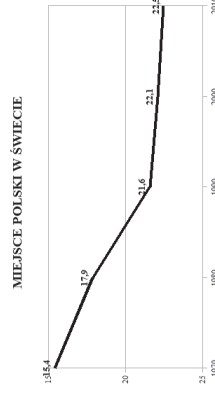
Dryfujemy. Coś nas nieubłaganie ściga w dół, nawet nie bardzo wiemy, co i w jaki sposób. Nie umiemy też się temu oprzeć, bo sternik pijany, ster złamany, wiosła rozkradziono. Kto jest tego więcej świadom, ten coś sfrustrowany woła, ale że przeszkadza innym, to go zaraz tłumia. Bardziej pobudzeni wyskakują i sami gdzieś płyną, a reszta popada w półświadomy, bezradny fatalizm.

Czy można coś jeszcze w takiej sytuacji zrobić? Oczywiście – przetrwać. Natychmiast otrzeźwieć i przejrzeć na oczy. I ratować wszystko, co mogłoby jeszcze być użyteczne. I naprawić ster, i poszukać czegoś do wiosłowania, choć to wbrew pozorom wcale nie jest najpilniejsze – dopóki nie wiemy, jak nawigować.

Dokąd mierzymy?

Miejsce Polski w świecie stale się obniża. Nie chodzi przy tym o tak oczywisty geopolityczny regres, jak ten z pozycji europejskiego mocarstwa, którą osiągnęliśmy w czasach słabości Niemiec i Rosji, do całkowitego zniknięcia państwa po rozbiorach. Nie chodzi też o widoczne na mapach kurczenie się kraju od czasów jagiellońskich po współczesne. Degradacja postępuje także w ostatnich dziesięcioleciach i jest nadzwyczaj stabilnym procesem.

Oto wykres miejsca Polski w świecie, rozumianego jako średnia z rankingów GUS, pozycjonujących Polskę wśród państw świata (według danych z pracy [1]):



Pozycja Polski w świecie systematycznie spada, w ostatnim czterdziestoleciu obniżyła się o przeszło siedem miejsc. Nic nie zatrzymało tego spadku, ani westernizacja Gierka, ani socjetyzacja Jaruzelskiego, ani Okragły

Stół Kiszczaka czy Plan Balcerowicza, ani wejście do NATO i Unii Europejskiej, ani napływ unijnych funduszy, ani prywatyzacja, ani zamykanie czy otwieranie rynków oraz granic. Nic.

Nie jest mi znany żaden plan, który by ten problem miał rozwiązywać, zresztą nie jest mi też znany żaden planista, który by tu problem w ogóle dostrzegł.

Liczby i rzeczywistość

Co ten dryf oznacza? Arytmetycznie – tylko tyle, że pod badanymi względami wyprzedza nas coraz więcej państw. A jakie to względy? Takie, jakie klasyfikuje GUS: powierzchnia, ludność, produkcja energii elektrycznej, import, eksport, PKB ogółem, PKB na mieszkańca, zbiory: pszenicy, żyta, jęczmienia, ziemniaków, buraków cukrowych; pozyskanie drewna, pogłowienie: bydła, trzody chlewnej; produkcja: mięsa z uboju, mleka krowiego, jaj kurzych; połowy morskie i słodkowodne, produkcja: surowców energetycznych, węgla kamiennego, węgla brunatnego, cukru surowego, cementu, stali surowej, miedzi rafinowanej.

Może są to anachroniczne miary kondycji państwa? Możliwe. Może są niekompletne? Też możliwe. Ale właśnie taki zestaw ustala przez ostatnie kilkadziesiąt lat GUS. Rezygnacja z którejkolwiek miary lub dodanie nowej – tworzyłbyś czyjś autorski zestaw, już niepodparty autorytetem polskiej statystyki publicznej. No to może, skoro nie da się podważyć danych, dałoby się je zlekceważyć? Wszak jeśli przyjąć, że węgiel jest nowoczesny, a cukier niezdrowy, to można by się spod-

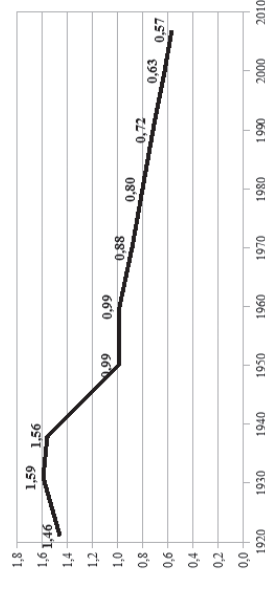
kiem ich produkcji cieszyć zamiast martwić. Ano można, tylko... czemu ludzie uciekają od nas, a nie do nas?

Demografia jest nieubłagana. Nawet gdyby z bilansu ludności nie skreślać jeszcze tych milionów Polaków, którzy właśnie się urządzają w Niemczech, Anglii oraz innych krajach świata, nawet gdyby Polki zaczęły teraz masowo rodzić, a ich dzieci, gdy dorosną, szukałyby sobie miejsca w kraju, to i tak należy się wkrótce liczyć z kilkunastoprocentowym ubytkiem

Jak widać, Polaków jest relatywnie coraz mniej. Od 1938 r. do 2007 r. nasz udział w światowej populacji spadł o prawie dwie trzecie, z 1,56% do 0,57%, a za większość tego spadku odpowiada okres po 1950 r., bynajmniej nie wojenny.

Zadziwiającą stabilny trend po 1960 r., skutkujący około 10% spadkiem na dekadę, gdyby nie miał być przerwany, zmierza w okolice zera już około 2072 r. Oczywiście, nikt nie utrzymuje, że Polska tak szybko

UDZIAŁ POLSKI W LUDNOŚCI ŚWIATA [%]



zniknie w wyniku procesów demograficznych, ale oficjalne prognozy są niewiele lepsze, bo na 2050 r., kiedy obecny trend osiągałby 0,19%, oceniają nasz udział w populacji świata na około 0,35%, co oznacza dalszy spadek o prawie dwie piąte.

Błogie zamroczenie

Podobno Polska to kraj nieustającego sukcesu, przynajmniej według większości mediów oraz naukowych i politycznych celebrytów. Rośnie PKB i średnie pensje, przybywa dróg, stadionów, akwaparków, biurowców i lotnisk. Kto chce, ten ma studia, komputer, telefon, telewizor, własny biznes i samochód. I może jeździć, gdzie chce, i gdzie chce – pracować. Było to kiedyś lepiej?

No właśnie. Zmiana pozycji Polski nie oznacza degradacji absolutnej, lecz tylko – względem innych państw, które nas stopniowo wyprzedzają. Nie musi to znaczyć, że jest nam gorzej w ogóle, ale że gorzej niż innym, którzy stają się od nas silniejsi i są w stanie coraz bardziej nas sobie podporządkowywać. Tylko tyle.

Czy to miałoby nas obiektywnie

martwić, czy zaledwie wzbudzać naszą zawiść? Cóż, gdyby chodziło tylko o wykresy, rankingi i gazetowe pochwały, można by to ignorować, ale właśnie doświadczamy obiektywnego, a nawet krytycznego skutku tych wszystkich procesów: ucieczki Polaków, porzucających ojczyznę, w której jest im gorzej niż na obczyźnie.

Państwo polskie zdaje się tym jać nie przejmować, czemu zresztą i trudno się dziwić, bo ważnym katalizatorem tych naszych problemów jest brak myśli państwowej, ułatwiający ich niezrozumienie, a nawet nieświadomość. Dopiero dalej są wskazówki, mniej lub bardziej ważne, potem polityka, gospodarka i kultura, a najdalej, już na samym końcu, jako ostateczny wynik, jest ubytek ludzi, którzy przestają w Polsce żyć, mieć tutaj dzieci, mówić po polsku, myśleć po polsku, i w końcu się z Polską identyfikować. Taki jest początek i taki jest koniec tej degradacji, że zaczyna się od braku elit, a kończy na braku ludu.

Co możemy robić?

Można podejmować próby uzdrowienia państwa – takiego, jakie jest, ale ma to dość ograniczony sens. Raczej nie wystarczą one do zapewnieniu temu państwu powodzenia czy nawet przetrwania, chociaż mogą je ułatwić lub chociaż skrócić i złagodzić okres historycznej przerwy, jeśli by nam się taka znowu miała przytrafić.

Sytuacja jest trochę taka, jak z budową nowego domu na miejscu starego, w którym jednak trzeba czas budowy przeżyć. Nadmierne inwestowanie w części wciąż użytkowane może być wtedy nieracjonalne i przynosić przelotną korzyść kosztem trwałej straty.

Szkoda teraz czasu na wyliczanie zbędnych czy nawet szkodliwych instytucji państwa, absurdalnych inwestycji, które lepiej by od razu zburzyć zamiast utrzymywać, dysfunkcyjnych praw, przepisów, które dawno utraciły sens. Trzeba to będzie ogarniać i zmieniać, ale ze świadomością, że teraz, na tym fundamencie, można tylko zmniejszać ich szkodliwość, nic więcej. A niektóre doraźnie sensowne reformy mogą nawet w efekcie naszą przyszłość pogorszyć.

Dobry inżynier potrafi wznosić względnie trwałe budowle na niepewnym gruncie, z użyciem nietrzymających jakości materiałów, w sposób odporny, przynajmniej do pewnych granic, na kulturę wykonawstwa. Do tego potrzeba jednak financyjnego projektu i skutecznego nadzoru jego realizacji. Podobna reforma państwa wymagałaby może nawet nadania uprawnień dyktatorskich światłym, zdeteminowanym i silnym osobom. To już się w historii zdarzało i nawet czasem się udawało: Kazimierzowi w Polsce, Piotrowi w Rosji czy Fryderykowi w Prusach. Mogłoby się udać i dzisiaj, ale raczej w jakichś nadzwyczajnych warunkach, zmierzających przez wielki wstrząs czy katastrofę, które trudno planować. Może i dobrze byłoby mieć w odwodzie, na wszelki wypadek, jakichś Kazi-mierzów, Fryderyków, Piotrów, ale i tych trzeba by wcześniej wykształcić i odpowiednio ukształtować, żeby nie traktowali państwa jak łupu i ludzi jak bydła.

Sprawy doraźne bywają bardzo dolegliwe, często domagają się natychmiastowych działań i radykalnych środków, lecz nie powinny przestaniać celów długoterminowych.

Poprawiania państwa, a tym bardziej dobrego nim zarządzania – nie można uważać za bezsensowne czy zbędne, ale trzeba za niewystarczające.

Co musimy robić?

Działania doraźne, ważne tu i teraz, mogą i powinny utrzymywać, a nawet rozwijać podstawową infrastrukturę, kulturę, populację i różnorodność tencyj. Ale to raczej nie powstrzyma naszego dryfu, nie ustrzeże nas przed upadkiem, przynajmniej nie samo to. Dla przełamania złych tendencji, niezbędne są działania długofalowe.

Pierwszym zadaniem byłaby odbudowa myśli państwowej, drugim – systematyczna rekonstrukcja elit. Dopiero potem można poważnie przekształcać instytucje czy infrastrukturę. Czyli: najpierw ośrodek myśli państwowej, niezbędnie potrzebny, nie droższy od jednego czy dwóch aquaparków. I uczciwy system stypendialny dla dzieci, nie kosztowniejszy od stadionu. To oczywiście nie rozwiązuje naszych problemów, ale stwarza dla tego niezbędny fundament.

Musimy jak najpilniej zebrać te niedobitki wysokiej myśli, które tu jeszcze pozostały. Dać im parę lat na zrozumienie sytuacji, w jakiej się znajdujemy i kolejne parę na sformułowanie programów ratunkowych oraz rozwojowych, a w szczególności na określenie priorytetów co do wykształcenia kolejnych pokoleń.

Musimy dobrze uczyć i wychowywać wszystkie nasze dzieci oraz całą młodzież, lecz stopniowo wyłaniać spośród nich, i kształtować dla dobra ich oraz nas wszystkich – przyszłe elity, które by się czuły odpowiedzialne za państwo i za społeczeństwo, i chciały im służyć.

Myśl państwowa

Mogłoby się wydawać, że bezmyślność państwa powinna być łatwo usuwalna. Wystarczyłoby ulokować gdziekolwiek, przy jakimś urzędzie, instytucji naukowej albo nawet firmie, ośrodek myśli strategicznej, który w ciągu kilku lub kilkunastu lat mógłby zgromadzić wartościową wiedzę o świecie i Polsce, wyciągnąć z niej wnioski, sformułować zalecenia. To raczej wykracza co do skutków

poza jedną, a pewnie i dwie kadencje parlamentarne, więc z perspektywy myślenia partyjnego jest mało wartościowe, ale mimo to możliwe. W pracy [5] przedstawiono projekt budowy takiego ośrodka w oparciu o dwie kolejne kadencje prezydenckie, parlamentarne i rządowe, z udziałem środowisk naukowych i społecznych – w sposób mający ograniczać myślenie doraźne i partykularne.

Niestety, już samo zaistnienie zasobu rzetelnej wiedzy, pozwalającego na ocenę różnych projektów, zmniejsza komfort sprawowania władzy przez polityków oraz urzędników, gdyż w nieunikniony sposób ogranicza ich swobodę i różne doraźne korzyści. Może za to podnosić tej władzy jakość. Prawdę mówiąc, nawet trudno sobie wyobrazić inny sposób na jej podniesienie. Tu interes partii oraz biurokracji, ich wygoda i beztroška – muszą zejść na dalszy plan.

Można zresztą zacząć od dziedzin niekontrowersyjnych i niepolitycznych, poznawalnych obiektywnie i możliwych do racjonalnego ogarnięcia. Należą do nich na przykład stosunki wodne oraz przyrodnicze, bilanse energetyczne i surowcowe,

logistyka, infrastruktura edukacyjna i różne inne obszary, w których profesjonalne myślenie powinno co najmniej dostarczać rzetelnych ram dla działań politycznych i biurowych, niekoniecznie je eliminując i nawet nie likwidując ich młodności dla polityków oraz urzędników.

Rekonstrukcja elit

Odbudowa elit wydaje się dziełem trudnym, ale wykonalnym. Może to trochę przypominać rekonstrukcję wymarłego gatunku, co już nam się zresztą udawało – z żubrem czy tarpanem. Czemu by miało teraz nie wyjść z pisarzami, humanistami, inżynierami, menadżerami?

Potrzebny byłby co najmniej poważny program stypendialny na edukację zagraniczną i jeden, może kilka, ośrodków krajowych, kształcących elity różnych dziedzin. Po paru dziesięcioleciach, może już nawet po dwóch, powstałby zasób ludzki, zdolny realizować pozytywny program rozwojowy, niekoniecznie zresztą taki, jaki mu wcześniej formułowano.

Raczej nie da się z tego wykluczyć klanów odpowiedzialnych za obecny stan państwa, zwących się jego elitami, gdyż są nadzwyczaj skuteczne w ochronie swoich przywilejów, to jest zresztą główny czynnik tej elitarności. Nielatwo też będzie wyłączyć ich dzieci, które już teraz monopolizują stypendia, dotacje, nagrody i ścieżki awansu. Trudno, tarpana też kiedyś odtwarzano na bazie wsiowych chabet. Pewnie trzeba i w te klany nadal inwestować, licząc że odpowiedzialna edukacja poprawi ich jakość. Najważniejsze jednak – to przełamać ich obecne monopole, by dopuścić innych, spoza tego przekłętą kregu; jeżeli nie będzie na to lepszych pomysłów, to choćby losując kandydatów ze spisu powszechnego.

Taki byłby projekt długoterminowy, którego efekty mogą przyjść za kilkadziesiąt lat. Polska będzie wtedy jeszcze istnieć lub już nie, świat może być zniszczony wojną albo zvirtualizowany, może też panować całkiem nowy ustrój i zupełnie nowe modele gospodarce. A nawet, gdyby miało się utrzymać obecne *status quo*, to nasza w nim pozycja będzie raczej inna, gorsza. Trudno byłoby dzisiaj wskazywać konkretne cele na wtedy, zwłaszcza

cza tym, którzy mają być z założenia od nas mądrzejsi. Będą musieli sami nazwać i opanować ówczesne problemy. Pewne jednak cechy i pewne postawy, które trzeba by w nich pielęgnować, wychowując ich już teraz, wydają się oczywiste.

Fundamenty

Trzeba uczyć dbałości o substancję biologiczną – i ludzi, i przyrodę. Uczyć myśleć o gospodarce jako służebnej dla ludzi, a nie odwrotnie. I oczywiście, zawsze, uczyć o służebności prawdziwych elit. Bo inaczej są paszytami.

Uczyć trzeba historii Polski w narracji własnej, a nie cudzej. Bo nie jesteśmy tylko ani przede wszystkim, a może i wcale nie:

- uciążliwymi, zlatynizowanymi odszczepieńcami cywilizacji Słowian;
- barbarzyńcami, nie dość wdzięcznymi i nie dość zhołdowanymi wyższej kulturze, na której ziemiach się osiedlili;
- nie dość usługowymi i nie dość pokornymi gospodarzami tych ziem, które zaszczyciła swym osadnictwem jeszcze wyższa cywilizacja;

- imperialnym okupantem i gnębicielem, wyzyskującym pomniejszych sąsiadów.

To są obce i niezycziwe nam naracje, na których nie da się zbudować innej tożsamości niż patologiczna.

Trzeba rozwijać własną humanistykę i w ogóle kulturę, nie tylko importować czy naśladować obcą. A nade wszystko pielęgnować język i kulturę słowa. To, co robi dziś z polszczyzną (i polskością) wiele, zapewne większość mediów, instytucji kultury, uczelni – jest nie tylko nieakceptowalne, ale też niewybaczalne.

Szczypta realizmu

Degradacja Polski, jakkolwiek by ją oceniać, wyolbrzymiać czy lekceważyć, dokonuje się nie z naszej woli i nasza wola też jej zaraz nie powstrzyma. Ale najpierw trzeba ją w ogóle dostrzec, bo przecież trudno się spodziewać, żeby ktoś nie widzący zagrożeń, miał im przeciwdziałać.

Historycznie patrząc, od dość dawna to nie my ustaliliśmy nasze granice i nie my wybieraliśmy ze-

wnętrzne podporządkowania, niezależnie od tego, ile by je poprzedzało referendum, wieców albo holdów. Nie z naszej też woli, a w każdym razie nie tylko z niej, zniknęła i odradzała się ojczyzna, nie bacząc na to, iloma by to podpierano ustawami, traktatami czy rezolucjami.

Raczej też nie my będziemy przesądzać w przewidywalnej przyszłości o formalnym trwaniu Polski, a zwłaszcza o jego charakterze, bo państwo może karleć bez utraty godła i wykopywania słupów granicznych. Nie ma żadnych poważnych przesłanek, by zakładać, że bezwolność, ułomność i ograniczona poczytalność państwa zmienią się ot tak, same z siebie, wysiłkiem jakiejś niewidzialnej ręki dziejów, zrządzeniem opatrności czy w wyniku wypowiedzianych odpowiednich życzeń albo modlitw.

Polska może stosunkowo szybko zniknąć jako samodzielny byt, co zresztą nie znaczy, żeby ktoś nas zaraz wymazywał z map, czy żeby nam kazał przemałowywać flagi. Dla mniej uważnych i mniej wymagających, takie zniknięcie mogłoby nawet pozostawać niezauważalne. Dwieście lat temu, chłopci na naszych kresach, cza-

sem dopiero po powstaniach dowiadawali się, że dziedzic czy arendarz od dawna eksploatuje ich już nie w imię króla, ale teraz cara, co im zresztą nadmiernej różnicy nie sprawiało.

Tak jak istnieje dzisiaj Małopolska czy Wielkopolska, może istnieć jutro Całopolska, czy nawet po starcie Polska, może zachować kompanię honorową i fotele w zgromadzeniu ONZ. I nawet prawo do tabliczek z nazwami ulic w swojej gwarze. Czemu nie? To jednak może już nie być państwo, lecz raczej jakiś tubylczy samorząd.

Niewykluczone, że w tym kierunku powoli zmierza charakter naszej autonomii w ramach europejskiego bytu politycznego, autonomii, której ograniczenia przyjmujemy dziś względnie dobrowolnie, a w każdym razie bez większego sprzeciwu. Niektórzy uważają to zresztą za najlepszą możliwość dla nas przyszłość i nawet śmiało o tym mówią.

Czy sami możemy coś doradzić, aby zapewnić przetrwanie państwu lub chociaż uprawdopodobnić ciągłość jego bytu? Może właśnie to, co ostatnio próbujemy – akceptując protektorat sąsiadów, banków oraz innych sił, nie oczekując respektu

cyjnych, ale też w publikacjach oficjalnych, nawet naukowych. Jednak bezskutecznie. Poniżej przytoczę parę cytatów, pochodzących głównie z artykułów własnych, powstałych w ramach prac Komitetu Prognoz PAN.

Na początek, wciąż aktualne słowa sprzed przeszło 20 lat, które wypowiedział w 1994 r. ówczesny Prezes Polskiej Akademii Nauk i Przewodniczący Komitetu Prognoz, prof. Leszek Kuźnicki (cytat za [3]).

Jesteśmy jednym z nielicznych krajów w Europie, który nie ma wyodrębnionych placówek naukowych do badań nad przyszłością lub spełniających takie funkcje.

Dalej cytat z pracy: Marek Chlebuś „Polska – 40 lat później” [2].

Potencjał umysłowy Polski zdaje się maleć jeszcze szybciej niż ten ludnościowy. Jednym z najdobitniejszych tego przejawów jest samozadowolenie elit, upojonych własnymi komplementami, opromienionych samowielbieniem, poczuciem potęgi, przyznających sobie za to coraz liczniejsze ordery, nagrody, tytuły honorowe, których liczba rośnie chyba jeszcze szybciej i optymistyczniej

od uskaźników skolaryzacji, europeizacji, cywilizacji, uzasadniając tym samym wiarę w opiekunczą, niewidzialną rękę dziejów, która zawsze sprawi, że świat zadba o nas lepiej niż my sami... To raczej nie sprzyja budowaniu planów. (...)

Istnieje wielka przestrzeń między patetyczną mocarstwowością a plan-tonicznym fatalizmem. Aby w niej nawigować, potrzeba jednak jakiejś myśli państwowej. Choćby i kulawej. Dziś, jak się zdaje, nie mamy żadnej.

I cytat z pracy: Leszek Kuźnicki, Marek Chlebuś „Polska w perspektywie 2050” [4].

Stan [elit] jest zły, najpierw przez historyczne straty, potem wskutek spadnięcia – za sprawą mediów oraz innych służb publicznych – w odmęt popkultury i komercji, prawie całkowicie likwidujące budowaną przez pokolenia warstwę inteligencji. Konieczność szybkich i radykalnych działań na prawnych staje się bezdyskusyjna. Go-rzej z możliwościami.

Drugą Rzeczpospolitą budowali wielcy Polacy, ściągający z całego świata, PRL zasiliły lewicowe elity Polski

przedejściowej, a III RP pourządzający z zaawansowanych cywilizacyjnie krajów emigranci. Dziś nie bardzo widać zewnętrzny zasób elit, do którego jeszcze by można sięgnąć. Potencjał intelektualny Polski trzeba będzie prawdopodobnie odbudowywać głównie siłami wewnętrznymi, a te stale maleją. Jeżeli odpowiednie procesy nie będą niezawiesznie podjęte i przeprowadzone, grozi nam zanik kapitału kulturowego i postępująca za tym erozja kapitału społecznego, a w konsekwencji może nawet utrata historycznej zdobyczy II i III Rzeczypospolitej: prawa do suwerenności.

I w końcu konkluzja z pracy: Marek Chlebuś, Leszek Kuźnicki „O potrzebie restytucji myśli państwowej w Polsce” [5].

Państwo polskie ma wiele instytucji, badających przeszłość, ale żadnej, kierowanej na przyszłość. Nadchodzące pokolenia muszą uznać ten niedostatek myśli państwowej za wielkie i nierozumiące zaniedbanie naszych czasów.

2015

Źródła

1. Marek Chlebuś, Miejsce Polski w świecie, Przyszłość. Świat – Europa – Polska Nr 1, Warszawa 2014, <http://chlebus.eco.pl/ECOSOC/PL2050.pdf>

2. Marek Chlebuś, Polska 40 lat później, w: Wizja przyszłości Polski, Studia i analizy, Tom II, Komitet Prognoz PAN, Warszawa 2011, <http://chlebus.eco.pl/FUTURE/PL-2050.pdf>

3. Leszek Kuźnicki, Najważniejsze zagrożenia dla Polski, Przyszłość. Świat – Europa – Polska Nr 2, Warszawa 2012, http://yadda.icm.edu.pl/yadda/element/bwmeta1.element.desklight-9ba77ccf-ef2e-4da1-9f8e-3f6acb9894a1/c/2-26_Leszek_Kuźnicki.pdf

4. Leszek Kuźnicki, Marek Chlebuś, Polska w perspektywie 2050, w: Wizja przyszłości Polski, Studia i analizy, Tom III, Komitet Prognoz PAN, Warszawa 2012, http://sprawynauki.edu.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=2089:polska-w-perspektywie-2050&catid=306&Itemid=30

5. Marek Chlebuś, Leszek Kuźnicki, O potrzebie restytucji myśli państwowej w Polsce, Sprawy Nauki, Nr 11, Warszawa 2012, http://sprawynauki.edu.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=2300:o-potrzebie-restytucji-mysli-pastwowej-w-polsce&catid=306&Itemid=30

Ilustracja tytułowa: Albrecht Dürer, Statek głupców, za lmaclan.ca

Wszystkie odczyty internetowe według stanu z 06.07.2015.

DR WOJCIECH BŁASIAK

PROJEKT STRATEGII PROGRAMOWEJ WOLNYCH POLAKÓW W WYBORACH PARLAMENTARNYCH. TEZY.

Projekt strategii programowej wolnych Polaków w wyborach par- lamentarnych. Tezy.

Zmiana ustroju państwa i wolne wybory do Sejmu

– Zmiana ustroju państwa i przywrócenie go polskim obywatelom, dzięki wprowadzeniu wyborów do Sejmu w 460 jednomandatowych okręgach wyborczych, o równej liczbie uprawnionych do głosowania obywateli, z równym limitem wydatków finansowych, z równą dla wszystkich uprawnionych obywateli swobodą kandydowania, gdzie posłem zostaje zdobywca największej liczby głosów w jednej turze wyborczej oraz jawnością liczenia głosów. Zlikwiduje to obecny ustrój partyjnej oligarchii wyborczej i umożliwi przeprowadzenie pierwszych w pełni wolnych wyborów do Sejmu.

Budowa państwa republikańskiego

– Wprowadzenie wyborczej ordynacji jednomandatowej we wszystkich wyborach przedstawicielskich w kraju, od Sejmu po samorządy terytorialne, co stworzy podstawy nowego ustroju politycznego demokracji republikańskiej.

– Wprowadzenie obligatoryjności ogłaszania przez Sejm referendów, jeśli pod wnioskiem o referendum podpisze się co najmniej 0,5 mln uprawnionych wyborców oraz ważnością referendum bez względu na frekwencję, z wyjątkiem pytań o zmianę Konstytucji i ograniczenie suwerenności państwa.

– Ograniczenie kompetencji Trybunału Konstytucyjnego tak, aby stał się on organem obrony konstytucyjnych praw i wolności obywatelskich, a przestał być partyjnie mianowaną trzecią izbą ustawodawczą, ingerującą w proces ustawodawczy.

– Zwiększanie wolności działania obywateli oraz ich własności, wszędzie tam gdzie to jest możliwe.

– Przecistawianie się wszelkim grabieżczym praktykom instytucji i grup społecznych, tak krajowych, jak i zagranicznych, wobec polskich obywateli.

– Ustanowienia społecznej kontroli nad działalnością wymiaru sprawiedliwości.

– Odbiurokratyzowanie państwa wraz z redukcją zatrudnienia administracji publicznej.

– Przeprowadzenie przeglądu wydanych od 1989 roku ustaw, z których jedna trzecia realizuje interesy zorganizowanych grup nacisku, głównie administracji publicznej i grup zawodowych tego sektora, ponad 40 proc. ogranicza wolność gospodarczą, a dwie trzecie generuje koszty dla finansów publicznych.

– Odpartyjnienie mediów publicznych i ograniczenie udziału kapitału zagranicznego w mediach prywatnych do górnej granicy 1/3.

Odbudowa suwerenności ekonomicznej państwa

– Zachowanie suwerenności walutowej w postaci posiadania własnego pieniądza narodowego, złotego polskiego.

– Wystąpienie z paktu fiskalnego Unii Europejskiej.

– Stałe wzmacnianie polskiej własności gospodarczej, tak prywatnej, jak i publicznej. Wzmocnienie większościowej pozycji właścicielskiej państwa we wszystkich strategicznych przedsiębiorstwach i odzyskanie jej tam, gdzie państwo ją utraciło.

– Zablokowanie drenażu ekonomicznego Polski w postaci ukrytego transferowania za granicę zysków i dochodów z tytułu zagranicznej własności.

– Utworzenie dwóch dużych ogólnokrajowych banków polskich i tworzenie banków municypalnych w regionach i miastach.

– Stała redukcja zadłużenie zagranicznego, które przekroczyło 290 mld euro i grozi katastrofą finansową państwa.

– Przygotowanie Narodowego Banku Polskiego do przejścia zadłużenia rządu i samorządów oraz ich obsługi na wypadek chaosu na globalnych rynkach finansowych i deflacji długów zagranicznych i wewnętrznych, w tym przygotowanie niezbędnych konstytucyjnych i traktatowych zmian prawnych.

– Oparcie elektroenergetyki na rodzimych zasobach węgla kamiennego

i brunatnego oraz głęboka reorganizacja i konsolidacja wydobywa, dys-trybucji i handlu oraz finansowania górnictwa węgla kamiennego wraz z utworzeniem Banku Górniczego.

– Rozpoczęcie negocjacji drugiego pakietu klimatycznego UE, przede wszystkim w celu likwidacji zapisu o stopniowym zmniejszaniu puli darmowych uprawnień do emisji CO₂ oraz przygotowanie procedur do całkowitego zawieszenia przez Polskę uczestnictwa w pakcie klimatycznym UE.

Rozwój innowacyjnej gospodarki opartej na pracy i wzroście zatrudnienia

– Selektywna polityka przemysłowa państwa wspierająca rozwój najnowocześniejszych sektorów produkcji i kreatywna rola państwa w inicjowaniu, koordynowaniu i współfinansowaniu innowacyjnej reindustrializacji Polski.

– Tworzenie publiczno-prywatnych konsorcjów przemysłowych, których zadaniem będzie budowa holdingów i koncernów zdolnych do skutecznej konkurencji ekonomicznej na światowych rynkach, co dotyczyć będzie przede wszystkim najbardziej innowacyjnych branż przemysłowych.

– Odbudowa polskiego przemysłu stocznioowego i konsolidacja polskiego przemysłu farmaceutycznego.

– Aktywna polityka ekonomiczna przeciwdziałania importowi bezrobocia poprzez zlikwidowanie deficytów w handlu zagranicznym.

– Włączenie władz samorządowych gmin, powiatów i województw w rozwój innowacyjnej gospodarki opartej na pracy i wzroście zatrudnienia wraz z budową sieci instytucji współtworzących i wspomagających innowacyjne strategie gospodarczego rozwoju terytorialnego.

– Wspieranie partnerstwa kapitału i pracy oraz równorzędne i podmiotowe traktowanie związków zawodowych i przedstawicieli pracowników w relacjach z rządem i administracją publiczną.

– Przekształcenie Ministerstwa Gospodarki w centralny ośrodek tworzenia i koordynowania narodowej polityki gospodarczej, jako syntezy potrzeb i oczekiwań polskich podmiotów gospodarczych, organizacji gospodarczych, organizacji pracodawców i pracobiorców, samorządów terytorialnych i instytucji nauki.

– Przekształcenie Ministerstwa Skarbu w centralny organ właścicielski mienia państwowego, który kupi

w swoim ręku zarządzanie właścicielskie. Ministerstwo będzie obsadzać przedstawicieli Skarbu Państwa wyłącznie spośród osób wyselekcjonowanych przez sejmową komisję skarbu i zatwierdzonych imiennie przez Sejm. Wyłącznie do nich będzie należał wybór kierownictwa podmiotów z udziałem Skarbu Państwa.

– Przekształcenie Prokuraturii Generalnej w instytucję prawnego nadzoru i kontroli gospodarowania mieniem, akcjami i udziałami Skarbu Państwa oraz wyposażenie jej w uprawnienia śledcze, które umożliwią ściganie przez nią wszelkich przestępstw i wykroczeń przeciwko Skarbowi Państwa dokonanych w ciągu ostatnich 30 lat.

– Wsparcie rozwoju sektora małych i średnich przedsiębiorstw poprzez:

- zmniejszenie podatku CIT z obecnych 19% do poziomu 10%,

- zmianie podstawy naliczania składki ZUS z poziomu średniej płacy krajowej do poziomu średniej płacy w tym sektorze,

- uruchomienie przez Narodowy Bank Polski dla tego sektora specjalnej linii kredytowej

wej o niskim oprocentowaniu średniorocznym.

- powołanie dla tego sektora instytucji państwowego faktoringu, który przejmie płatności za przeterminowane faktury i będzie je następnie odzyskiwać poprzez urzędy skarbowe.

– Wyrównanie obciążeń finansowych pomiędzy podmiotami krajowymi i zagranicznymi oraz pomiędzy poszczególnymi sektorami gospodarki i finansów, a także uszczelnienie i uproszczenie system podatkowego.

– Dodatkowe opodatkowanie tych zysków firm w gospodarce i finansach, które wynikają z ich monopolistycznych i oligopolistycznych pozycji rynkowych, co dotyczyć będzie przede wszystkim banków i firm ubezpieczeniowych oraz operatorów telekomunikacyjnych.

– Wprowadzenie nowego podatku od transakcji giełdowych, w celu opodatkowania dochodów ze spekulacji finansowych.

– Opodatkowane podatkiem obrotowym sklepów wielkopowierzchniowych, w sposób uniemożliwiający im unikanie płacenia podatków, co wyrówna szanse konkurencyjne

dla handlu średnio- i małopowierzchniowego.

- Obniżanie podatków wobec dużych i wielkich firm które inwestują, szczególnie w swoją innowacyjność, co dotyczyć będzie firm tak krajowych, jak i zagranicznych.

- Obniżanie kosztów życia obywateli poprzez kontrolę i obniżanie cen zmonopolizowanych i quasimonopolistycznych publicznych usług transportowych, dostaw energii, gazu, ciepła i wody oraz wynajmu mieszkań.

- Wprowadzenie bezwzględnych okresów przedawnienia długów, bez możliwości ich przerywania; pomiędzy przedsiębiorstwami z tytułu działalności gospodarczej okresu 3 lat, w wypadku długów obywateli i firm w stosunku do banków, instytucji finansowych, urzędów skarbowych i zakładów ubezpieczeń społecznych okresu 5 lat, w przypadku długów pomiędzy obywatelami okresu 10 lat.

Wysoka jakość wychowania, edukacji, kształcenia i nauki

- Podniesienie poziomu wymagań edukacyjnych i wychowawczych na wszystkich szczeblach oświaty.

- Likwidacja gimnazjów i centralizacja szkolnictwa ponadpodstawo-

wego poprzez podporządkowanie go wojewodom i kuratoriom wojewódzkim.

- Reorientacja szkolnictwa zawodowego na praktyczne kształcenie, z szeroko rozbudowanymi praktykami zawodowymi uczniów w przedsiębiorstwach, firmach, warsztatach i instytucjach.

- Reorganizacja państwowego szkolnictwa wyższego dla dostosowania kształcenia do potrzeb rozwoju innowacyjnej gospodarki i ścisłej współpracy sektora nauki z przedsiębiorstwami, firmami i instytucjami.

Demograficzny wyz i zahamowanie emigracji

- Wprowadzenie prorodzinnego systemu podatkowego, ze znaczącymi ulgami na dzieci, a w szczególności dla rodzin z dwójką i trójką dzieci oraz rodzin wielodzietnych.

- Rozszerzenie pomocy finansowej państwa dla rodzin wychowujących dzieci w trudnych warunkach materialnych.

- Zmiany prawa dla uniemożliwienia odbierania przez sądy rodzinom ich dzieci z tytułu trudnych warunków materialnych rodzin.

- Wycofanie przepisu prawnego umożliwiającego odbieranie dzieci

rodzicom przez urzędników samorządowych.

- Uruchomienie rządowego programu wsparcia finansowego dla samorządów w tworzeniu nowych żłobków i przedszkoli.

- Udział państwa w kosztach budowy tanich mieszkań spółdzielczych, lokatorskich i komunalnych dla młodych małżeństw.

- Ograniczenie możliwości zawierania umów-zleceń i umów o dzieło oraz zatrudniania pracowników na czas określony, dla stabilizacji zawodowej pracowników i ich rodzin.

- Deregulacja zawodów, dla umożliwienia skuteczności konkurencyjności na rynek pracy rocznikom młodych ludzi.

- Cofnięcie decyzji o podwyższeniu wieku emerytalnego.

- Zwiększenia finansowania ochrony zdrowia dla radykalnego poprawienia jej jakości.

Bezpieczeństwo państwa narodowego

- Wzmocnienie militarnych zdolności defensywnych, w tym szybka budowa wojsk obrony wewnętrznej, wzorowanych na tradycjach Armii Krajowej.

- Rozbudowa stałej i ścisłej współpracy tak politycznej, jak i gospodarczej w skali Europy Środkowo-Wschodniej, zarówno z krajami unijnymi, jak i pozaunijnymi, w celu rozpoczęcia tworzenia nowego obszaru integracji międzynarodowej.

- Stała i ścisła współpraca polityczna i gospodarcza z unijnymi krajami środkowoeuropejskimi; Litwą, Łotwą, Estonią, Czechami, Słowacją, Węgrami, Bułgarią, Rumunią, Chorwacją i Słowenią, w tym w szczególności w strukturach politycznych Unii Europejskiej.

- Stała i ścisła współpraca gospodarcza i polityczna z unijnymi krajami środkowoeuropejskimi i krajami pozaunijnymi, czyli Ukrainą, Mołdawią, Gruzją, Serbią, Bośnią i Hercegowiną, Macedonią i Czarnogorą, dla rozpoczęcia tworzenia nowego obszaru środkowoeuropejskiej integracji gospodarczej i politycznej w postaci Unii Międzymorza.

- Wzmocnienie demokratycznych mechanizmów funkcjonowania Unii Europejskiej, których podstawą są de-

czyje unijnych państw narodowych, w tym w szczególności przeciwstawienie się dalszej marginalizacji roli Rady, czyli szczytów państw Unii.

– Polityka przedstawiania się wzmocnieniu politycznej roli Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego kosztem Rady i przekształcania struktur politycznych UE w narzędzia niemieckiej i niemiecko-francuskiej hegemonii politycznej.

– Poparcie dla integralności terytorialnej Ukrainy w konflikcie z Federacją Rosyjską i neutralność wobec

wewnątrz ukraińskiego konfliktu militarno-politycznego.

– Zdystansowana polityka równoprawności i wzajemnej adekwatności w stosunkach z Federacją Rosyjską, wraz ze stałą presją na rozwiązanie spornych kwestii przeszłości.

– Polityka równoprawnej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, jako kluczowego członka NATO i ważnego elementu bezpieczeństwa narodowego Polski.

Wojciech Błasiak 7.09.2015.

KULTURA NN

ADAM OSTOJA-OWSIANY

KRESOWE WSPOMNIENIA CZ. II

w opracowaniu Adama Ostoi-Owsianego (wnuka)

Tatiana

(1916/1917)

Kijów przedrewolucyjny. Piękny Kijów. Białym puchem kwiatów pokryte drzewa. Z zieleni uśmiecha się radość wiosny. Przestronna willa wuja Bohdana tonie wśród kwiatów. Obok stajnia – konie wyścigowe. Jeżdżę po maneżu lub wyjeżdżam aż na poligon artyleryjski koło Ławry. Kocham konie. Przyjechałem na kilka miesięcy celem przygotowania się do szkoły marynarskiej. To jest moje marzenie. Fascynuje mnie uniform i wizje niebywałych, dalekich przygód. Pod kierownictwem Mikołaja obkuwam rosyjski i matematykę. Egzamin jest konkursowy, ale muszę go zdać. Czuję, że zdam, albo umrę ze zmartwienia. Mikołaj o tym czasie jest docentem filologii na uniwersytecie kijowskim. Podobny do Chrystusa i do któregoś z „dekabrystów” jednoznacznie. Włosa ma długie. Blondyn, broda rozczesana na dwie strony. Oczy przeźroczyste, niebieskie, mądre. Rozumiem każde jego słowo. Uczę się pilnie. Mieszkam na pięterku. Mam oddzielne wejście po skrzypiących schodach, zasłanych czerwonym chodnikiem. Pokój, alkowa, łazienka. Bardzo wygodny. Ustawiłem swoje książki. Po-przestawiałem jakieś obrazki. Jest czarne rzeźbione biurko. Fotele wybijane czerwonym pluszem. Świeci się wywoskowana posadzka. Pachnie terpentyną i czystością. Na oknach kwiaty. Przed balkonem lipa szeroka, zielona. Szumi i listki drżą.

Budzę się z rana osobno. W ławrze biją dzwony. Długo, potężnie biją dzwony. Dźwięk, to przycicha, to dudniącą falą wpada przez otwarte okno. Przeciągam się i marzę. Czytam przez chwilę Vernego. Będę oficerem marynarki – to jasne. Chwytałem za podręcznik matematyki i kuję, kuję twierdzenia, aż w móżdgu robi się pustka.

Wchodzi ciotka Marta. Na tacy śniadanie. Najbielsza na świecie, pachnąca

kawa. Rumiane obwarzanki. Żółte masło. Jajka na miękko. Konfitury. Uśmiech pełen dobroci. Trochę ironiczny. Papieros w ustach i w obronie przed dymem przymrużone oczy. Ciotka ma oczy czarne, pełne ognia. Siwiejące włosy z przedziałkiem po środku. Nieduża jest.

– Dzień dobry, miły... jak ci się spało?

Przeciągam się z rozkoszą. Jak mi się spało? Też dobre pytanie.

– Nie przemęczaj się tylko.

Właśnie będę się przemęczał. Kto ma zdawać egzaminy, kto wstępuje do marynarki, kto będzie paradował ze złotymi galonami? Ja czy ciotka? Komu zależy – mnie czy ciotce?

– Mógłbyś również zostać lekarzem lub inżynierem?

– Och, nigdy w życiu.

– To wszystko ten London – powiada ciotka – ale może masz rację.

Nie chce zgodzić się z tym, że obcy mundur będę nosił na sobie.

– W gimnazjum też mundur – mruczę.

– Tak, ale to nie wojsko.

Ciotka od jednego papierosa zapala drugiego, wychodzi pozostawiając smugę pachnącego dymu.

Wyskakuję z łóżka. Nagi robię gimnastykę. Zgrzany wpadam do łazienki. Ach! Prysznic smakuje jak najłaskawsza pieszczota. W oczach, uszach i ustach woda. Nie mogę się nie śmiać. Śmieję się i gwizdę. Śmieję się i śpiewam. Jeszcze mokry pakuję się w kostium do konnej jazdy. Buty z odcieniem lakieru. Ostrogi, które ćwierkają niby ptak. Popielate bryczesy. Biała kurtka.

Po trzy stopnie lecę na dół. Spotykam Jadzię – córkę wujostwa. Czegoś łązi po korytarzach ze szczoteczką do zębów w ustach. Czyści zęby. Jednocześnie bada działalność służby. Utyskuje na nieporządku, na kurze, na zaniedbania. Ma nos zadarty, grube wargi, piękne, zielone oczy.

– Czyś ty zwariował – biada – o mało co nie przewróciłeś mnie.

Chwytam ją w pól i kręcę młynka. Wydaje cały szereg przerażonych tonów. Gubi szczoteczkę do zębów. Pozostaje z ustami wymazanymi proszkiem. Coś jeszcze krzyczy, ale już pędzę dalej.

Wpadam do stajni. Dziesięć koni wuja stoi w zagrodach i boksach. Pachnie sianem i nawozem. Odrobina półmroku. Poranne słońce prześwieca przez wysokie okna. Dźwięczą łańcuszki.

– Sienka – krzyczę.

– Ho – ho – odzywa się głos spoza stajni.

Elf i Neda stoją już osiodłane. Sienka coś poprawia jeszcze przy siodle. Jest to najlepszy ujeżdżacz na świecie. Nieduży, łysawy, blondyn, z przyszytymi, ryżowymi wąsikami. Nie robi wrażenia Rosjanina, raczej Anglika, lub Niemca. Bywał na wszystkich torach wyścigowych Europy. Zjadł zęby na koniach.

Siadam i angielskie siodło potrząskuję. Rozkosz czuć pod sobą konia. Takiego konia jak Elf. Czystej krwi anglo-arab. Wyrysowany, delikatny, szybki jak błyskawica, czuły. Przekładam wodze przez palce. Ruszamy.

Piaszczysta droga. Jeszcze bardzo wcześniej. Pachnie świeżym kurzem. Na liściach lśni rosa. Przechodzą baby z mlekiem. Maszeruje oddziałek wojska. Świeżo, uroczyście i radośnie.

Kłusujemy. Anglezuję pod prawą nogę i pod lewą. Elf chodzi jak zegarek. Nogi zmienia niezaaważalnie. Niesie niby łódka. Jakbym płynął na wielkim ptaku. Tak mi jest miękko, płynnie i równo. Tyle jest rytmu. Poranny wiersz.

Na wielkim menu artyleryjskim wolty i półwolty. Zmiany chodów. Kłus i galop bez strzemiion. Ćwiczebny galop. Zmiany nóg w galopie. Jestem zgrzany i radosny. Chciałbym znów śpiewać, krzyknąć z uciechy. Sienka wszystko widzi, wszystko poprawi. Łydka bliżej, stopa dalej, pięta w dół. Wodze, ręce i łokcie – jedna linia. Wsiad miękki, docierany. W galopie kołyszemy się, niby na huczących się fotelach, a ciepły wiatr przebiega koło uszu. Wreszcie skoki. Elf przelatuje przez bariery jak piłka. Raz i drugi. Wracamy do domu.

– No jak Sienka? – pytam, jak zawsze pełen niepewności.

Sienka uśmiecha się dobrotniwie.

– Ujdzie – powiada – jak tak dalej pójdzie, będzie z panicza dobry kawalerzysta.

– Nie będę kawalerzystą – odpowiadam ponuro. – Będę marynarzem.

– To niedobrze – mówi Sienka – to bardzo niedobrze... Dla okrętu zdradzić konia... to nieładnie.

– E, konia nie zdradzę – pocieszam się – zawsze będę konno jeździł.

– Gdzie... na pokładzie?

– Och, we wszystkich portach... z resztą później może będę podróżnikiem... może będę odkrywał nowe lądy... bez konia nie obejdzie się.

– Tam koni nie ma – mówi pogardliwie Sienka – najwyżej osły, albo jakie głupie muły.

– Będę ze sobą zawsze konia woził.

Sienka uśmiecha się nieufnie.

W domu przebieram się szybko. Jeszcze raz mała gimnastyka, jeszcze raz przysznic, jeszcze raz śpiewy i gwizdania. Siedzę nad książkami, kuję przekłątą algebrę, potem geometrię, potem słówka na „jat”. O 10-tej przychodzi Mikołaj. Do 15-tej trwają lekcje. Potem jeszcze trochę rozmawiamy i gramy w szachy. Z początku Mikołaj dawał mi fory wieżę, później laufra lub konika, następnie trzy piony, dwa, piony, jednego piona – teraz gramy jak równy z równym.

– Szach i mat – powiadam, a serce skacze z radości.

Interesuje mnie wszechświat, początek i koniec świata, budowa materii, dusza, nieśmiertelność i jeszcze tysiąc innych rzeczy. Mikołaj ma czasami trochę kłopotu ze mną, ale jest niebawale mądry i posiada uniwersalną wiedzę na wszystko znajduje odpowiedź, która mnie zadowalnia.

– Przede wszystkim mężczyzna zawsze i wszędzie, w każdym calu powinien być gentelmanem – powiada.

– Jak to jest właściwie? – pytam.

– Och – uśmiecha się – to jest mnóstwo różnych „trzeba”. Trzeba być uczciwym, grzecznym, zrównoważonym, obowiązkowym, punktualnym, słownym, rozważnym.

– Powiedz jak być uczciwym?

Zastanawia się.

– Myślę, że nigdy nie należy działać na szkodę bliźniego... Uczciwość, to coś w rodzaju życzliwości... to jest po prostu obowiązek społeczny.

– Przecież tyle jest ludzi nieuczciwych.

– Zapewne, ale należy z tym walczyć... przede wszystkim starać się walczyć ze sobą... postępować moralnie.

Mikołaj zwykle pozostaje na obiedzie, a czasami idzie do siebie do domu. Mieszka aż na Lwowskiej. Mam poważne powody, aby przypuszczać, że podkochuje się w Jadzi. W powietrzu wisi dramat, gdyż i on zdaje się nie jest jej obojętny. Wujostwo nigdy na taki związek nie pozwoli. Mikołaj jest Rosjaninem.

Obiad ma charakter dość uroczysty. Może dlatego, że pokój jadalny jest bardzo stylowy, a może dlatego, że wuj Bohdan jest bardzo wytworny.

Wysoki, szczupły, szpakowaty. Bródka w szpic. Kpiący uśmiech. Ubrany jak spod igły. Najpiękniejsze materiały angielskie, najlepsi krawcy, prawie co roku jeździ do Londynu i stamtąd przywozi ostatni krzyk mody. Twarz satyra, ale niezwykle eleganckiego satyra. Czasami myślę, gdzie wuj chowa różki. Mówi powo-

li, rozsądnie i z przyjemnym humorem. Przeważnie stara się milczeć. Jest dyrektorem dużego banku. Posiada również jeden z najbardziej wzorowych majątków ziemskich pod Kijowem. Ze mną rozmawia w taki sposób, że zawsze mi muszę rumieńce wytrysnąć na twarz. Ciotka się gniewa. Wuj twierdzi, że bardzo lubi rumieńce u takich dobrze wychowanych, niezsępsutych chłopców jak ja.

– No, jak tam nauka idzie? – pyta.

– Zdaje się, że dobrze – odpowiadam.

– Cóż ci Mikołaj mówił z dziedziny astronomii?

– Z astronomii nic... z trygonometrii.

– Patrzcie, patrzcie, a o życiu nic nie mówił?

– Tak... trochę rozmawialiśmy o moralności.

– No i już wiesz?

– Nie bardzo.

– Ukradłbyś?

Czerwienię się nieco.

– Chyba nie.

– Zabiłbyś?

– Nie wiem... wroga tak.

– Hm, a ładną panienkę pocałowałbyś?

Rumienię się bardzo. Ciotka przychodzi z pomocą.

– Wstydyłbyś się naprawdę... takie głupstwa pleciesz.

– To nie są wcale głupstwa – obraża się wuj. – To są bardzo ważne sprawy, ja w jego wieku...

– Nic nikogo nie obchodzi – denerwuje się ciotka – coś ty wyprawiał.

– Jak to nic nikogo nie obchodzi – zaczyna się złościć wuj – coś to ja jestem taki najgorszy?

– Gorszy nie najgorszy, a chłopca nie psuj.

Wuj parska rozkładając eleganckim ruchem serwetkę na kolanach.

– Więc ma być ciamajdą?

Zwraca się do mnie:

– Chcesz być ciamajdą?

Czerwienię się na buraczano.

– Nie chcę – szepczę.

– A widzisz – mówi wuj z triumfem – nie chce być ciamajdą, to mi się bardzo podoba... więc teraz mów, aby tylko szybko... całowałeś kiedyś ładną panienkę?

Grzeczne beznadziejnie wzrokiem w obrusie.

– Nie – szepcę i czuję, że czerwienięję tak strasznie jak jeszcze nikt na świecie. Aż mi krew pulsuje w skroniach.

– He... he – śmieje się wuj swoim satyrycznym uśmiechem – widzicie teraz, że jest to chłopiec moralny – ale pamiętaj – dodaje – że gdybyś pocałował, to byłbyś niemoralny.

Jadzię bardzo bawią te rozmowy. Zawsze stara się od siebie wsadzić jakieś słówko. Jest ode mnie kilka lat starsza. Uczęszcza na Wyższe Żeńskie Kursy, które dla kobiet zastępują uniwersytet. Studiuję matematykę. Mniema o sobie, że zjadła wszystkie rozumy świata.

– Nie czerwień się – mówi – przynajmniej staraj się nie czerwienić, rób jakieś wysiłki, staraj się walczyć z tym nałogiem... to jest cechą bardzo młodych dziewcząt.

– To czerwień się i ty – próbuję się odgryzać – jesteś wystarczająco młoda.

– Nie, mój drogi – odpowiada poważnie – panny w moim wieku już się nie czerwienią.

– Racja – wtrąca wuj – kandydat na marynarza powinien trochę więcej się starać.

– O 18-tej herbatka u Kudriawcewych – Jadzia zmienia temat – mam nadzieję, że wybierzesz się ze mną?

O Kudriawcewych zdołałem się dotychczas tyle wywiedzieć, że jest to jakaś arystokracja rosyjska. Wille wuja i ich przylegają do siebie. Dzieli je tylko parkan. Stary Kudriawcew jest generałem i senatorem. Stale siedzi w Petersburgu. Na miejscu pozostają dwie panny – Tania i Ola. Tania jest koleżanką Jadzi. Uczęszcza z nią razem na kursy i bodaj, że studiuje medycynę. Ola jeszcze jest na pensji. Musi być ode mnie starsza o jaki rok. Posiadają dom obszerny, pański, bogaty. Pełno tam jest służby – lokajów, pokojówek, kucharzy, stangretów. Panny znajdują się pod opieką jakiejś statecznej Angielki. Matka ich dawno nie żyje.

– Nie, nie pójdę – odpowiadam.

Jadzia jest impetyczką. Usta jej momentalnie zaciskają się, a oczy poczynają miotać błyskawice.

– Jak to... dlaczego? – syczę.

– Dopiero co zacząłem naukę, nie mogę się odrywać, mam dużo lekcji na jutro.

kach. Pod stopami konwalie. Stare lipy. Kroczy z nami Welonko, który wszystko wie, wszystko rozumie i o rzeczach ma swój osobisty sąd.

Wychodzimy na otwartą przestrzeń od tej strony dom Kudriawcewych po- siada wielką werandę, plac do zabaw i wokół klomby z kwiatami. Pod drzewa- mi stoją wygodne ławeczki. Na nasz widok, a raczej na widok Jadwigi towa- rzystwo grające w krokietę wydaje szereg okrzyków i pisków. Widzę mundury i kolorowe sukienki pań. Obstępują nas na około.

– To jest mój brat cioteczny – prezentuje Jadzia.

Jestem w ogniu spojrzeń, co okropnie mnie krępuje. Pomimo wszelkich wysiłków, czuję jak rumieniec zalewa moje policzki. Czym więcej to czuję, tym więcej się rumienię. Kłaniam się ogólnie, prawdopodobnie jak młody hipopo- tam i przestępuję z nogi na nogę z głupawym uśmiechem. Nieporadnie mnę czapkę. I rękawiczki w rękach. Nic dalej już nie wiem. Czy należy coś powie- dzieć? Czy trzeba ze wszystkimi po kolei przywitać się? Czy panie całuje się w rękę?

– O, jaki ładny! – słyszę czyjś głos.

Podnoszę oczy i spotykam się z ciemnym, gorącym spojrzeniem. Momen- talnie oczy spuszczam ku ziemi, a twarz pali jak dotknięta gorącym żelazem.

Ktoś mi odbiera czapkę i rękawiczki. Ktoś bierze mnie pod rękę. Gdzieś idziemy. Coś robimy. Ja nawet coś mówię, coś odpowiadam. Zachowuję się jak lunatyk. Okropność!

Po chwili pierwsze wrażenie przechodzi. Staram się opanować sytuację. Zerkam na prawo i na lewo. Z jednej strony piękna panna. Z drugiej strony piękna panna i spacerujemy. Spotykam palące, ciemne spojrzenie. Mocna ręka przyciska moje ramię.

– Jestem Tatiana – słyszę głos – a ta obok, to Ola, moja siostra.

Najchętniej wyrwałbym się i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Nawet robię nie- znaczną próbę, ale jestem mocno trzymany.

Każda z siostr jest inna. Tania – brunetka o płomiennych czarnych oczach i purpurowych ustach. Ola – blondynka, biała, złotawa, niebieskooka.

– Czy już pan rozumie, co się do pana mówi? – pyta Tania. Jej smągła twarz drga od powstrzymywanego śmiechu.

Rumienię się w miarę.

– Tak – staram się uśmiechać.

Okazuje się, że dotąd odpowiadałem cytatami z Puszkina i trochę po łacinie.

– Czy to z panem tak zawsze? – interesuje się Tania.

– Nie, czasami.

Jestem nadąsany. Nawet wściekły. Najlepiej byłoby gdybym poszedł sobie do domu.

– Pan w krokietę pewnie nie grywa?

Co za zuchwalstwo w ten sposób pytać chłopca w moim wieku. Naprężam się cały i wypinam pierś.

– Pewnie, że grywam – odpowiadam możliwie gęstym basem.

– Przypuszczam, że jednak nie bardzo dobrze?

Czuję nienawiść do Tani. Co za bezczelna panna.

– Przypuszczam, że dość dobrze – mówię z naciskiem.

Prawdę mówiąc, to gram tak, że w ciągu ostatnich dwóch lat jeszcze niko- mu nie uległem.

– Wątpię – rzuca Tania przeciągle.

– Dlaczego? – pytam trochę za wysokim głosem.

– Pan jest taki nieśmiały... Tacy nigdy nie wygrywają.

– Dobrze... więc może zagramy? – proponuję, czując jak mi krew tętni w oczach, w uszach i w nosie.

Na placu krokietowym poznaję jeszcze kilka osób. Między innymi jest, jak się domyślam i narzeczony Tatiany. Piękny, wysoki oficer marynarki. W każ- dym innym wypadku zamarłbym w ubóstwianiu i długo wpatrywałbym się z nabożeństwem na tak wspaniałą postać. Teraz jednak myślę tylko o kulach, brankach, słupkach i terenie. Gramy trzy tury po trzy partie. Pierwszą turę przegrywam trzy do zera. Jest to zupełna klęska. Czuję się złamany i marzę, aby ziemia się rozstąpiła i pochłonięła mnie na zawsze. Druga tura jest lepsza. Wygrywam ją dwa do jednego. Trochę się opanowałem i wkładam w tę prze- kłątą rozgrywkę cały wysiłek na jaki mnie stać. Tatiana gra bardzo złośliwie. Na czerwonych jej ustach uśmiech drwący. W oczach tysiące mieniących się płomieni. Odstawia moje piłki daleko, aż za boisko. Mam później trudności z dochodzeniem. Sama ustawia się chytrze tuż przy bramkach. W jednym rzu- cie rzadko kiedy udaje mi się bramka. Przegrywam jeden do dwóch. Jestem w najwyższym stopniu speszony. Takiej hańby nie przeżyłem od początku życia. Zaczyna się jakaś dalsza rozgrywka. Odchodzę powoli i starając się nie zwracać na siebie uwagi niknę na jednej ze ścieżek schodzącym w dół ku parowom, które dzielą dzielnicę Lipek od Ławry.

Postanawiam już nigdy nie grać w krokieta, a zwłaszcza z kobietami. Od tej chwili jestem najgorszego mniemania o kobietach, zwłaszcza o smagłych, smutkich, zmiłowatych. Z nienawiścią myślę o Jadwidzie i w ogóle o całym świecie. Pociemniało wszystko i straciło urok. Tak bardzo żał czegoś. Ach to tego beztroskiego nastroju, który był poprzednio. Pobity przez kobietę, przez marną, słabą kobietę. Czy jest jakiś sposób rehabilitacji? Nie, oczywiście nie. Wszyscy patrzyli, wszyscy widzieli. Nic już nie pomoże. A wuj, gdy się dowie dopiero będzie się wyśmiewał! Ciamajda – powie – niedołęga! Zbaczam w jakąś boczną alejkę, zacienioną ze wszystkich stron i siadam na ławeczce. Nogi wyciągam przed siebie, ręce wkładam do kieszeni, głowę opuszczam i oddaję się zapamiętane czarnym myślom. Gdybyż jeszcze rewanz! Może by się udało pokonać tę zmięję.

Wtem z tyłu czyjeś dłonie zatykają mi oczy. Drgam od tej niespodzianki.

– Jadźka – mówię – tylko bez głupich kawałów... przestań.

Słyszę cichy śmiech. To chyba nie Jadzia? Odrzynam ciepłe palce od oczów. Patrzę. Tatiana.

Nachmurzam się nieznośnie i milczę. Nie będę rozmawiał z wrogiem.

– Miły – mówi miękko – coś pan jest taki posępny?

Siada przy mnie na ławce.

Wzruszam ramionami. Milczymy oboje.

– Niech pan coś powie – prosi.

– Co mam mówić? – odzywam się niegrzecznie

– No, cokolwiek.

– Cokolwiek nie umiem mówić.

– Coś o sobie, o swoich sprawach, o swojej rodzinie, co pana interesuje, co bawi?

Milczę ponuro. Co ją to może obchodzić? Znalazłem kawałek jakiejś gałązki i kreślę znaki geometryczne na ziemi. Byłoby bardzo dobrze, gdyby już sobie poszła.

– Geometria? – pyta.

Zakreślam czym prędzej swoje trójkąty i prostokąty.

Uśmiecha się i wpatruje się we mnie uporczywie.

– Dlaczego pan ma takie czerwone usta? – pyta z tajemniczym uśmiechem.

Czuje, że zaczynam powoli czerwienieć. Ciepła fala zalewa mi policzki. Kładzie swoją rękę na mojej. Ja cofam rękę jakby mnie skorpion dotknął.

– Co pan jest taki nieśmiały? – pyta cicho.

W ogóle jest cicho. Z dala dobiegają odgłosy śmiechu. Drzewa stoją świeże, zielone po majowemu. Pachnie jakimiś kwiatami. Myślę wbrew woli o tym, że Tatiana jest bardzo ładna. Takiej ładnej panny jeszcze chyba nigdy w życiu chyba nie spotkałem. Ma śliczne ręce i nogi. Nieduże piersi wypukłą się spod bluzki. Głos posiada taki jakiś zachęcający, ciepły, pełen jakiejś obietnicy. Bardzo lubię zapachy, a ona pachnie jak sama wiosna – taką świeżością i czystością. Może fiołkami, może konwaliami. Nie wiem.

– Czemu panu tak chrapki grają? – mówi, śmiejąc się głośno.

Aby uniknąć nowych rumieńców powstają szybko i robię krok do ucieczki. Przypominam jednak słowa Mikołaja, że trzeba być zawsze gentelmanem, więc robię nad sobą wysiłek i powiadam:

– Może już pójdziemy?

– A, po co? – pyta ze zdziwieniem – czy tutaj jest źle... pan się śpieszy?

– Nie – bąkam ze złością i ponownie siadam.

Chciałbym koniecznie odejść. Bardzo mnie krępuje ta rozmowa, ale zupełnie nie wiem jak należy taką sprawę przeprowadzić. Najlepiej byłoby zrobić w lewo zwrot i pomaszerować. Co by jednak pomyślała o mnie? Co by pomyślała o dobrym wychowaniu Polaka?

– Pan mnie czegoś bardzo nie lubi? – rzuca ze smutkiem w głosie.

– Wcale nie.

– A lubi mnie pan?

– Też nie.

Milczymy. Musi być zaskoczona szczerością moich odpowiedzi.

– No, tak – mówi – niby z jakiego powodu miałby mnie pan lubić?

Jestem takiego samego zdania, ale milczę.

– Jesteśmy przecież prawie nieznajomi. Dopiero przed godziną poznaliśmy się, a mądrzy ludzie mówią, że trzeba beczkę soli zjeść ze sobą, aby się polubić. Milczymy ponownie.

– A może pan się gniewa na mnie z powodu tego krokieta?

– Mało mnie obchodzi.

– No, niech pan będzie szczerzy, niech pan powie prawdę.

– Zapomniałem już o tym.

– Ale zagramy jeszcze?

– O, tak... bardzo chętnie – mówię szybko.

Przegląda się mi w milczeniu. Cienkie, czarne brwi, jak dwie nitki aksamitne unoszą się do góry.

- Czy panią coś dziwi? – pytam śmiało.
- O, tak – odpowiada w zamyśleniu – nawet bardzo... nie mogę tego zrozumieć.
- Czego?
- No, tego... tego – odpowiada jakby się ze snu zbudziła – że pan tak bardzo pragnie rewanzu.
- Wcale nie bardzo – poprawiam – zaledwie trochę.
- Dziwi mnie... dziwi mnie jedna rzecz.
- Co takiego?
- Ale, czy pan będzie szczerzy?
- Zawsze staram się być szczerzy.

– Och, tylko „staram”... ale dobrze... niech mi pan powie czemu pan jest taki nieśmiały?

I znów rumieniec zalewa moją twarz, ale na ten raz nie wstydu, lecz gniewu. Postanawiam całą rzecz wyjaśnić.

– Pani bardzo się myli – powiadam – wcale nie jestem nieśmiały – tylko są najrozmaitsze rzeczy, które mnie nic nie obchodzą i gdy się stykam z takimi rzeczami, to czuję się speszony... nic mnie nie obchodzą te wszystkie sprawy towarzyskie... witania się, kłaniania, głupie rozmowy... ale może pani myśli, że jestem nieśmiały, gdy galopuję na koniu, lub gdy przepływam Dniepr tam i z powrotem, albo, gdy skaczę do wody z dużej wysokości, albo, gdy strzelam do celu... o, wcale nie!

Mówię to wszystko tonem trochę kapryśnym, ale w pełni przekonania. Tatiana wpatruje się we mnie. Nawet rozchyła nieco usta, a oczy jej lśnią jak gwiazdy.

- Jednak z kobietami jest pan nieśmiały?
- Kobiety mnie nic nie obchodzą – mówię prosto z mostu.
- Nic a nic?
- Nic a nic.

– I nigdy pan żadnej nie pocałował?

Już zamierzałem się rumienić, gdy przypominam słowa wuja Bohdana. Nie chcę, aby pomyślała, że jestem ciamajdą.

–Ho... ho – mówię dumnie – i ile jeszcze!

Widzę, że jest zaskoczona. Szeroko otwiera oczy, a uniesione brwi już prawie włosów sięgają.

- No, ile... ile? – pyta niecierpliwym szeptem.
- Rozsiadam się wygodnie i zaczynam liczyć na palcach.
- Mamusia... siostry... ciotki... stryjenki... różne kuzynki... będzie co najmniej z piętnaście.

Tatiana jest pełna osłupienia. Z początku zaczyna się śmiać po ciuchu, potem coraz głośniejszej, wreszcie pokłada się ze śmiechu. Jestem trochę dotknięty tą wesołością. Zrywa się z ławki, pochyla się nade mną i łapie mnie za ręce.

– Jesteś wzruszający – mówi – jesteś cudny, słodki, piękny, czysty... chodź idziemy grać w krokieta.

Porywa mnie ze sobą i idę jak skazaniec z pochyloną głową. I wiem, że coś się stało i nie wiem, co się stało.

Grę rozpoczynamy już o pierwszym zmierzchu. Jestem zupełnie opanowany i gram z nonszalancją. Dlaczegoś już mi nie zależy na wygranej, ale lekko wygrywam wszystkie trzy tury po trzy do zera. Tania gra niedbale i jest zamyślona. Gdy tylko spojrzę na mnie zawsze uśmiecha się i uśmiech jej rozjaśnia moje serce. Pomimo wszystko jestem bardzo zadowolony z wygranej. Przede wszystkim wuj Bohdan nie będzie miał powodu do drwin, a następnie poprawię opinię wśród towarzystwa.

Zachowuję się zupełnie niewymuszennie. Śmieję się i rozprawiam. Nawet zaczepiam, co prawda z wielkim szacunkiem, narzeczonego Tatiany, pięknego porucznika Borysa i przeprowadzam z nim głęboki wywiad na tematy morskie.

Spod oka obserwuję Olę. Widzę jak porusza się leniwie, jak mruży duże niebieskie oczy, jak ręce jej niby dwa białe motyle, to unoszą się, to opadają. Nic nie skłamałem, że nie lubię kobiet. Są słabe, rozmazane, plotkary, niepewne i nieodpowiedzialne honorowo. Pomimo wszystko Ola ma w sobie coś zachwycającego. Gdybym się kiedykolwiek w życiu miał z którą umówić na randkę, to tylko z nią.

Podają podwieczorek i spacerujemy po werandzie. Jadzia jest bardzo zbudowana moim zachowaniem. Nawet mi mówi o tym. Przypominam jej dladziegoś jakiegoś młodego lorda z niedawno czytanej książki. Nawet na ten temat zapytuje Tatianę.

– Lord? – powtarza Tatiana – ach, zupełnie nie to... błękitny chłopiec i nic więcej.

Śmieją się obydwie, czują się nieco skonfundowany. Bardzo chciałbym trochę porozmawiać z Olą.

Na dużym podłużnym stole pełno rozmaitych smakołyków. Ciastka, torty, pierniki, cukierki, czekoladki, miód, chałka, pierwsze truskawki i czeresnie. Wstyd się przyznać, ale bardzo lubię słodkie rzeczy. Tatiana siedzi koło mnie i co chwila nakłada mi pełny talerz. Czuję się jak u siebie w domu. Nawet puszczam się na jakieś dowcipy i zajadam, co się zmieści. Po trzech szklankach herbaty i pewnie po jakichś piętnastu ciastkach jestem cokolwiek ociężały. Nawet zaczyna mnie lekko mdlić.

Tatiana podsuwa mi pudło z czekoladkami. Wskazuje ciemno- różowym, smagłym palcem.

– To tę niech pan weźmie... i tę... i tę.

Wszystkie czekoladki są jasne, lub średnio ciemne i wreszcie jedna ciemna, prawie czarna, bardzo gorzka. Krzywię się niemożliwie i w tej chwili kolano Tatiany przylega do mojego. Odsuwam się. Jak najprędzej, a ona pyta: „Gorzkie, czy słodkie. Gorzkie, czy słodkie?” i kolano jest wciąż bliżej, wciąż bliżej, aż zaczyna mnie palić. Nie mam już gdzie odsuwać się, panna siedząca z drugiej strony spogląda na mnie ze zdziwieniem, więc nic mi nie pozostaje jak pąsowieć, co znów zauważa Jadzia siedząca naprzeciwko i z wyrzutem zaczyna kiwać głową, jednocześnie ironicznie wykrzywiając grube usta. Czuję jak powoli siódme poty zaczynają na mnie uderzać, tym bardziej, że noga Tatiany trochę drży, wobec czego i moja noga zaczyna drżeć.

– Tatiano Siergiejewno – mówię szeptem, a ona nachyla ku mnie swoją twarz i włosy jej zaczynają łechtąć mój policzek – czy pani wie, że pani dotyka mojej nogi?

– Wiem – odpowiada i uśmiecha się tak niewinnie, jakby aniołem była.

– Niech pani zabierze swoją nogę.

– Nigdy w życiu.

– Ale dlaczego?

– Bardzo mi jest tak przyjemnie.

Siedzę nachmurzony i udaję obojętność. Już mi nie smakują cukierki i czekoladki. Chciałbym jak najprędzej być w domu, tymczasem ciepło jej ciała powoli, ale zdecydowanie zaczyna przenikać w moje ciało i po skórze chodzą gorące, niespokojne dreszcze. Ciemne, niezrozumiałe pragnienie podchodzi, aż do gardła i ściska mnie przerażającą niemocą, a jednocześnie z głębi poczucia

złego i dobrego wypelza wstyd i zaczyna coś mówić wstydliwego i upartego. Z najwyższym strachem spoglądam na Borysa, który na szczęście siedzi dość daleko. Czy nie widzi nic, czy nie domyśla się? I krzyczy we mnie jakiś głos: Nieładnie, brzydko, hańba!” i inny głos woła: „Jak przyjemnie, jak bardzo przyjemnie!” Pchnięty niespodziewaną siłą powstaję, z trzaskiem osuwam krzesło i stoję osłupiały z głupkowatym uśmiechem. W tej chwili Tatiana sama wstaje i tym daje hasło do ogólnego powstania. W powszechnym zamęcie mój postępek zostaje zatuszowany.

Wychodzimy do ogrodu. Gdzieś bardzo daleko ostatni odbłask stońca odbija się na niebie ceglastą barwą. Z dala ciągną fioletowe chmury. Pierwsze słowiki zaczynają się nieśmiało odzywać.

Jadzia chwytą mnie za rękę z podziwu godną siłą i zbliża wykrzywioną twarz.

– Dlaczegoś wstał pierwszy – syczy – kto ci pozwolił?

– Ja... ja... ja – bąkam, nie wiedząc, co powiedzieć.

W tej chwili podchodzi Tatiana.

– Zleciał mi pierścionek – wyjaśnia – prosiłam go, aby podniósł.

Zatrzymuję się na miejscu i mówię ochryplym głosem:

– Wcale nie zleciał żaden pierścionek, tylko...

Widzę bladą twarz Tatiany i pochmurne, wyczekujące oczy.

– Tylko? – mówi Jadzia.

– Tylko – kończę ze wściekłością – niedobrze mi się zrobiło po tych przekleństwach ciastkach.

Jadzia odchodzi. Czuję delikatny uścisk palców Tatiany.

– Jesteś prawdziwym gentelmanem – mówi.

Wzбира we mnie duma i jednocześnie upokorzenie. Tatiana jest ode mnie prawdopodobnie starsza o jakieś sześć lat. Nie chcę się do tego przyznać, ale wiem, że jestem jeszcze na wpół dzieckiem, tymczasem ona jest już dorosła. Wpadłem w jakieś sprawy, których nie rozumiem. Biorę udział w postępkach, które moim zdaniem są złe i powinienem jak najprędzej wycofać się z tego wszystkiego. Teraz mijam Borysa i nie śmiem mu spojrzeć w oczy, chociaż uśmiecha się do mnie i coś mówi. Widzę Olgę i nie mam śmiałości podejść do niej. Nie poczuwam się do żadnej winy, ale jestem winny, bo na coś czekam, coś mnie interesuje, o czymś staram się myśleć skrycie i nie wiem o czym. To jest najgorsze!

– Jesteś śliczny... jesteś słodki – szepce, i ten sam gorący dreszcz, który cho-

dził mi po plecach przy stole chodzi i teraz. Ale już nie rumienię się, już nie chcę uciekać. Słucham z lubością tych słów. Nie umiem nawet przeczuć, ile razy potem jeszcze w życiu te słowa posłyszę.

Tatiana bierze mnie pod rękę i chodzimy, rozmawiając po szerokich ścieżkach wokół klombów. Czuję się prawie dorosły. Pod rękę również nigdy dotąd żadna kobieta mnie nie brała, a jeśli któraś i chciała czasami, to się żachnęła, to coś burknęła, to m uciekał. Teraz jednak już nie będę ciamajdą.

Opowiadam grzecznie o swoim życiu, o nauce, o zamiarach nawet o marzeniach,

- Wie pani – wyznaję – kocham bajki, fantazje, krasnoludki.
- No, tak... tak – potwierdza – przecież jesteś mój błękitny chłopiec.
- Co to jest, proszę pani, błękitny chłopiec?

– O, to jest właśnie taki chłopiec z bajki... z marzenia... to jest zaczarowany chłopak... wygląda jak królewicz... jakby ci powiedzieć – taki chłopiec jeszcze nigdy nie zaznał miłości, nie obejmowały go niczyje ramiona, nie całowały go niczyje usta... jest czysty i niewinny jak kwiaty, jak te liście co szeleszczą nad nami... ma mocne, jędrne ciało, i włosy ma popielate, jakby ze srebra, i oczy zielone, niby trawa, niby morze i usta czerwone, czerwone, wykrojone jak u anioła... i jest pełen wstydu, pełen wyrzutów sumienia... budzą się w nim przeczucia, świtają ognie jakby świt, jak zorze szkarłatne, ale musisz wiedzieć – mówiła szeptem – to jest rycerz, to jest poeta... w jego duszy pełno jest marzeń i uniesień ... przeczucia, że będzie wspaniałym kochankiem, że będzie rozdawcą miłości i szczęcia... widzisz, on jest jak drogocenny kamień... kto go pierwszy odnajdzie dla tego cały blask, cała rozkosz, cała chwała... kto go posiądzie, ten raz w życiu szczęście posiądzie nieuchwytne.

Słuchałem tych słów śmiały, zamierzając od jakiegoś przeczucia, ale cała świadomość we mnie, cały rozsądek, cała uczciwość walczyły ze wszystkich sił. Grzech był w tych słowach, a nie chciałem grzeszyć.

- Tanieczka – szepnąłem – niech pani tak nie mówi... drzę cały.

Zaśmiała się jakoś tak gorąco i przycisnęła moje ramię bliżej.

- Drżysz śliczny – powiedziała – właśnie o to chodzi, abys drżał.

Wschodził od strony Ławry księżyc olbrzymi, czerwony. W jego niepewnym świetle wszystkie przedmioty zatraciły rzeczywistość. Klomby, ławeczki, drzewa wyglądały jak dekoracje teatralne, a poruszające się postacie były nieuchwytne i obce jak duchy. Słowiki słodko śpiewały, zanosząc się trełami. Per-

fumy Tatiany pachniały ostro i niepokojąco. Już nie były wiosenne, tylko jakieś drapieżne i upajające.

- Hop, hop! – krzyknęła. – Proponuję wyścigi, aż do wawozów... główną aleją na dół, aż do wawozów.

Odpowiedziały oklaski. Wawozy w tym oświetleniu musiały wyglądać czarująco. Pary ustawiły się na mecie u wylotu alei i na hasło Tatiany pędziły na dół z krzykiem i śmiechem. W pierwszej parze pobiegł Borys z Jadzią. Ja nie wiedziałem z kim pobegnę i niecierpliwie oczekiwałem na swoją kolej. Głęboki głos Tatiany ciągle kogoś wywoływał. Wreszcie już pozostało tylko nas dwoje.

- Dopędzisz mnie? – pyta i wygląda jak srebrzysta smuga w świetle księżyca.

– Pewnie, że dopędzę – odpowiadam, przechodząc na tę samą tykającą formę.

Nie czynię tego z czułością, tylko gniewa mnie jej beceremonialność.

- Ejże – mówi – może będzie tak samo jak z tym krokiem?

- Nie – powiadam. – Będzie lepiej.

- Dasz dziesięć kroków for?

- Dam i dwadzieścia.

Odcinamy kroki bardzo skrupulatnie.

- Lubisz mnie? – szepce przy swojej kresce startowej.

- Trochę.

- Pokaż ile?

Pokazuję na paznokciu. Wypada rzeczywiście bardzo niewiele. Śmiejęmy się oboje.

- Nie szkodzi... jeszcze polubisz.

- Nic z tego nie będzie – odpowiadam już ze swojego startu.

- Goń! – krzyczy i pędzi przed siebie.

Ja też pędzę co sił w nogach. Postanowiłem dopędzić ją jak najprędzej. Tymczasem okazuje się, że nie jest to łatwa sprawa. Krokiem krokiem, ale myślałem, że w bieganii nie będzie mogła współzawodniczyć. Biegałem w tym czasie znakomicie i nie spotkałem nikogo, kto biegłby lepiej. Wytrzymałem wszystkie siły i zacząłem się powoli zbliżać, ale też od razu wyliczyłem sobie, że w tym stanie rzeczy dopędzę ją chyba gdzieś daleko za ławrą. W tym momencie skręciła w lewo i wpadła w jakąś boczną aleję. Nie tracąc czasu i ja

skręciłem. Potknęła się i upadła. Dopędziłem ją w jednej chwili i schwytyłem w ramiona. Podniosłem do góry jak piórko.

- Nic się nie stało? – pytam troskliwie.
- O, tak, stało się... stało się – jęczy i śmieje się.
- Co się stało?
- Trzymaj mnie tak, bo upadnę... pewnie zwicznęłam nogę.
- Zanioś cię do domu?
- Nie... nie... trzymaj mnie tylko tak... mocniej... mocniej.

Opieram się wraz z nią o drzewo. Tchu złapać nie mogę. Cały zdyszany wyparskuję z siebie słowa jak koń. Czuję jej falującą pierś przy mojej. Czuję jej gorące nogi. Jej usta tuż przy moich. Jej zapach od którego kręci się w głowie. Cóż mam teraz uczynić?

- Miły mój, miły – szepce – i ręce jej obejmują moją szyję.
- Tuli się do mnie jak ognisty ptak.

– Mój miły, niewinny, nigdy nie całowany – szepce i usta jej wilgotne, jedrne kładą się na moje dyszące usta.

Wielka niemoc ogarnia moje ciało. Nie mogę już jej utrzymać, ale ona zwisa na mojej szyi i szybko, łapczywie całuje i usta, i oczy, i policzki. Ogarnia mnie przerażenie. Narasta poczucie grzechu, łagodzone przez słodką rozkosz. Tak to więc wygląda grzech. Taki jest smak pierwszych pocałunków w życiu. Ale, nie! Przeszywa mnie ostry ból. Zęby jej chwyciły moją wargę i wpijały się do krwi. Już mam smak krwi w ustach. Z oczów płyną mi łzy. Jęczymy oboje. Chcę się wyrwać, lecz nie mogę. Trzyma mnie mocno i najwyraźniej tyka moją krew. Z całej siły chwytam ją za ramiona i staram się oderwać, co tylko powiększa ból. Wreszcie jak pijawka opada sama. Odtrącam ją od siebie. Pada na ziemię.

- Ty podła – sycę obolałymi ustami – zabić ciebie mało!

Widzę tylko jej kształt.

- Chodź – szepce.

Zaczynam się wycofywać, idąc tyłem.

- Wróć – szepce – wróć... przebacz!

W głosie jej łyż. Słyszę jak szlocha. Jakis łęk podnosi mi włosy na głowie. Zaczynam biec. Coraz prędzej, coraz prędzej. Wreszcie pędzę do góry jakby mnie szatan gnał.

– Ha... ha... ha – rozlega się jej śmiech – ha... ha... ha – i potem jeszcze już z oddali – ha... ha... ha!

Noc z wojny

(1920)

Noce były wówczas ciemne i gwiazdy lśniły z dala jak złote gwoździe na niebie. Kładłem się w ogrodzie obok dowódstwa, ręce zarzucałem pod głowę i patrzyłem jak migocą złote znaki. Drzewa szumiały smętnie. Słychać było dańskie głosy. Pachniało miętą i jakimś polnymi kwiatami. Podjeżdżały motocykle z kurierami z frontu i odjeżdżały. Przychodziły jakieś większe oddziały wojskowe. Przez chwilę trwał rozgwar i hałas – potem wszystko gasło i znów było cicho – tylko daleko, gdzieś nad Bugiem, głucho dudniły armaty. Czasami słychać było również jakieś wybuchy. Rozrywały ciszę niepokojąco. Niosły z frontu wiadomości przerażające. To pewnie wybuchaly miny podziemne. Może pocisk trafił w składy z amunicją. Ryczący podmuch przelatujący i ginący w oddali. Pusto było po nim – jeszcze bardziej ciemno i jeszcze ciszej.

Zrywałem żółtą miętę i żułem w zamyśleniu piekące, pachnące listki.

– Tam jest front – myślałem – tutaj jest dowództwo, za nami są etapy, a dalej już nic nie ma... Nie ma wojny, nie ma huku dział, nie umierają ludzie gwałtowną śmiercią, tylko śpią sobie spokojnie... a jeśli nie jest późno, bawią się po dancinгах, po restauracjach, chodzą do teatrów i do kin... życie płynie codziennie i nikomu nie przyjdzie do głowy myśleć o niepojętych okopach, o drutach kolczastych, o karabinach maszynowych i o męczącym konaniu na przedpolu. Nikt nie myśli o tym, że wszy bez przerwy łążą po młodym ciele, żołnierskim, że chwilami strach ścisną serce i zimny pot oblewa skronie, że tak jest tęskno za tym jasnym, spokojnym światem, który pozostał we wspomnieniu.

Do dowództwa powróciłem wprost ze szpitala. Przedtem byłem na froncie. Kiedy jechałem z rozkazami pocisk rozerwał się przede mną. Właściwie pod moim koniem. Z konia nie wiele pozostało, no, a mnie jakoś zebrał sanitariusz do kupy, dostarczyli do szpitala polowego, później do garnizonowego. Krajali, przymierzali, przeszczepiali wszystkie nieszczesne gnaty, żyły, mięśnie i w ogóle całe mięso ludzkie, aż jakoś powoli wylizałem się. Nogi ocalały, chociaż kilku łapiduchów miało na nie wielką chętkę, reszta gnatów pozrastła się dosyć równo – i wyszedłem z tego wypadku, prawie taki, jak przedtem. Silny, prosty, szybki, wytrzymały – tylko tyle, że jak mnie czasami chwycił ból w krzyżu, to się wilem po ziemi jak żmija i ryczałem jak zarzynany bawół. Był to ból zupełnie nie ludzki. Lekarze kiwali nade mną głowami, macali, opukiwali i elektryzowa-

li, kąpali, zastrzykiwali, masowali i tyle pomogli, że chociaż bóle nic się nie zmniejszyły, to w każdym razie napady te były znacznie rzadsze. Uznano, że jestem zdolny do służby wojskowej, ale już nie frontowej i w ten sposób do-
stałem się do sztabu. Przydzielono mi ciekawą pracę przy telefonicznych apa-
raturach podsłuchowych i obchodzone się ze mną dość oględnie. Zawsze był ten
argument, że jak mnie kto zdenerwuje, to dostanę ataku, a co za przyjemność
patrzeć na wariata, który z pianą na ustach wygina się na podłodze i wrzeszczy
wniebogłosy.

Praca moja polegała na tym, że dwie godziny na dobę zajęty byłem przy
podśluchach. Stacje podsłuchowe były wówczas świeżo założone. Odpowied-
nie aparaty nadeszły z Francji i wyglądały bardzo tajemniczo. Były to czarne,
lakierowane pudełka, całe zwoje drutów wszelakich, zegary rozdzielcze, różne
ampero- i woltomierze – toteż wszyscy pracujący przy podśluchach zażywali
nie małego poważania. W istocie sprawa była prosta. Wchodziło się do małej
kabinki wybitej suknem. Nakładało się na głowę hełm ze słuchawkami. Brało
się ołówek do ręki i później przy pomocy całego szeregu wtyczek, można było
na tablicy rozdzielczej włączyć się do każdej linii telefonicznej, jakimi był nasz
front połączony ze sobą, albo często podsłuchiwać również rozmowy nieprzy-
jaciela, o ile nasi telefonisti zdolali się włączyć w jego przewody, albo też jeśli
była szczęśliwa indukcja, kiedy prądy elektryczne przenosiły się z przewodów
nieprzyjacielskich na nasze. W kabince było cicho i bardzo duszno. W słuchaw-
kach szumiały, brzęczały i stukały tysiące dźwięków, porwanych słów trzasków,
czasami słychać było nawet głosy wystrzałów. Z tego chaosu trzeba było wy-
odrębnić poszczególne rozmowy. Do tego celu służył szereg manetek, które
głos wzmacniały, czyściły, modulowały. Dla dowódców było ważnym wiedzieć
o tym, jak się front zachowuje, jakie idą porozumienia, zlecenia i rozkazy po-
między własnymi batalionami, półkami, brygadami i dywizjami. Najważniejsze
było oczywiście wiedzieć o tym, co mówi nieprzyjaciel. Niestety włączenie się
w linie nieprzyjacielskie nie było rzeczą łatwą i stąd rozmowy takie były rzadko
chwytane. Telefonista podsłuchowy miał za obowiązek stenografować wszyst-
kie ważniejsze rozmowy, jakie miały miejsce między własnymi oddziałami. Jeśli
chodzi o rozmowy nieprzyjaciela, to powinien był każdą bez wyjątku rozmo-
wę notować od początku do końca. Mógł również nawiązać rozmowę z linią,
w którą był włączony. Przypominam sobie taką rozmowę:

– Allo...allo... tutaj sztab N. Dywizji.

– Hallo – odpowiedziałem w najczystszym rosyjskim języku. – Tutaj sztab
Z. pułku.

Rzecz prosta dyslokacja pułków bolszewickich, ich stany obsada dowódców
itp. były nam dostarczone przez własny wywiad i na ogół dobrze znane.

– Kto przy telefonie?

– Pułkownik Pawłow – odpowiedziałem bez zająknięcia.

– Witaj Kola – posłyszałem w słuchawce

– Kto przy telefonie? – zapytałem surowo.

– Pułkownik Diaczenko.

– Witaj! – krzyknąłem i zacząłem gorączkowo w spisie nazwisk poszukiwać
wymienionego nazwiska; tym czasem powtarzałem co chwila „hallo” i kłamię,
że źle słysząc.

– Witaj – powtórzyłem.

– Co słysząc?

– Wszystko w porządku... Coś przeszkadza.

– Tak, marna linia ... czy dostaliście uzupełnienia?

– Nie... Nie słyszę! – krzyknąłem.

Znalazłem w spisie, że Siergiej Iwanowicz Diaczenko jest szefem sztabu N.
dywizji bolszewickiej. Sądząc z jego pierwszych słów i całego tonu musieliśmy
być w dobrych stosunkach.

– Trzy pułki są w marszu na nasze pozycje... prócz tego jeden pułk ładujemy
dzisiaj do pociągu... brak wagonów i lokomotyw.

Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Czemu, aż cztery pułki miały iść na
odcinek Z. pułku. Wiadomość wydawała się bardzo ważna.

– Kiedy mamy się spodziewać? – zapytałem.

– Każdej chwili... musisz umożliwić im odpoczynek... pamiętaj, że jutro
o trzeciej w nocy wypad na Chełm.

To już było coś poważniejszego. – W porządku – zakomunikowałem. – Do-
pilnuję jak należy.

– Czy nic się nie zmieniło na odcinku Berdyszcz – Bereźne?

– Nie... słabe siły Polaków i cisza.

– Doskonale...

Potem zapytał, jak się miewa jakiś Mikołaj Afanasjewicz, wobec tego, że
pojęcia nie miałem o kogo chodzi, przekreśliłem manetkę i na linii powsta-
ły niemożliwe trzaski. Jeszcze pokrzyżowałem trochę: „hallo”, coś zakląłem na

przeszkodę w rozmowie i na tym się wszystko urwało. Niezwłocznie dałem znać dowódcy. Wiadomości moje zostały skorygowane przez lotnika, czy też wywiad i nazajutrz bolszewicy forsujący Bug pod Berdyszczami dostali takiego tupnia, że gdybyśmy mieli trochę więcej wojska, można było po szczątkach bolszewickiej dywizji iść chyba do samego Kijowa.

Kiedys znów, pamiętam, w czasie mojego podstuchu telefoniści włączyli sztab brygady bolszewickiej do moich linii. Z rozmowy z jakimś nieogłębłym dowódcą dowiedziałem się, że niejaka Sonia przekroczy placówki bolszewickie takiego dnia, w takim a takim miejscu. Widziałem później tę Sonię, kiedy była przez nasz wywiad przesłuchiwana. Śliczna to była dziewczyna. Niebieskooka, o naiwnym wejrzeniu, zgrabna jak sarna, inteligentna i bardzo rezolutna. W pokoju, w którym była więziona, znalazłem napis na lustrze napis wydrapany jakimś twardym przedmiotem – może igłą: „Nie zabuťtje mienia. Sonia”*. Nie wiem dla kogo ten napis został przeznaczony i o kim w ostatnich chwilach myślała. Dlaczegoś przypuszczałem, że myślała właśnie o mnie, chociaż, ani mnie znała, ani domyśleć się mogła, że byłem pośrednim sprawcą jej śmierci. W każdym razie ja wciąż ją pamiętam o ślicznym bolszewickim szpiegu.

Mieszkalem w tym czasie w jakimś zarekwirowanym pokoju żydowskim. Pokój był ohydny, ale niewiele było lepszych. Miasto zrujnowane przez wojnę. Kiedys po pijanemu postrzelałem sobie dla fantazji do ścian, czym tak wystraszyłem moich gospodarzy, że odtąd chowali się po kątach na mój widok.

Nie byłem zresztą zbyt uciążliwym lokatorem, gdyż całe dni spędzałem w dowództwie, lub w ogrodzie; albo czytałem, albo częściej rozmyślałem. Jaka będzie Polska, kiedy wyzwoli się z niewoli i zacznie żyć własnym życiem. Na kwaterze tylko nocowałem i to nie zawsze. Jeśli wypadł nocny dyżur często wołałem zostać w sztabie. Wówczas ordynans słał mi koce na zestawionych stołach i spałem znakomicie.

Nie przypuszczam, abym wiele myślał o własnej przyszłości. Byłem żołnierzem i moje losy nic mnie nie obchodziły. Losy nasze spoczywały wówczas często w rękach przypadku, który czynił dużo niespodzianek. Ostatecznie ta kula, która jednego trafiła, a drugiego nie trafiła, była czystym przypadkiem. Patrzyło się na to i wiedziało się o tym. Dużo było jednak sytuacji, które bolały, albo złościły.

* Nie zapomnijcie o mnie (przyp. aut.).

Byliśmy w odwrocie, spod Kijowa i serca żołnierskie nie mogły tego zrozumieć, ani się z tym pogodzić. Młody żołnierz bił się ofiarnie i wierzył w Polskę nadchodzącą. Nie do zniesienia była myśl, że trzeba się cofać prze motłochem bolszewickim, którym gardziliśmy szczerze. Będąc w sztabie orientowałem się coś nie coś w naszej sytuacji, natomiast żołnierz na froncie nic o tym nie wiedział, a że musiał odchodzić z pozycji pomimo największych ofiar i bohaterstwa, bywało, że przestawał wierzyć w zwycięstwo.

Leżąc w ogrodzie i patrząc w złote gwiazdy cierpiełem z przerażenia na myśl o tym, że możemy wojnę przegrać i że bolszewicki porządek rzeczy może zapanować w naszej ojczyźnie. Rozumiałem doskonale, że większość z nas – patriotycznych żołnierzy polskich – nie przeżyje takiej chwili. Postanawiałem też sobie gorąco, że w razie jakiegś klęski, rzucę się na pierwszy lepszy oddział bolszewicki, będę strzelał i walił granatami ręcznymi tak długo jak mi sił starczy, a później, jeśli nie zostaną zabity, to sam sobie w łeb strzelę.

Być może, były to myśli słabości, ale trudno jest nie przewidywać ciemnej przyszłości, jeśli się ma złowrogie fakty wokół siebie, jeśli się je widzi i rozumie, a w sercu miłość jeszcze nieiszczona, a już bolesna kołata się bez przerwy.

O tym, że miłość cuda czyni nie trzeba było nikogo przekonywać. Cudem była przecież ta drżąca jeszcze, jeszcze na pół martwa, a już taka radosna, młodziutka Polska. Cudem była miłość do niej w powszechności ofiary tak wzniósł. Ponad wszystkim chyba jednak stała miłość do Wodza. Kto nie był wówczas na froncie, kto nie przeżywał wielkiej samotności wobec lecących kul, kto nie wdrapywał się pazurami w świętość odzyskanej ziemi, ten może tego nie rozumie. Dużo z resztą ludzi nie rozumiało naszej miłości, ani naszego Wodza. W nim było wszystko. Cała młodość. Wiara bezgraniczna i ogień wszystkich ideałów. On był Polski walczącej najszczytniejszym uosobieniem. On był jakby Polską samą – najlepszą, najmężniejszą, najprawdziwszą. Z resztą żołnierz nie rozumował. Żołnierz walczył, wierzył i kochał.

Dużo było tych myśli. Leżąc w ogrodzie i ponurego mruczenia dział słuchając, słuchałem równocześnie uważnie nieustających, lekkich bólów, jakie wpływały z mojego poranionego kręgosłupa. Dosłownie nastawiałem ucha i słuchałem. Co też z tego będzie. Czy przeżyję i doczekam, że przyjdzie do mnie wielka miłość? Później przekonałem się, że jedyną miłością mojego życia był mój Wódz. Płakałem raz tylko w życiu – i to były trzy najgłębszego bólu. Płakałem nad śmiercią Marszałka. Umarła z nim młodość, sny najbardziej wiosenne,

poryw szaleńczy i wspaniały. Umarła z nim nasza epopeja i łąy łąy się jedyne nad jedyną przeszłością.

Ogromnie mnie gniewały najrozmaitsze misje wojskowe patłatające się po naszych sztabach, a zwłaszcza oficerkowie francuscy – zawsze wytworni, zawsze eleganccy, zawsze ironicznie uśmiechnięci, z czelnością i pogardą na twarzach. Obchodzili się z nami, jak byśmy byli jakąś pośredniejszego gatunku kolonialną armią.

Kiedys siedzę na podsłuchu w swojej dużej kamerze. Zamknięty jestem od wewnątrz na haczyk, aby mi nikt nie przeszkadzał. Na głowie mam uczipiony hełm ze słuchawkami, który mnie zupełnie oddziela od świata. Słucham dalekich głosów. Front żyje bez przerwy. Na podstawie podsłuchanych rozmów próbuję wykreować różne sytuacje i zdarzenia. Rozmowy przeważnie nie mają jakiegos specjalnego znaczenia, jednak trzeba odnotować to, lub owo. Czasami przeleci przez słuchawki jakiś wstrząsający patos wojny, lub jakiś szczegół pełen tragizmu. Straty, zabici i ranni, odwody, braki, stracone pozycje. Tak daleko brzęczy nierealny w tej chwili wysiłek żołnierski. Młóci swój chleb czerwony wielka maszyna wojny. Słyszę słowa błahe. Telefonisci nudzą się w nocy i aby nie usnąć prowadzą chwilami dość idiotyczne rozmowy. Rozmawiają oficerowie. W jakim schronie odbywa się partia preferansa – trzeba o wyniku poinformować sąsiedni odcinek. Dwaj młodzi oficerowie, czy podoficerowie dzielą się wrażeniami z urlopu. Coś opowiadają o jakiejś Marysi. Umówiła się z jednym, poszła na randkę z drugim. Przykra historia. Dowódca batalionu rozmawia z wysuniętymi placówkami. Indukcja wtrąca jakieś oderwane słowa rosyjskie już z tamtej linii frontu. Jest trzecia w nocy i na froncie bez zmian. Obydwie strony nie przejawiają działalności. Słyszę, że ktoś wali do moich drzwi, aż się cała kabina trzęsie. Zdejmuję hełm. W głowie mi dudni i szumi jak zwykle po zdjęciu hermetycznych słuchawek. Ocieram pot z czoła i myślę, że musiało się zdarzyć coś bardzo ważnego, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby takiego alarmu, zwłaszcza, że jest rozkaz, aby ludzi przy podsłuchach w żadnym wypadku nie odrywać od słuchawek. Otwieram drzwi. Stoi dwóch francuskich oficerów. Pułkownik i kapitan. Obok zaspany i przerażony ordynans. Jest bez butów i widzę, że jego nagie stopy wcale nie grzeszą czystością. Bełkocząc stara mi się coś opowiedzieć.

„Zameldować się” – rzuca rozkaz francuski pułkownik, bardzo kalecząc polski język. Stoję na baczność i melduję: „Plutonowy taki to i taki melduję po-

stusznie, że odbywa służbę na podstuchowej stacji telefonicznej.”

– Kiedy kończycie służbę? – zapytuje po francusku.

Na moje nieszcześnie znam trochę język francuski, a oni znów trochę rozumieją po polsku, tak, że jakoś można się porozumieć.

– Za półtorej godziny – odpowiadam po polsku.

– Weźmiecie nasze walizki i odprowadzicie nas do hotelu – rozkazuje najspokojniej francuski pułkownik.

– Dobrze – mówię – ordynans zaraz się ubierze i panów odprowadzi... – ubieraj się Jasiu – rzucam w stronę ordynansa.

Prócz mnie i Jasia o tej porze nie ma w oddziale. Pracuję, oczywiście oddział operacyjny, ale to jest w zupełnie innym skrzydle obszerne gmachu gimnazjalnego.

– Nie – odparowuje pułkownik – wy nas odprowadzicie ... ten wasz ordynans to jest idiota i nie można się z nim dogadać.

Patrzę zdziwiony i czuję jak mrugam oczami, niezupełnie ten rozkaz rozumiejąc.

– Melduję posłuszenie – komunikuję – że jestem na służbie i do ukończenia dyżuru nie mam prawa schodzić z posterunku.

Widzę, jak pułkownik poczyna miotać iskry oczami, a kapitan uśmiecha się ironicznie i uderza szpicrutą po cholewie.

– Nie gadać... Tylko ubierać się i maszerować – zaczyna grzmieć pułkownik urwanym głosem.

Stoję bez ruchu i bez szacunku spoglądam w roziskrzone oczy oficerów.

– Niestety – mówię spokojnie – chociaż chciałbym bardzo pomóc panom, jednak muszę słuchać przede wszystkim rozkazów moich przełożonych...

Zgodnie z takim rozkazem absolutnie nie wolno mi porzucać dyżuru, co chyba panowie muszą dobrze rozumieć... Z resztą ordynans zna drogę do hotelu równie dobrze jak ja.

– Milczec – wrzeszczy już pułkownik – zaczyna się dławić szybkimi słowami – proszę nas tutaj nie pouczać... W tej chwili iść, bo będzie źle.

Rozumiem, że naprawdę może być źle, tym bardziej, że widzę jak kapitan z tym samym ironicznym uśmiechem zaczyna powoli odpinać pochwę rewolweru. Któż im przeszkodzi strzelić mi w łeb jak psu. Nawet nie będą wcale odpowiadać, nawet prawdopodobnie nie będzie żadnego dochodzenia. Pewnie to jacyś wielcy sztabowcy, od których zależy pomoc, amunicja, opinia – a ja

jestem tylko mizerny żołnierz młodej armii polskiej. Bardzo chcę żyć, ale mam też honor.

– Nie – mówię grobowym, ale stanowczym głosem – nie pójdę.

– Jak... co... jak? – ryczy pułkownik i doskakuje do mnie. Kapitan uśmiechając się obnaża rewolwer. Ordynans Jasio stoi błądy z otwartymi ustami.

Myszę sobie – jeśli mnie strzeli w pysk, powiem, że dobrze, że odprowadzam, pójdę do kabiny, wezmę swojego „Hiszpana” i zastrzelę obydwóch, a później niech się dzieje wola boska... długo nie pożyję.

– Nie pójdę – powtarzam – mam rozkaz i nie odejdę stąd.

– Ach... cohon... cohon... polska świnia... pies... bydlę – bulgocze purpurowy pułkownik.

Widac jednak w mojej postawie, czy spojrzeniu jest coś co go mityguje. Łapie kapitana za rękę uzbrojoną w rewolwer i zaczynają coś gorączkowo szwargotać.

– Zapisz nazwisko i przydział – syczy pułkownik – jutro będzie rozmawiał z tobą sąd wojenny.

– Rozkaz – mówię i powracam do kabiny, gdzie kaligrafuję swój stopień, nazwisko i przydział.

Kiedy wyłażę, oficerowie są już znacznie spokojniejsi. Pułkownik odbiera ode mnie kartkę i mruczy:

– Niech ten osioł nas odprowadzi... a z tobą się jeszcze zobaczymy.

Staję na baczność i melduję:

– Zgodnie z regulaminem jaki obowiązuje w armii polskiej do podoficera przełożeni nie mówią „per ty” tylko „per wy”.

Potem każę Jasiowi ubierać się.

Obydwaj oficerowie po moich spokojnych słowach wybuchają na nowo. Znowu sypią się obraźliwe słowa, a później między sobą jakaś niesłychanie szybka dyskusja, której nie mogę zrozumieć.

– Pokoju tych sk..... – mówię do Jasia po cichu.

Jaś kiwa głową ze zrozumieniem i przybiera minę jeszcze głupszą, niż zwykle.

Francuzi stoją nad nim i patrzą jak się ubiera. Na mnie nie zwracają już najmniejszej uwagi. Zupełnie jakby mnie nie było ani całej awantury. Jasio nie ma zbyt czystej bielizny, ani zbyt eleganckiego munduru. Twarz jego nie wyróżnia się inteligencją, oczy – wyrazem, ale w istocie jest to sprytny chłopak i dobry

żołnierz, który nim trafił do nas był ze trzy razy ranny i nawet zdołał uciec z nie-woli bolszewickiej.

Słyszę idiotyczne drwiny nad wyglądem i ubiorem biednego chłopaka. Zwłaszcza onuce dają im duże pole do popisu. Dlaczego całą armię polską rozpatrują od strony onuców; jest to dla nich symbol dzikości, zacofania, braku kultury, upadku i jeszcze różnych rzeczy w tym rodzaju. Czuję, jak według Jasia i mnie budują sobie opinię o całej armii polskiej. Jest to banda dzikusów, oberwańców, łotrów, którymi można tylko gardzić i tylko się ich brzydzić.

Wreszcie wychodzą. We drzwiach kapitan obraca się i patrzy na mnie czas jakiś z okrutnym, drwiącym uśmiechem. Potem mówi jakieś dziwaczne słowo francuskie i znika.

Pamiętam, że czekałem wówczas na powrót Jasia do samego rana. Okazuje się, że obleciał z nimi całe miasto trzy razy po najgorszych wertepach, chociaż do hotelu było kilkadziesiąt kroków. Opowiadał mi, że zmachał się z walizkami do ostatka sił, ale Francuzów tak zajeździł i tak utytłwał w jakimś bloku, że podobno wyglądali jak upiory. Rzecz jasna, ze wszystkich ich grób nic nie było i nigdy ich później nie widziałem.

Myszę o powrocie do Kijowa. Wtedy był czerwiec, a teraz jest początek sierpnia i zmieniło się wiele, ale gwiadzy takie same złociste mrugają nad głową i tak samo trawy lata pachną miętą i macierzanką. Upalny to był odwrót. Plomienny.

Deszczyk wiosenny mżył od samego rana i niebo było szare. Pomimo deszczu było bardzo gorąco i pod grubym mundurem amerykańskim można było się upiec.

Koszula kleiła się do ciała. Pot zalewał czoło. Stojąc w starym ogrodzie, przylegającym do pięknego domu magnata rosyjskiego, w którym mieścił się nasz sztab, z troską słuchałem niedalekiej strzelaniny nad Dnieprem. Działy były dość rzadko, natomiast ogień karabinów był gęsty. Później ucichło. Pobiegłem na górę św. Włodzimierza, skąd roztaczał się wspaniały widok, na całą niziną część Kijowa, na wyjątkowo piękne urwiska i rozpadliny zbiegające ku Dnieprowi i później na całą stronę zadnieprzańską, która ginęła wśród szarej mgły drobnego deszczu.

Nad miastem rwały się pociski. Naprzód ukazywał się niespodziewany, biały dymek. Rozlewał się szybko i delikatnie kłębił. Później rozlegał się nieprzyjemny, suchy i głośny trzask.

Dniepr płynął spokojny. Jak zwykle wielki i, pomimo niepogody, błyszczący żółtawym srebrem. Po prawej stronie widać było muzeum i parki: Kupiecki, Cesarski i Elżbietański. W tym ostatnim, spoczywały ciała, dziesiątki tysięcy ofiar terroru bolszewickiego. Idąc tamtędy nigdy się nie wiedziało, czy noga nie zapadnie się w czyjaś gnijącą pierś. Zapach również był nieprzyjemny – przypominał rzeźnię, okrucieństwo człowieka i marność żywota.

Na górze stał wielki pomnik św. Włodzimierza – chrzciciela Rusi. Niewiele Moskalom z tego chrztu przyszło, bo bolszewicy czynili wszystko, aby poczucie religijne w nieszczęsnym narodzie zabić. Medytowali również długo nad sprawą obalenia pomnika chrzciciela – i nie wiem, czemu tego nie uczynili. Może zaliczyli świętego do grona bezpartyjnych albo „speców”.

Tak stojąc – po raz ostatni w życiu spoglądałem na miasto i czarujące brzegi Dniepru. W tym mieście urodziłem się i wychowałem. Każdy zakątek, każdy gmach, każda ulica, była mi dobrze znana i żal było odchodzić od tego miasta, które w mej wyobraźni wiązało Chrobrego z Piłsudskim w nierozdzielny pomnik chwały. Pozostawały za nami – Złota Brama i Szczerbiec, alem myślał, że może tutaj jeszcze powrócimy i dzisiaj myślę nie inaczej, chociaż wiem, że obowiązek ten i konieczność wykonania testamentu Wielkiego Wodza spadną na przyszłe pokolenia, na synów naszych i wnuków.

Widziałem jak po kolei zapadły się w wodę obydwa mosty kijowskie, zniszczone przez naszych saperów. Były to mosty ogromne. Zwłaszcza wspaniały i wielki był nowy most łańcuchowy. Chwila ta nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Zobaczyłem kilka chmur czarnego dymu, potem zaczęły wstrząsać powietrzem wielokrotne detonacje: przęsa mostów obsunęły się bezwładnie i łagodnie do wody.

Odwrót odbywał się w porządku. Długim wężem wyciągnęły się oddziały nasze po ulicach Kijowa. Pociski warczały tuż nad głową, ale to było złudzenie. W istocie pękały wysoko i daleko. Po bokach ulic, na chodnikach, stał tłum kijowski ponury, nasepiony, nieruchomy. Przyzwyczajony w okresie rewolucji do nieustających zmian władzy oraz przemarszów wojsk, nie okazywał zdziwienia ani żalu, może raczej w głębi duszy radował się, że odchodzą cudzoziemcy, a przyjdą swoi. Straszni swoi, ale, bądź co bądź, swoi. Podobno byli z tłumu, czy z okien jakieś strzały do naszych żołnierzy. Nawet ktoś został ranny. Ale to było przy przemarszu czołowych oddziałów. Myśmy szli w cisy i w bezruchu ulicy. Ponuro turkotały wozy na których wieźliśmy archiwizację sztabu i papierowe

pieniądze zabrane z banku państwa. Nasz oddział był jeden z ostatnich. Szła jeszcze za nami jakaś zapóźniona artyleria i kilka konnych oddziałów ukraińskich, petlurowskich. Później – już na drodze nastąpiło przemieszanie się oddziałów i szło ich za nami znacznie więcej – w tej chwili jednak byliśmy na samym końcu odwrotu i trzeba się było dobrze pilnować, aby jakaś dywersja nie naleciała na nasze tyły.

Ścisnąłem w rękach karabin i bacznie rozglądałem się po zamkniętych oknach. Mieliśmy rozkaz strzelania do każdej postaci, która by się w oknie, lub na dachu ukazała. Wokół wielkimi słupami były dymy pożarów w niebo. Podobno paliły się nasze składy na stacji towarowej, miał płonąć arsenał, jakiś klasztor i fabryka tytoniowa. Słychać było detonację. To nasi saperzy coś wysadzali na dworcach kolejowych. Mineliśmy Kreszczatik i weszliśmy w boczną ulicę. Droga nasza szła na Irpień i później dalej, aż do granicy polskiej.

Maszerowaliśmy bez przerwy i bez specjalnych przygotowań całe prawie dzień i całą noc. O świcie natknęliśmy się na pierwszą przeszkodę, gdyż idące przed nami oddziały podпалиły drewniany most na Irpieniu. Nie byłoby wielkiego zmartwienia, bo Irpień można było przejść w bród – niestety, szła za nami artyleria ściągnięta w ostatniej chwili z przyczółka mostowego na Dnieprze, a były to wszystko ciężkie, wspaniałe działa, które koniecznie trzeba było uratować.

Przypominam sobie jak pułkownik, dowódca artylerii, ciskał się w niemożliwy sposób, kłął, rozpacział i bił szpicrutą przez łeb żołnierzy. Każdej chwili mogli zaskoczyć nas bolszewicy i zafasować działa. Nasz oddział został zatrzymany, jak również późniejszy – ukraiński i razem z artylerzystami gorączkowo gasiliśmy pożar mostu, a później budowaliśmy to wszystko, co już zostało spalone. Most na szczęście znajdował się wśród lasu, toteż rąbaliśmy wysokie sosny i nieociosane, razem z gałęziami rzucaliśmy do rzeki, aż się z tych drzew utworzyła góra równoległa do mostu i dopiero po tej górze drzewnej przeciągnięte zostały działa, gdyż sam most nie wytrzymałby ciężaru armat. Ciężka to była praca, tym bardziej, że bolszewicy pokazali się na drodze i pukali do nas od czasu do czasu. Był to prawdopodobnie jakiś słaby patrol kawalerski, tak, że szkód nie przyczynił, ale denerwował ludzi. Wreszcie wściekły pułkownik kazał jedną z armat odwrócić i trzasnął w nich kartaczami. Huk był wielki. Nie wiem, czy stała się jaka krzywda bolszewikom, ale nabrali respektu i nie widać ich już było, aż do końca naszej przeprawy przez Irpień. Pokazali się dopiero następnego dnia i nie odstępowali nas prawie przez całą drogę, ciągle gdzieś strzelali-

jąc i coś wykrzykując. Musieliśmy często rozwijać się w tyraliery i kiedy już zbyt nacierali udawać przeciwnatarcie, co zawsze ich peszyło i potem mieliśmy kilka godzin spokoju. Sytuacja taka opóźniała jednak nasz marsz i męczyła żołnierzy. Zrobiliśmy też raz większym oddziałem zasadzkę w lesie i wtedy zlikwidowaliśmy chyba cały kozacki szwadron, nie ponosząc żadnych strat.

Drugi dzień marszu był już porządnie męczący, gdyż nie było ani chwili odpoczynku, a że poprzednie dwie noce też spaliliśmy w Kijowie, szykując się do odwrotu, więc żołnierze szli oswiali, senni, od stóp do głów zasypani kurzem. Z tym kurzem, to była prawdziwa udręka. Maszerowaliśmy nie szosą, ani traktem, tylko polnymi drogami, leśnymi ścieżkami, bocznymi szlakami. Piach był taki, że wozy zapadały się prawie do osi. Ciągłe je trzeba było podpierać i z piachu wyciągać, a tymczasem nie było czym oddychać, gdyż kurz zatykał zupełnie usta, zalepiał, pomieszany z potem, oczy i brudny – sphywał po całym ciele, kapał na ziemię i szybko wsiąkał w tą porzuconą ziemię. Wieźliśmy już tego dnia dość dużo rannych zebranych po drodze z oddziałów, które biły się przed nami. Prócz tego dołączyły się do nas po drodze ogromne treny pełne rannych z innych bitew. Jakies szpitale polowe. Następnie na wozach, przeważnie chłopskich, rekwirowanych, gdzie się dało, jechała amunicja, prowiant, nieszczęsne, uciekające rodziny cywilów. Dzieci i kobiety. Chwilami to wszystko mieszało się – piechota, artyleria, kawaleria. Pod wieczór drugiego dnia leżały już gęsto porzucone przez żołnierzy plecaki i inne skromne dobra żołnierskie, dźwigane dotychczas cierpliwie. Spotykaliśmy również porzucone worki z mąką i cukrem, puszki z powidłami i tzw. „małpim mięsem” – mięsnymi konserwami amerykańskimi; leżały stosy amunicji i nawet pozostawione karabiny maszynowe, a także padłe konie. Oblewaliśmy to wszystko naftą i podpalali w ten sposób pozostawał za nami pożar. Jeszcze trzeciego dnia widać było na horyzoncie czarny tuman dymu.

Upał był nieopisany. Był to dopiero początek czerwca, ale ulewa słońca miała w sobie jakiś tropikalny żar i nawet w cieniu nie było ochłody. Pot wyciekał z naszych ciał czarnymi od kurzu strumieniami. Wszystko było lepkie i mokre. Brakowało wody i ludzie odchodzili od zmysłów z pragnienia. Piliśmy z każdego bajora po drodze, z każdej kałuży. Studnie po wsiach spotykaliśmy osuszone przez oddziały idące przed nami. Dopiero większe strumienie i rzeki uwalniały nas od męki pragnienia, ale nie długo to trwało, gdyż słońce wyciągało z nas cały zapas wilgoci. Zatrzymywać się nie było można, gdyż tuż za

nami ciągnęli bolszewicy i kto został, zapóźnił się, zamarudził, nieuchronnie trafiał w ich ręce.

Drugiego dnia odwrotu jeszcze można było wytrzymać, natomiast trzeciego dnia, a zwłaszcza czwartego, natykaliśmy się na coraz większe ilości maruderów i sytuacja się tak ułożyła, że znów szliśmy w straży tylnej. Z maruderami była męka okropna. Ustawiali po drodze ze zmęczenia, z upału, z braku snu, przede wszystkim jednak z odparzelin, które wobec tropikalnej temperatury i nieustannego marszu łatwo powstawały i powodowały niesłychane cierpienia. Widziałem żołnierzy kulejących, krzywych, płaczących, skaczących na jednej nodze. Niewygodne obuwie, pot, brud, kurz, brak odpoczynku i ciągły wysiłek marszowy doprowadzały do tego, że skóra na nogach, specjalnie na piętach, na podbiciu i pomiędzy palcami traciła barwę, bieleła jak od odmrożenia, powstawały wielkie pęcherze, które niebawem pękały i wylewała się z nich mętna ciecz, na to miejsce otwierało się żywe mięso, jedna wielka rana, bardzo bolesna, która uniemożliwiała dalsze maszerowanie. Żołnierze bali się ogromnie niewoli bolszewickiej, toteż szli naprzód, wysiłkiem woli, walcząc z bólem. Słabsi siadali przy drodze, wyciągali ręce i błagali, aby ich zabrać. Niestety, wozy były przeładowane do ostateczności. Chudy, czarny, umęczony żołnierz pokazywał mi obnażone swoje stopy, podobne do befsztyka po angielsku i pytał jak można tym mięsem zrobić chociaż jeden krok. Przekonałem go wizją okropieństwa bolszewickiej niewoli, by ruszył dalej; z jękiem podniósł się z ziemi. Szkoda wielka, że nie starczyło mi głosu, aby wrzесzyć na wszystkich, dużo tych biedaków zostało po drodze. Zresztą moje nogi nie były o wiele lepsze. Mój koń, idący luzem, zdechtł z niewiadomej przyczyny zaraz za Irpeniem, a musiałem być wszędzie, gdyż dowódca naszego oddziału szedł w straży przedniej, a ja pilnowałem porządku w samym oddziale. Musiałem doglądać wozów, ludzi, koni, prowiantów i wszystkiego, co z nami szło. Prócz tego wielokrotnie trzeba było rozsypywać się w tyraliery, gdyż małe oddziały konne Budionnego, ciągle nalażyły nam na plecy. Nie jeden raz zatrzymywałem oddział, aby zbierać lub pędzić przed siebie maruderów; byłem głodny, niewyspany, zmęczony do ostatka sił; czułem, jak nogi rozpuszczają mi się powoli w pocie i zamieniają w jakąś ołowianą szarpającą i piekącą ranę. Co prawda zdołałem kilka razy umyć nogi w mijanych rzeczках, niewiele to jednak pomogło, gdyż nie miałem zapasowych skarpetek, a stare były już w strzępach. Drugiego dnia marszu, gdzieś koło południa rozległa się seria wystrzałów ar-

matnich i cztery granaty wybuchły czarnymi słupami ziemi obok drogi. Okazało się, że bolszewicy podciągnęli w jakiś sposób baterię lekkich dział, ustawili ją na sąsiednich wzgórzach i walili do nas na prosto bez żadnej obawy, wiedząc o tym, że nie mamy na to czasu, aby się nimi zająć. Całe szczęście, że kanonierów mieli nietęgich i pociski ich przeważnie przelatwały nad głowami oddziałów i spadały nieco dalej wśród złocistych, lekko falujących zbóż. Jeden z pocisków trafił w wóz z mąką. Wzbił się w powietrze i zasrebrzył w słońcu biały pył. Kiedy podbiegłem bliżej, obydwa konie konały w konwulsjach, a woznica, młody, jasnonoki żołnierz, miał rozwalone piersi i coś charkotał plując krwią. Po powierzchniowym opatrunku położyliśmy go na wóz i żył jeszcze dwa dni. Przed śmiercią, już blisko polskiej granicy, starał mi się coś powiedzieć, ale tylko ko świszczało w płucach powietrze i krwawa piana spływała po ustach. Papier jego i fotografie odesłałem według znalezionej adresy. Wszystko to było złane krwią i pewnie w domu nierzaz popłakali – ale to było dawno – teraz już nikt nie płacze, a mogiłka żołnierska już się w ziemi rozpuściła i rośnie na niej bolszewickie zboże.

W nocy z drugiej na trzecią dobę marszu mieliśmy pierwszy, czterogodzinny odpoczynek. Noce były krótkie, gorące, rozpalone. Niebo było granatowe i migotało milionami gwiazd. Zatrzymaliśmy się wśród lasów na jakiejś wielkiej polanie. Pachniało żywicą i dymem z kuchni polowych. Pierwszy raz od chwili odwrotu żołnierze mieli otrzymać gorący posiłek, ale kucharze na próżno czekali. Cały nasz wielki obóz po wystawieniu ubezpieczeń i oporządzeniu koni, jak martwy padł na ziemię i każdy z nas usnął niemal w miejscu, gdzie stał. Nikt nie zdążył się umyć, ani nawet ściągnąć butów. Było ostre pogotowie i nie można się było rozbierać, ale nikt nawet o tym nie myślał, ani o niczym innym jak tylko o śnie. Po załatwieniu wszystkich moich służb, i ja zwałem się na słomę pod jakimś wozem, jednak widocznie ze zbytniego zmęczenia i zdenerwowania nie mogłem usnąć. Całe ciało było niemożliwie rozbite i nogi paliły żywym ogniem. Patrzyłem na gwiazdy migocące na głębokim, granatowym niebie. Był w tym obrazie jakiś spokój i odpoczynek. Dźwięcznie ćwierkały koniki polne, pachniały lasy i trawy, jakiś ptak cicho kwilił. Spadła pierwsza wilgoć rosy – chłodna i orzeźwiająca. Któż by mógł pomyśleć, że to wojna i że to wielka armia w odwrocie. Zapadłem wreszcie w ciężki, gorączkowy sen, jak w wielką przepaść bez dna.

Obudził mnie huk wystrzału. Na wchodzie promieniata pierwsza jutrzienka

– różowa, delikatna i nieśmiała. Cały obóz poderwał się na równe nogi. Okazało się, że z jakiegoś wozu spadł niezabezpieczony karabin, czy też ktoś ten karabin upuścił na ziemię. Nie można było dojść. Kula trafiła żołnierza, który spał na wozie w skroń, obok ucha i wyszła tyłem głowy. Skonał na miejscu. Ani drgnął. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego właśnie tego żołnierza kula sobie wybrała, kiedy znajdował się on po przeciwniejszej stronie obozu, w odległości dobrych kilkuset metrów, wówczas, kiedy tyle głów było w pobliżu. Niezbadane są prawa przypadku. Pochowaliśmy żołnierzyka natychmiast w rozpalonym piachu, w gąiku brzoшовym. Ktoś nawet zrobił krzyż z brzoшовych gałęzi, ktoś na krzyżu chemicznym ołówkiem wypisał imię i nazwisko i ktoś na szczycie krzyża zawiesił brudną, zapoconą furażerkę, zbryzganą krwią.

Wyruszyliśmy w dalszy marsz wkrótce po tym wypadku. Zdawało się, że upał jest większy jeszcze niż w dni poprzednie. Żołnierze szli senni, bezwolni, milczący a potem poczęli zasypiać. Od tej chwili, aż do końca marszu ciągle miałem do czynienia ze śpiącymi ludźmi. Kiedyś czytałem opis jak armie napoleonowskie w czasie uciążliwych marszów umiały spać w ruchu. Teraz sam tego doświadczyłem. Słońce paliło niemiłosiernie i nawet cień lasów nie dawał ochłody. Czułem się bardzo marnie i ledwie przebieierałem nogami. Wszystkie kości bolały okropnie, obnażone już ze skóry stopy piekły jak od tysiąca rozpalonych igieł, oczy kleiły się do snu, powieki stawały się coraz cięższe. Zapadałem się raz po raz w duszną nieświadomość i po chwili spostrzegłem, że mijają jakieś sekundy, czy może minuty, kiedy posuwam się przed siebie ni to drzemiąc, ni to śpiąc. Ocknąłem się na dobre, gdy bolącą nogą zawadziłem o korzeń i upadłem, a karabinek, który dźwigałem na ramieniu trzasnął mnie boleśnie po głowie. Wówczas zobaczyłem, że większość żołnierzy idzie śpiąc. Urządzili się nawet bardzo mądrze. Pierwszy z oddziału szedł trzymając się ręką wozu i oczywiście spał, następni szli za nim i każdy się trzymał pasa swojego poprzednika. Robiło to upiorne wrażenie. Cisza. Piekielny kurz. Zmęczone konie posuwają się wolno. Gdzieniedzie skrzypią wozy i za wozami idą szeregi śpiących ludzi. Nie był to sen lekki, ani żadna drzemka. Spali jak zabici. Nie budziły ich szarpnięcia, ani okrzyki. Zupełnie niepojęte było, w jaki sposób utrzymują równowagę. Polne drogi pełne były nierówności, kolein, różnych wybojów, dziur i korzeni. Tymczasem oni szli dość pewnie. Automatycznie, wysoko podnosili nogi i opuszczali je ostrożnie. W każdym razie, ktoś patrząc z boku nigdy by się nie domyślił, że ci ludzie śpią. Gorzej było, jeśli ktoś upadł – wówczas

czas padał cały szereg następnych, niektórzy spali tak mocno, że nie można ich było obudzić. Trzeba było zatrzymywać cały tabor i podnosić ich wrzaskiem oraz kopniakami.

Nieopisaną mękę przeżyłem z tymi, którzy usypiali przy drodze. Taki nie-szczęśnik czołapał powoli przed siebie, raptem robił szczipaka w bok, rzucił obok siebie karabin i zasypiał prawie snem śmierci. Być może tak się zasypia pod narkozą. W każdym razie nie reagował na żadne podniety zewnętrzne i nie myślał o tym, że za chwilę wpadnie w ręce bolszewików. Zorganizowałem z przytomniejszych i silniejszych żołnierzy oddziałek „budzieli”. Biliśmy takich śpiących i kopali. Specjalnie do bicia nieśliśmy ze sobą witki z olszyny. Przeważnie jednak na bicie nie reagowali. Wydawali co prawda jakieś bolesne jęki, ale spali dalej. Osobiście kłułem bagnetem, aż do krwi, ale to również nie pomagało. Dopiero później wynalazłem sposób. Zatykało się takiemu śpiochowi nos i usta i przytrzymywało się tak długo, aż się zaczynał dusić. Niestety, nie zdołaliśmy nawet w ten sposób wszystkich obudzić i ci dostali się w ręce bolszewików. Byli i tacy, którzy odchodzili głębiej w las, lub chowali się w stogach siana. Bardzo mnie ci śpiący żołnierze dużo zdrowia kosztowali i czasami rzucałem się na nich z prawdziwą wściekłością. Przede wszystkim już sam od sił odchodziłem, a następnie pamiętałem zawsze jaki ich czekał los, jeśli wpadną w szpony krwiożerczych oddziałów Budionnego.

Z wyżywieniem było również mnóstwo kłopotów. Co prawda wieźliśmy na wozach suchy prowiant, ale nie było czasu na utworzenie konserw. Żołnierze przed wymarszem z Kijowa dostali żelazne porcje. Niestety, już drugiego, a zwłaszcza trzeciego i czwartego dnia odwrotu, plecaki i chlebaki zostały one porzucone przy drogach. Nie było mowy o tym, aby dźwigać jeszcze ten ciężar. Żołnierze ledwie dźwigali karabiny i amunicję, a zdarzały się wypadki, że nawet to rzucali lub jakoś przemycali na przeciążonych wozach. Kuchnie podwoziły nam jedzenie tylko raz w czasie odwrotu, potem gdzieś wsiątki i już nie widzieliśmy ich więcej. Z początku zmęczenie i brak snu oraz upał odbierały apetyt. Przez pierwsze trzy dni nic nie jadłem, tylko piłem po drodze, co się dało i gdzie się dało. Później jednak przyszedł głód i kiszki zaczęły grać porządnego marsza. Kilka razy zostawałem na chwilę w mijaniach Henek N. – harcerz z Kijowa, z którym szukać. Towarzyszył mi mój przyjaciel Henek N. – harcerz z Kijowa, z którym przyjaźnił się w czasie pobytu naszej armii w Kijowie. Był to facet szczupły i długi o dużych aspiracjach kawalerskich, toteż nosił się z fantazją i robił

wrażenie zawodowego kawalerzysty. Zdążył jakoś w Kijowie przerobić swoją kurtkę amerykańską oraz brydżesy, zwane wówczas – „galife”, tak że to wszystko dobrze pasowało. Do butów doczepił dźwięczące ostrogi i przy pasie dźwięczał w każdej okazji ogromne szablisko. Zawsze przyzwyczajony wyglądał. Nawet w czasie największego zmęczenia i piekielnego upału oraz kurzu prezentował się czysto, blond włosy miał równo rozczesane na przedziałek i robił wrażenie świeżo umytego. W kieszeni frencza nosił lusterko i grzebyk. Utensyliów tych chętnie mnie używał, co było jednym z powodów naszej przyjaźni. Węch miał znakomity i zawsze wiedział, gdzie było coś do wyfasowania. Kiedy mi zapropował przy mijaniu jakiejś bogatej wsi ruskiej, aby się wypuścić na lekką przekąskę, chętnie na to przystałem. Armia nasza nie rabowała, natomiast zdobyć pożywienia i w żadnym wojsku za rabunek uważane nie było. Wpadliśmy zgrzani i w wielkim pośpiechu do jednej, drugiej chaty. Niestety, ludność już przy nadchodzeniu pierwszych oddziałów, uciekla do lasów zabierając ze sobą prowiant i cały żywy inwentarz. Obawiali się zapewne rekwizycji, a zwłaszcza poborów furmanek. Obszukanymi pośpiesznie różne komory i zakamarki. Nic nie było, prócz zapachu niedawno pieczonego chleba. Wreszcie wypatrzyliśmy piękną chatkę, jak się później okazało samego softysa i zastaliśmy w niej starą babę i starego dziada. W chacie było bardzo czysto. Po kątach wisały „ikony” przybrane jakimiś kwiatuskami. Talerze lśniły na półkach. Mnóstwo poduszek piętrzyło się na łóżkach, aż ochota brała, aby się przespać.

– Dawajcie jeść – mówimy.

– Nyma panocku ... jej Bohu nyma ... żołdaty wsio zabrały.

Zaczęli się przysięgać, jęczeć i płakać.

Henek nosem pociąga i powiada:

– Bracie, czujesz?

Pociągam i ja nosem. Czuję znakomite zapach jakiejś potrawy. Coś w rodzaju kapuśniaku na boczku, czy jakiejś wędzonej kiełbasy.

– Dawajcie to, co pachnie, tylko prędko.

Znów zaklinają się, że nic nie ma.

Zrobiliśmy z Henkiem, pod wrzawę staruszków, pobieżną rewizję i nic nie znaleźliśmy. Dopiero na odchodnym otworzyliśmy drzwi do wielkiego pieca, tzw. hruby. Wionął stamtąd cudowny zapach. Nie żałując fatygi wlałem do środka, kiedy staruszkowie rozdierają łkali i wyciągnąłem garniec z prażuchą. Oraz kilka krązków znakomitej kiełbasy. Starzy przeklinali nas ukraińskimi

wyżskami. Wyleciałem z garncem prażuchy, a była tak wyśmienita, że już później nigdy w życiu nic równie smacznego nie jadłem. Do dzisiaj pamiętam ten apetyczny zapach. Było to coś podobnego do śmietany, tylko bardzo gęstej o różowym kolorze. Rozpływało się w ustach. Biegłem po drodze wiejskiej trzymając cały zrabowany gar przed sobą i jadłem wprost, nie bardzo czystą dłoń. Zaczynam dobiegać do swojego oddziału wpakowałem prawie całą smakowitą zawartość gara w siebie. Odstąpiłem trochę smakołyku Henkowi, w zamian za zdobytą kielbasę. Nie byłem w stanie już jej zjeść i oddałem ją towarzyszowi marszu. Jeszcze pierwszego dnia odwrotu zwróciłem na niego uwagę. Przyplątał się do naszego oddziału, z oddziałów liniowych i z któregoś z pułków legionowych trafił do kolumny sztabowej. Mówił o tym dość wykrętnie i dowiecnie, tak, że w reszcie niewiele się dowiedziałem. Twarz miał brudną i całą pokrytą drobnymi czerwonymi pryszczami. W oczach łobuzerski, nawet chytry wyraz. Płowe włosy zmierzwione i spoczone. Robił wrażenie typowego łazika, co na wojnie nie sieje, nie orze, a zbiera. Przymrużone szelmowsko oczy, tylko wypatrywały gdzie co zwędzić, jak się od służby wymigać, od niebezpieczeństwa uchronić. Bardzo sprytnie podjeżdżał na wozach, karabin też umieszczał go na wozie. Zadarty nos, śpiczasta broda, blade, wypukłe usta – zupełnie Antek warszawski. Zwróciłem na niego uwagę, gdyż miał bardzo oryginalny chód. Coś było w tym chodzie wesołego i lekceważącego. Dziwnie podrygiwał przy każdym kroku, giął się w biodrach i w krzyżu, pochylając się w kierunku odwrotnym od nogi wypadowej i chybocząc się w pasie. Był w tym ruchu wysiłek i jakaś jednocześnie lekkość. Czulem, że takim krokiem można obejść cały świat bez zmęczenia. Istotnie nie widziałem, aby był zmęczony. Ciągłe dowiecipkował, dokazywał, nawet trochę dokuczał kolegom. Zadomowił się dziwnie szybko i był ze wszystkimi za pan brat. Orientował się doskonale w stosunkach, w charakterach dowódców, w zawartości wozów. Wszędzie go było pełno i płową jego głowę widziałem nieustannie kręcącą się przy wszystkich wozach. Raz wyprzedzał nasz oddział, potem dłaczegoś pozostawał w tyle. Dopomagał mi trochę przy moim użeraniu się z maruderami. Bardzo czujnie pilnował wozów przed zamachami tychże maruderów. Udzielał rad woźnikom i prawdopodobnie udawało mu się coś ukrasć, lub uzebrać do jedzenia, gdyż bez przerwy przebiegał ustami i coś tykał z zadowoleniem. Kiedy zobaczył spory kawał mojej zdobycznej kielbasy, zrobił oczy tak łzawe i twarz tak błagającą, że walnąłem go przyjaźnie po karku, a potem oddałem nadgrzyziony już nieco

smakołyk, razem z życzeniami apetytu, co było zbędne. Zdaje się, że w ten sposób czynili chanowie tatarscy. U Sienkiewicza jest opis jak chan tatarski otrzymawszy ważną wiadomość, przestał żuć daktyle, których miał pełne usta, wypłuł je na dłoń i oddał jakiemuś bejowi, które niezwłocznie zaczął je spożywać wznosząc do nieba oczy w rozkoszy.

– Coś ty taki śwarny? – zapytałem go kiedyś.

Roześmiał się i oświadczył, że wojna dla niego to dopiero wielkie używanie. Pochodził z Łodzi, z jakiejś robotniczej rodziny i dzieciństwo przypominał sobie jako wielkie mnóstwo niekraszonych kartofli. Prawie dzieckiem będąc dostał się do legionów i dopiero tutaj zaczęła się radość. Wojował zdaje się niewiele, natomiast gdzie mógł zdobywał jedzenie w sposób legalny i nielegalny i obierał się za wszystkie czasy. Od czasu do czasu coś ukradł, później przehandlował i czuł się znakomicie.

– Ja z tej wojny, panie plutonowy – oświadczył mi – wrócę bogaty... Łódź piękne miasto... dziewczynki, wódeczka, interesy... będę pływał jak pączek w maśle.

– Skąd ta pewność – pytałem – jeszcze wojna nieskończona... Trzaśnie cię w łeb i po wszystkich.

– Iiii – śmiał się – bo to prawda... ja nie jestem taki... jak bym chciał to samego sułtana wykiwam... przyjeżdżaj pan do mnie... będziesz pan miał u mnie złote życie.

Jakoś dziwnie kłaskał językiem, robił tajemniczy wyraz twarzy i oddalał się chybocząc biodrami, łamiąc się w pasie, podskakując i podrygując. Słabym był, biedak, prorokiem. – Następnego dnia maszerował przy jakimś wozie o kilka nacię kroków przede mną. Zauważyłem już poprzednio, że przy pasie zawsze nosi kilka granatów ręcznych. Robił to, rzecz prosta, nie ze względu na ewentualne niebezpieczeństwo, tylko dla fasonu. Wydawało mu się, że w ten sposób wygląda męźnie, walecznie, jakoś specjalnie bojowo. Szedł, chybotając się w pasie i pogwizdywał. Płowa czupryna błyskała w słońcu. Tutaj trzeba dodać, że używaliśmy wówczas kilku rodzajów granatów ręcznych. Francuskie jajowate – bardzo marne, nieco lepsze, niemieckie handgranaty, z drewnianymi rączkami, i rosyjskie granaty – Nowickiego. Te ostatnie uchodziły dłaczegoś za najlepsze i duży był popyt na nie. Miały dużą siłę wybuchu, ale, że nadziane były cienkimi blaszkami, więc raczej czyniły dużo dymu i huk. Prócz tego nigdy nie było wiadomo, czy granat w ogóle wypali, albo czy nie wypali w rękach.

W pewnej chwili, kiedy tak obserwowałem mojego chybliwego żołnierza, zobaczyłem jak z prawej strony, przy boku jego ukazał się błękitnawy dymek.

– Granat ci się pali! – ryknąłem nieludzkim głosem.

Ale ten wariat naprzód się obejrzał, potem zorientował się o co chodzi i gorączkowo począł granat odpinąć od pasa. Później widząc, że czasu już nie starczy, skoczył w rów, by uchronić innych od niebezpieczeństwa i w tym momencie rozerwał się na drobne części, gdyż pękły wszystkie granaty jakie posiadał. Niewiele z niego zostało. Prawie nic. Tylko połowa i wykrzywiona głowa. Tak wraz z nim zginęły wszystkie jego nadzieje. Nie napił się już nigdy więcej wody, deczki, ani nie zobaczył apetycznych łódzkich dziewczyneczek.

Tegoż dnia wieczorem o jakiejś 22 mieliśmy poważną potyczkę z bolszewikami. Chcieli urządzić nam zasadzkę, jednak zupełnie im się to nie udało. Maszerowanie w ciemności nie było bezpieczne, ze względu na szybkość marszu i szczupłość naszych sił nie mogliśmy się wystarczająco ubezpieczać. Co prawda od przodu powinny nas być ubezpieczać idące przed nami pułki legionowe 3 Armii, jednak łączność z nimi ciągle się rwała, bo albo posuwały się prędzej od nas, albo odchodziły na dalekie skrzydła, przebijając się z mozołem naprzód przez ciągle gęstniejącą nawałę bolszewicką. Dla bolszewików byłbyśmy łakomym kąskiem. Wieźliśmy przecież ze sobą dużą część majątku Armii. Mnóstwo papierowych pieniędzy, wszystkie archiwa i dużo cennych rzeczy wojskowych i cywilnych. W istocie byliśmy całym sztabem ścisłym, jakkolwiek szliśmy w oderwaniu od swoich pułków i dowódców. Dowodził naszym oddziałem wówczas kpt. H. – dosyć młody człowiek o inteligentnym obliczu opalony na brąz i świecący szkami binokli. Nie przejmował się zbytnio oddziałem i przeważnie nie było go widać, gdyż posuwał się gdzieś daleko na czołe, albo jechał na którymś z wozów. Zresztą oddział był zdyscyplinowany i składał się z wyborowych żołnierzy, przeważnie z legionistów, którzy z wojną byli dobrze otrzaskani, lub z młodzieży ideowej z Ukrainy, która odchodząc od swojej ziemi nic już nie miała do straceni, a bolszewików nienawidziła z całego serca.

Dnia tego już od rana utraciliśmy kontakt z czołowymi oddziałami i kpt. H. wydawał się nieco zaniepokojony. Nie jest wykluczone, że zmyliliśmy drogę, gdyż nasze polne szlaki często się wikały, rozwidlały szły nie wiadomo dokąd. Map dobrych nie mieliśmy, a przewodnika trudno było znaleźć, gdyż ludność uciekała do lasów. Był taki moment, że pochód nasz został zatrzymany. Stanęły wielkie tabory, liczące około tysiąca wozów i nasz oddział ubezpieczający oko-

to 800 ludzi. Żołnierze czym prędzej pokładali się na trawie. Po pewnym czasie zbliżyły się oddziały z ubezpieczenia tylnego. Bolszewików widzieli ciągle w pobliżu, ale musiały to być słabe siły, gdyż tylko obserwowały, nie zbliżając się na odległość skutecznego strzału. Podeszedłem do kpt. H., który stał w otoczeniu kilku oficerów z mapą w rękach. Sytuacja musiała być nieświeżna. Na twarzach dowódców widziałem wyraz dużego zatroskania. Droga została istotnie zmylona i łączność z własnymi pułkami zerwana. Staliśmy tak z godzinę, oczekując na powrót patrołów zwiadowczych, tym czasem każda chwila była droga, gdyż bolszewicy przecież nie czekali, a odległość pomiędzy nami i własnymi oddziałami musiała się powiększać. Około południa nadleciał samolot i jakiś czas krążył nad nami. Wyłożyliśmy znaki rozpoznawcze i lotnik zrzucił meldunek. Były tam oczekiwane rozkazy i widocznie wytyczenie dalszego planu marszu, gdyż niezwłocznie ruszyliśmy z miejsca.

Widok samolotu nasunął mi pewne wspomnienie. W Kijowie posiadaliśmy kilka eskadr, między innymi była tam jakiś czas słynna eskadra kościuszkowska. Trudno jest opowiedzieć w jakich warunkach pracowali nasi lotnicy. Maszynny z demobilu francuskiego i jakieś zdobywcze niemieckie, właściwie zupełnie już do lotów nie nadawały się. Widziałem samoloty stare, zużyte, postrzelane, które przebyły dobry kawał wojny na froncie zachodnim i jeśli jeszcze latały, to chyba tylko z przypadku. Każdej chwili mogły się rozlecieć w powietrzu. Wiadziałem, jak pracowali przy nich nasi piloci i mechanicy. Widziałem części powiązane drutami. Rurki i przewody wielokrotnie lutowane. Skrzydła poklejone. Baki pozatykane jakimś blaszkami. Strach było patrzeć na te maszyny, a coś dopiero na nich latać, zwłaszcza, że spadochrony nie były jeszcze w użyciu i lotnik, któremu maszyna rozsypywała się w powietrzu narażony był na niechybną śmierć. A jednak lotnicy nasi latali, dokazywali cudów odwagi, zadawali ciężkie straty nieprzyjacielowi i jeśli odwrót z Kijowa odbył się w takim porządku i prawie bez strat, to śmiało rzec można, że nie miała jest w tym zasługa naszych lotników.

Jeszcze w czasie pobytu w Kijowie, gdzieś w połowie maja otrzymałem rozkaz od mojego dowódcy, kapitana. G., abym poleciał z Januszem Meissnerem jako obserwator. Właściwie nie o to chodziło, gdyż o obserwacji powietrznej nie miałem pojęcia. Na pozycje bolszewickie należało zrzucić ulotki propagandowe. Bardzo to było zrobione chytrze. Wojsko bolszewickie cierpiało na brak zapasów oraz bibulek do kręcenia papierosów. Dostałem cały worek pudełek

z zapalkami. Pudełka były wypełnione tylko do połowy zapalkami, natomiast pozostałą część pudełka zajmowała cienka bibułka złożona kilkakrotnie. Na bibułce tej wydrukowane było wezwanie agitacyjne do żołnierzy bolszewickich, aby z nami nie walczyli i poddali się, gdyż my niesiemy spokój dla ludności, dobrobyt i sprawiedliwość społeczną. Oczywiście każdy bolszewik musiał się potakować na zapalki i bibułkę, a tym samym musiał przeczytać treść bibułki. Wylecieliśmy z rana przy pięknej pogodzie. Dotychczas nigdy samolotem nie latałem i przyznam się, że duszę miałem w piętach. Meissner, widząc moją niewyraźną minę, roześmiał się i poklepał mnie po ramieniu. Powiedział jeszcze, że moje zapalki więcej stracił przyczynią bolszewikom, niż jego bomby. Na wszelki jednak, widząc, wypadek zabrał również i bomby. Sześć ich zwiąsało nieprzejmennie u spodu samolotu, jak wielkie krople brudnej wody. Meissner wspaniale wyglądał w swoim kombinezonie i lotniczym hełmie z okularami. Podobny był do ognistego ptaka. Smagła twarz, orli nos, ostre wejrzenie, siwe, przeźroczyste oczy, pięknie wykrojone usta i zęby ośniewającej białości. Za takim to dopiero musiały szaleć kobiety. Przywiązywał mnie podwójnymi pasami do siedzenia. Worek był w ten sposób umieszczony, że przy pomocy dźwigu mogłem wysypywać dowolną ilość pudełek. Maszyna podskoczyła kilkanaście razy po lotnisku. Motor ryczał coraz prężniej i w pewnej chwili poczułem, że jestem już w powietrzu. Zamknąłem oczy z przerażenia, ale później zaraz je otworzyłem z ciekawości. Kijów oddał się szybko. Świecily oślepiająco niezliczone kopuły cerkwi. Kilka razy jakieś prądy powietrzne mocno rzuciły samolotem i poczułem okropne mdłości. Miałem już sobie za złe, że z rana wypilem podwójną porcję kawy i najadłem się małego mięsa, które nie wszystkim wychodziło na zdrowie. Z przerażeniem spostrzegłem, że nasz samolot jest cały posklejany i polatany. Widziałem jak płótno na skrzydłach wydyma się jakby chciało pęknąć i jak wibrują linki stalowe. Kilka razy coś mocno strześliło w rurach wydechowych. O, cholera – pomyślałem – nie ma już powrotu z tej podróży. Ta świadomość, że wszystko stracone dodała mi jakoś otuchy i zacząłem z ciekawością rozglądać się na wszystkie strony. Lecieliśmy wysoko nad korytem Dniepru. Wielki Dniepr z tej wysokości wyglądał jak srebrzysty strumyk. Widać było duże polany lasów o barwie ciemnozielonej i jasnozielonej łąk i pól. Teren był łagodnie pofalowany. Spoglądałem na plecy lotnika i na jego hełm. Zająty swoimi zegarami i sterowaniem od czasu do czasu podnosił głowę i rozglądał się po okolicy. Ogłuszony byłem warkotem silnika i czułem

w uszach nieprzejmienne klucie, ale mdłości jakoś szczęśliwie przeszły. Lecieliśmy w okolice Miezigoria. Miała tam być większa koncentracja bolszewików. Starali się sforsować w tym miejscu Dniepr. W jakimś jego odnodze mieli zebrać część swojej flotyli rzecznej. Pomimo, że wychylałem się z samolotu na ile mi pasy pozwalały i bacznie patrzyłem przed siebie – nic nie mogłem dojrzeć. W pewnym momencie zaczęliśmy błyskawicznie spadać w dół. Szybkość była tak wielka, że chwilami odrywało mnie od siedzenia i trzymałem się na samych pasach. Z początku nie wiedziałem, czy to jest planowany manewr, czy spadamy i Panu Bogu już duszę poleciłem. Okazało się jednak, że przedwcześnie. Samolot zboczył trochę w prawo od rzeki i zobaczyłem na wielkiej polanie, wśród lasu ogromną ilość taborów oraz koni luzem, co nasunęło mi myśl, że musi tu stać kawaleria. Ludzie dojrzeliby już samolot i tysiące figurek zaruszały się. Widocznie podrywali się od snu i odpoczynku. Pędziliśmy wprost na nich i obóz rósł w oczach. Meissner dał mi znak ręką, naciśnięciem dźwigni i tysiące pudełek poleciały na dół. Minęliśmy szybko obóz bolszewicki i skręciliśmy w stronę Dniepru. Na brzegu widać było kilka statków i duży ruch wśród żołnierzy. Lecieliśmy bardzo szybko i coraz niżej. Wreszcie zrównaliśmy się prawie ze statkami. Widziałem doskonale żołnierzy uciekających i strzelających. Nieomal mogłem odczytać nazwy statków i wydawało się, że słychać huk wystrzałów. Nie wiem, kiedy mój pilot zrzucił pierwszą bombę. Zobaczyłem, ogładając się, słup wody obok jednego ze statków, natomiast detonacji nie było słychać. Za chwilę zawróciliśmy i znów rozpoczął się atak na statki. Żołnierze już ochłonęli z pierwszej paniki i strzelali w naszą stronę leżąc, stojąc i kłęcząc. Musiały również strzelać karabiny maszynowe z łądu i ze statków. Nie powiem, abym się dobrze czuł, tym bardziej, że rola moja była zupełnie bierna. Mogłem tylko patrzeć i czekać, aż fikniemy krótkiego kozła w dół. Na ten raz już zauważyłem moment odcepienia bomby. Przelecieliśmy nad statkiem tak nisko, że wydawało mi się, iż zaczepimy o komin. Posłyszałem również detonację, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem nad jednym ze statków wielki słup dymu. Zauważyłem również w skrzydłach maszyny kilkanaście dziurek od kul. Pilot, zupełnie nie licząc się z moim przerażeniem, jeszcze dwukrotnie zawracał i dwukrotnie atakował statki, za każdym razem zrzucając po jednej bombie. W tym czasie przybyło w skrzydłach nowych kilkanaście dziurek od kul, a mnie włosy stały na głowie dęba. Potem zawróciliśmy jeszcze nad obóz bolszewicki, gdzie zrzucałem resztę zapalek, a lotnik pozostałe dwie bomby, co narobiło strasznego

bigosu wśród ludzi i koni. Propaganda poparta pociskami, czy też pociski poparte propagandą. Powrót był dla mnie bardzo radosny, ale okazało się, że cieszyłem się przedwcześnie. Ledwie mineliśmy Dniepr samolot kilka razy prychał i zaciął. Jedna z kul przebiła zbiornik z benzyną i Janusz musiał lądować na skrawku pola (szczegście, że było to już na terenie zajmowanym przez nasze wojska). Lecieliśmy lotem ślizgowym. Było to niespodzianie bardzo cicho i nie miałem żadnej nadziei na ratunek. Lądowanie odbyło się również dosłownie po grudzie. Myślałem, że mi wszystkie zęby wylecą i kichy popękają. Ale cud, że w ogóle wyładowaliśmy. Meissner został ranny w nogę, jeszcze nad statkami i stracił dużo krwi. Kiedy robiłem mu opatrunek zemdlał i nie mogłem się go docucić. Myślałem, że umarł. Jak zdołał doprowadzić samolot do pola i jako tako wyładować, nie mogę pojąć. Przeliczyłem dziurki w samolocie od kul. Było ich równo 32.

Ledwie zmierzch zaczął zapadać zaczęły się normalne w pochodzie okrzyki: „łączyć... luzuj... stać... lewa wolna”. Weszliśmy w gęste lasy i od razu ogarnął nas mrok. Upał ani kurz nie ustawał. Zmęczenie przemieniło nas dawno w śpiące automaty. Ból nóg odbierał chęć do życia. W ciemnościach nieprzejmnie było maszerować. Wozy najężdżały na siebie. Ludzie przewracali się i kłęli. Gąszcz z prawej i lewej strony nigdy nic dobrego nie wróżył. Posłyszałem jakieś krzyki na czołe i głos kilku wystrzałów. Obóz się zatrzymał. Przeleciał jakiś gońiec.

– Bolszewicy przed nami... wszyscy naprzód! – wrzasnął i pędził dalej.

Serce mi załomotało. Zebrałem szybko swój oddział i pobieglem przed siebie. Tymczasem krzyk zmagął się z chwilą na chwilę. Słyszałem już ryk „hurra” i strzelanina była coraz gęstsza. Nic nie widziałem. Obok stały wozy i konie. Ludzi nie było już widać – widocznie popędzili na przód. Bałem się, że możemy dostać ogniem z boku. Z resztą nie wiedziałem w jaki sposób można by użyć ludzi przy takiej ciemności. Po chwili kilka kulek gwizdnęło mi nad głową. Kto głosu lejących kul nie słyszał, ten nie wie ile ma on w sobie żałości i bólu. Zupewnie jakby duszę pomordowanych żołnierzy płakały. Żołnierze skupili się przy mnie blisko i po cichu nawoływali się. Kazałem iść po obydwu stronach drogi, możliwie nie skrajem, lecz lasem. Z resztą wrzawa bitwy była coraz bliższa i lada chwila mieliśmy w niej wziąć udział. Czułem w sercu drżenie. Tak zawsze było. Bywało również, że robiło mi się zimno i mdło gdzieś w żołądku. Strach, czy może nerwy? Zawsze przecież umiałem w sobie przemóc to drżenie, a póź-

niej, kiedy wir bitwy porywał, już nie czułem nic więcej, prócz tego, co instynkt samozachowawczy dyktował.

Pamiętam, kiedyś staliśmy na osłonie jakiegoś lasu. Bateria dział nieprzyjacielskich zaczęła lasek ten ostrzeliwać. Sześć dział. Sześć wybuchów gdzieś obok i dopiero znacznie później głos wystrzałów. Staliśmy bez ruchu, tylko konie bardzo się denerwowały. Nie było rozkazu odejścia i mieliśmy tkwić w przekłętym lasu. Ostrzeliwanie trwało około trzech godzin, ale wytrzymałość człowieka jest wielka. Nikt z nas nie zwariował, nie uciekł, chociaż każdy pocisk niósł zagładę bez możliwości jakiegokolwiek obrony, lub ukrycia się. Trzymałem się ostatecznym wysiłkiem woli; bałem się śmiertelnie. Myślałem, że boją się wszyscy. Czasami bywa, oczywiście szaleństwo, lub brawura, ale to jest również forma strachu. Tylko, że siła woli, posłuszeństwo, a czasem nienawiść, lub miłość silniejsze są od strachu. Przypominam sobie pewnego oficera, który przed szarżą lub bitwą drżał jak liść osiki i zawsze coś szeptał zbiełatymi ustami. W bitwie jednak był zupełnie opanowany i świecił bohaterskim przykładem.

Spotkałem rannego w rękę żołnierza. Niewiele wiedział. Bolszewicy podobno w dużej sile i z karabinami maszynowymi ukryci byli w lesie, tuż przy drodze. Szczęśliwie zostali wykryci przez naszą straż przednią i ten hałas, który był na początku, to był moment zetknięcia się z nimi naszych patroli. Kapitan H. zarządził niezwłocznie natarcie i doszło do wali wręcz, ale w tej ciemności nie sposób było ocenić jej wyniku. Zdaje się, że bolszewicy nieco się cofnęli. Kazałem nasadzić bagnety na broń. Tymczasem zaczęły do nas dołączać różne oddziały z taborów, które szły za nami. Byli to przeważnie żołnierze, którzy porzucili swoje wozy. Na każde 10 furgonów został jeden żołnierz. Przybiegł gońiec z rozkazem wejścia w las i ataku od prawego skrzydła. Kpt. H. był podobno ranny w nogę. Na czołe zaświeciło się jakieś światło. Ktoś podpałł sosnę, czy jakiś chrust. Słychać było detonację granatów ręcznych oraz gęstą strzelaninę z karabinów. Okrzyki jakoś ustały, z czego wznośliłem, że bolszewicy musieli zostać odparci. Wchodząc w las widziałem już kilka płonących sosen. Zaczęliśmy się przedzierać przez gęste zarośla. Było ciemno i jakaś gałąź o mało nie wykuła mi oka. Odblask płonącego lasu – orientował nas co do kierunku. Dbałem tylko o swój oddziałek. Każdy oddział miał ostatecznie jakiegoś swojego dowódcę. Co prawda dołączyło do nas dużo żołnierzy z innych oddziałów, które pogubiły się w ciemności. W pobliżu gdzieś latały kule i słychać było szelst spadających gałęzek obciętych przez wystrzały. Wystrzały były już zupełnie

bliskie. Ktoś wystrzelił białą rakietę. Cisnęliśmy kilka razy granaty ręczne. Po-
wstał straszliwy huk i piekielna wrzawa. Ktoś krzyknął „Naprzód... Na bagnie-
ty”. Zaczęliśmy krzyczeć w niebogłosy: „Hurra”. Pobiegłem wśród drzew. Obok
mnie biegło wielu innych. Wydawało mi się, że widzę jakieś cienie. Zatrzyma-
łem się i strzelałem w ich stronę. Potem jeszcze raz rzuciłem granat ręczny.
Przed nami paliły się już drzewa. Z oddziału kapitana bez przerwy szły rakiety.
W ich świetle było co nieco widać. Dobiegłem do jakiejś postaci i pchnąłem
bagnetem i w tej chwili potknąłem się o leżące ciało i przewróciłem się. Ktoś
krzyczał: „Spasi... spasi... pomiłuj... ooooo!” Po chwili krzyknął głośniejszym i umilkł.
Od płonących drzew było już prawie widno. Przyszedł rozkaz zdjęcia furazerek,
aby się odróżnić od bolszewików. Byłem zadyszany i mokry od potu. Obok ka-
rabinierze ustawili karabin maszynowy. Zaraz zaczął trajkotać w las. Poszliśmy
jeszcze raz do szturm. Wyrzuciłem resztę granatów. Potem leżałem i strzela-
łem przed siebie, aż wystrzelałem całą amunicję. Zaświeciła się zielona rakietka.
Oznaczało to zbiórkę. Przeliczyłem swoich ludzi. Kilku brakowało, ale była na-
dzieja, że się zapędzili za daleko i wkrótce wrócą. Niebawem ruszyliśmy dalej.
Kapitan H. istotnie był ranny i odtąd jechał już stale na wozie. Mieliśmy kilku
zabitych i kilkunastu rannych. Bolszewicy musieli stracić znacznie więcej. Nie
dowiedzieliśmy się nigdy – ilu. Z oddziału mojego nie powróciło ostatecznie
dwóch ludzi.

Tej nocy mieliśmy się jeszcze raz spotkać z grozą wojny. Jak wspominałem,
utraciliśmy z rana łączność z pułkami Armii, które nas ubezpieczały i przebi-
liśmy się naprzód w osamotnieniu. W kilka godzin po potyczce, kiedy odwa-
liliśmy kolejnych kilkanaście kilometrów, doszedł nas głuchy pomruk armat.
W miarę jak posuwaliśmy się, pomruk ten nabierał wyrazu, przeszedł przez
fazę dudnienia i wreszcie słychać było już wyraźnie huk poszczególnych wy-
strzałów. Musiało tam strzelać kilkanaście baterji, gdyż huk ten zlewał się cza-
sami w przeciągły, nieustanny ryk. Ryk ten podobny do ryku jakiegoś strasz-
liwego zwierza, do uderzania rozszalałych fal morskich, do grzmotów idącej
burzy – w ciemności i w naszym osamotnieniu, w naszej niepewnej drodze
robił przynębiające wrażenie. Niebawem do ryku tego doszedł warkot kara-
binów maszynowych. Z początku głos ten był podobny do czegoś przeciągłego
i równomiernego. Później poczęliśmy odróżniać głosy pojedynczych karabi-
nów maszynowych. Tych bliższych i tych dalszych. Musiało ich tam strzelać
niezliczone mnóstwo. Później dostaliśmy z resztą wiadomość, że biła się tam

cała nasza dywizja legionowa. Robiło to wrażenie wielkiej, rozszalałej fabryki
w pełnym ruchu. W miarę jak zbliżaliśmy się do miejsca bitwy, można już było
rozróżnić wystrzały karabinów ręcznych. Wystrzałów tych była cała chmara.
Widocznie żołnierze strzelali w pojedynkę i seriami. Gdzieś, ze strasznej, ciem-
nej dalekości dobiegały nas krzyki ludzkie. Każdy nastawiał ucha i słuchał, co
to są za słowa, ale słów nie było, tylko jakiś wrzask, jakiś jęk. Tak jęcząc czasami
ptaki zamorskie na odlocie. Nieco później słychać już było detonacje grana-
tów ręcznych i jakieś oddziały musiały iść do natarcia, gdyż razem z gorącym
wiatrem dolatywało do nas ogromnie z resztą ciche „hurra”. Tymczasem noc
się miała ku końcowi i na wschodzie niebo nabrało barwy jasnego granatu,
później ukazały się zwiewne seledyny i wreszcie brzegi tych seledynów poczęły
różowieć. Rosa spadała obficie i przez ciało przebiegały dreszcze. Zatrzymali-
śmy się na chwilę i miałem wrażenie, że my wszyscy, to znaczy cała ochrona
sztabów pójdziemy do boju. Patrzyłem na skraj lasu w przestrzeń, w której
kotłowała się bitwa, ale było jeszcze ciemno i niewiele widziałem. Całe pole
bitwy ukrywało się w szarości poranku i we mgłę. Z tej mgły dochodził piekiel-
ny hałas, jednak nic nie było widać. Zdawało się, że to walczy armia duchów.
Wkrótce skręciliśmy w bok i weszliśmy w jakąś dużą zupełnie pustą wieś ru-
ską. Koło cerkwi musiała być gorąca potyczka. Leżało tam w rowie kilkanaście
trupów. Wśród nich, odkryłem niestety kilka w naszych mundurach. Ciała po-
krzywione, nogi podgięte w ostatnim skurczu, twarze skrwawione. Ludzie ci
żyli jeszcze przed kilkoma godzinami. Teraz robili wrażenie wielkich, szarych
liszek, nie wiadomo po co tutaj rzuconych. Bitwa wrzała tuż obok i mijaliśmy
ją, ocierając się o nią bokiem. Przy końcu wsi widziałem potrzaskane kuch-
nie polowe, powywracane armaty z rozbitymi kołami, ruiny jakieś chaty, tru-
py końskie i ludzkie. Nie darmo koń zawsze był przyjacielem człowieka. Dzieli
z nim również zgon bitewny, jakkolwiek nie jest to sprawiedliwe. Musiała tutaj
gęsto bić artyleria. Droga pełna była lejów armatnich. Kiedy ze wschodu po-
częły wytryskiwać purpurowe promienie jutrzienki, minęliśmy już wieś i bitwa
została za nami. Wielki rozgwar zaczął zamierać, przycichać, ginąć, aż wreszcie
pozostało tylko dudnienie, później daleki szmer i potem wszystko ustało. Dzień
wstawał jasny, na nowo gorący. Wspaniały dzień letni. Nie miałem odczucia
rzeczywistości. Nie mogłem zrozumieć, że ta bitwa była naprawdę, że trwa
gdzieś jeszcze poza nami. A był to początek czwartego dnia naszego odwrotu
i polska ziemia była już niedaleko.

Jakoś w niedługi czas potem zbliżył się do mnie goniec i zakomunikował mi, że kapitan D. wzywa mnie do siebie. Zdziwiłem się nieco i nie mogłem się domyśleć, jaki może mieć interes do mnie. Znalazłem go w samotnej chatce na skraju jakiegoś wioski. Znajdował się w otoczeniu kilku oficerów oraz podoficerów z naszego oddziału. Kapitan D. był bardzo przystojny. Wysoki, szczupły, zgrabny. Słynał z odwagi i surowości. Żołnierze bali się go jak ognia. Dowodził naszym kontrywywiałem. Po chwili spostrzegłem dwóch bladych ludzi w cywilnych ubraniach, stojących pod piecem w towarzystwie kilku żandarmów.

– Plutonowy weźmie tych ludzi i zastrzeli za chatą – usłyszałem rozkaz. – Są to szpiedzi... z wyroku sądu polowego skazani zostali na śmierć.

Słyszac te słowa zatrzęsłem się i zapewne zbladłem nie mniej od skazańców.

– Jak... jak... co... mam zrobić? – jęknąłem.

Kapitan D. spojrzał na mnie bardzo nieprzyjemnym wzrokiem.

– No, już! – rzucił twardo. – Brać i strzelać!

Poczułem w sobie taki sam chłód, jaki czułem w obliczu lejących kul.

– Czy ... czy mam wziąć pluton egzekucyjny? – szepnąłem, wiedząc z góry, jaką otrzymam odpowiedź.

– Czy plutonowy oszalał? – zapytał kapitan, śmiejąc się sucho. – Nie mamy chwili czasu do stracenia.

Oczywiście, rozumiałem to doskonale, ale zupełnie co innego dowodzić plutonem egzekucyjnym, kiedy 10 czy 12 kul jest bezimiennych, a co innego znowu wprowadzić na pole dwóch bezbronnnych ludzi i zastrzelić ich jak wściekłe psy.

– Wezmę swoich ludzi i potem dopędzę oddział... to nie potrwa długo – powiedziałem martwym głosem.

– Plutonowy, widzę, żartuje – zasycał kapitan. – Cóż to znowu za targi!

Stałem na pół martwy i chyotałem się na wszystkie strony. Jak przez mgłę widziałem twarz oficerów, żandarmów i nieszczyśliwych delikwentów. Rozumiałem całą beznadziejność sytuacji, ale czułem jednocześnie, że nigdy nie będę mógł zastrzelić tych ludzi. Nie miałem w sobie dość na taki czyn odwagi, czy może okrucieństwa, jak również przeskadało to wszystko, co było ludzkim sumieniem i żołnierskim honorem.

– Panie kapitanie – powiedziałem drżącym głosem – nie będę mógł tego rozkazu wykonać.

Kapitan D. podskoczył jakby go giez ugryzł.

– Co... jak!? – ryknął. – Dłaczego?

Otarłem pot z czoła i wyprężyłem się, aż ścięgną zabolali.

– Nie mogę – wyrzuciłem z siebie z męką, gdyż subordynowanym byłem żołnierzem. – Nie mam w sobie siły, aby zabić bezbronnnych ludzi... gdybym miał pluton, to tak... a tak nie mogę... Jestem żołnierzem, ale nie mogę być katem... Mogę iść do szturm i walczyć... tam będę zabijał, bo to co innego... mogę iść na wywiad za front... mogę iść na pewną śmierć... na druty, na karabin... wszystko jedno, bo jest walka, ale bez walki... na zimno trzepnąć w łeb tym ludziom, chociaż wiem, że to są zbrodniarze... nie mogę... nie mogę... nie mam siły.

Musiąłem wyglądać nieszczególnie, gdyż kapitan spojrzał na mnie uważnie i już się nie upierał, tylko zapytał spokojnie.

– Zdajecie sobie sprawę, co was czeka za niewykonanie rozkazu?

– Tak jest – powiedziałem głośno.

Kapitan rozejrzał się po izbie.

– Kto na ochotnika? – zapytał.

Wysunął się olbrzymi plutonowy Kr. mój kolega z oddziału. Na jego ogorzałej, okragłej twarzy malowała się radość. Na delikatnych, trochę dziewczęcych ustach drgał złowrogi uśmiech.

– Ja... panie kapitanie... chętnie.

– Dobra jest... bierzcie ich.

Do mnie się zwrócił uśmiechnięty, co jakoś nie pasowało do jego zimnej, surowej twarzy.

– A wy pójdziecie i będziecie towarzyszyć plutonowemu Kr... trzeba się wojny uczyć... miękkie serca niepotrzebne są Polsce.

Chlasnął mnie tymi słowami jak szpicrutą, chociaż, naprawdę nie czułem się winny.

Plutonowy Kr. wywlokł skazańców z chaty. Wyszędłem za nim. Stanęliśmy za chatą, tak, że z drogi nie było nas widać. Przed nami kołysały się niezmiernie łan zboża już nabierającego złotawej barwy. Na horyzoncie siniły lasy i tam, za tymi lasami trwała jeszcze bitwa. Śpiewały skowronki. Od ciągnących oddziałów szedł jednostajny odgłos skrzypienia i powłóczenia.

Jeden ze skazańców nieduży, młody żydek trząsł się i płakał. Łzy po twarzy jego spływały brudnymi strugami. W wielkich, czarnych oczach migotało

straszliwe, prawie obłąkane przerażenie. Upadł na kolana i coś bełkotał. Ślina ściekała mu z ust na nieogoloną, granatową brodę.

– Uj – rzęził – jestem niewinny... jak Boga Kocham... uny mnie w zbożu znalazły, ale ja wcale nie podglądałem... była bitwa i ja uciekłem ze strachu... sam nie wiem, co się ze mną działo... uj, ja proszę panów żołnierzy mnie puścić, bo ja muszę iść do domu... ja nie mogę umierać... moja matka będzie czekała... uj, co ja zrobię.

Wił się po ziemi, tarzał w kurzu, łapał nas za nogi i całował nasze szare, zniszczone buty, polewając je łzami. Być może, istotnie nie był winny, ale któż to mógł zbadać. Należałoby przeprowadzać śledztwo, mieć trochę czasu, badać jakichś świadków. Znalezione go w zbożu jak komuś dawał jakieś znaki. To wystarczyło za akt oskarżenia. Prawa wojny są okrutne, a procedura szybka. Minęła zaledwie godzina od chwili, kiedy został schwytany, a za chwilę miało być już po wszystkim... już po życiu.

Nie mogłem patrzeć spokojnie na jego mękę, z drugiej znów strony kłotała się we mnie jakaś niezdrowa ciekawość. Tajemnica śmierci ma w sobie coś równie pociągającego jak głęboka przepaść. Chciałoby się zajrzeć w tę ciemną otchłań, aby tam dojrzeć odpowiedź, aby odnaleźć samego siebie... tam na dnie... zdruzgotanego i nikczemnego, albo wolnego i nieśmiertelnego. Cóż mogłem znaleźć według tego okrucieństwa ludzkiej nędzy i męki.

Drugi ze skazańców zachowywał się zupełnie inaczej. Z większą godnością i z większym spokojem. Może po prostu miał mocniejsze nerwy, a może uważał śmierć swoją za słuszną i sprawiedliwą. Był to szczupły, wysoki chłop ukraiński, o rozchełstanej koszuli na piersiach, spod której wylażyły rude, zmierzwiłone włosy. Na głowie miał kopę rudych włosów i nieco mongolską twarz pokrytą wielką ilością piegów, które zlewały się w jedną żółtą plamę. Spoglądał na nas bez obawy.

– No, szczoż? – powiedział – zakurty dajcie panowe.

Plutonowy Kr. odmówił, ale ja podałem mu skwapliwie papierosa i zapaloną zapalkę. Zaciągnął się kilka razy mocno.

– Szczob wy propały – powiedział spokojnie – no strylajcie, a to ne zduszajete... meni bajduże, ale ta ziemia moja zostane.

Była w tych słowach jakaś дума i chłodna nienawiść. W plutonowym Kr. Musiało drgnąć ludzkie serce.

– Dam wam możność ratunku – powiedział – zdejmując karabinek z ramie-

nia – kiedy powiem „raz” zaczniecie uciekać... będę liczył do dziesięciu i nie będę strzelał, a potem strzelę do każdego tylko raz... jeśli nie trafię wasze szczęście... możecie uciekać dalej... pierwszy uciekasz ty – powiedział do żydka.

Rzecz prosta, była to zabawa w kota i myszkę i szansa żadna. Plutonowy doskonale strzelał, a że nijako mu było strzelać przy mnie prosto w łeb, urządził coś w rodzaju zawodów myśliwskich.

W zapłakanych oczach żydka zapaliła się nadzieja. Była to bardzo żałosna isierka.

– Uj – pisał – pan naprawdę strzeli tylko raz?

– Tak... tylko raz – potwierdził ironicznie, ale żydek tego nie zrozumiał.

– Niech pan tylko szibko nie liczi – szepnął wstydliwie i na twarzy rozlał się wyraz błagania.

– Biegnij już! – krzyknąłem nie mogąc znieść tej męczarni. Plutonowy powiedział „raz”. Żydek puścił się w straszliwym biegu w pole. Zaszleściły kłosa. Poły chałata skazańca rozwiewały się jak dwa czarne skrzydła. Pędził z niepojętą szybkością. Po prostu unosił się w powietrzu. Plutonowy wziął go na muszkę i spokojnie, głośno liczył: „dwa... trzy... cztery”. Przy „dziesięć” strzelił. Żydek wyleciał w powietrze, fiknął tam długiego kosa i rozpostarty zniknął w zbożu. Plutonowy zwrócił się do chłopca.

– No, teraz ty pobiegaj sobie trochę.

Chłop przymknął zielone oczy przez twarz jego przeleciał skurcz mięśni. Uśmiechnął się popękanymi wargami i podrapał w skołtuniony, rudy łeb.

– Nie treba – powiedział – ne choczcu.

– Jak to... nie chcesz?

– Ne budu ja tobi bigaty... szczob ty propały... strilaj tak... meni bajduże.

Plutonowy przyłożył mu lufę do głowy. Chłop zaciągnął się jeszcze raz pierosem. Rozległ się strzał i zobaczyłem jak ludzkie nogi pośpiesznie drgają kurcząc się i prężąc.

Plutonowy Kr. Poszedł później w pole i dobił żydka. Zdaje się, że nie był on nawet ranny, a tylko zemlał ze strachu, lub udawał zabitego.

Bardzo ponury dołączyłem do oddziału. Musiałem się dobrze naganiać, za czym oddział dopędziłem. Opowiedziałam całą historię Henkowi.

– Toś wsiąkł – powiedział – zgnijesz w kryminale, albo cię rozstrzelają za nieposłuszeństwo.

Wzruszyłem ramionami.

– Trudno – odpowiedziałem – raz kozie śmierć... nie mogą tylko zrozumieć dlaczego kapitan mnie akurat wybrał na wykonawcę wyroku.

– Bo masz szczęście – rzucił Henek. – Chciał ciebie wyróżnić...

– Ładne szczęście – mruknąłem z goryczą – miał przecież stu innych do wyboru, a wybrał właśnie najmniej zdolnego.

Zagadka ta była niewyjaśniona długie lata. Ja, oczywiście do sprawy nie powracałem i w ogóle starałem się jak mniej włączyć kapitanowi w oczy. Wojna minęła, a później lata biegly szybko i dopiero przed rokiem, czy przed dwoma spotkałem się przypadkowo z kapitanem D.

– Niech mi pan powie – zapytałem – o co wtedy poszło... dlaczego mnie pan wtedy upatrzył?

– Chciałem pana wypróbować – odpowiedział. – Miałem niesłychanie ważne zadanie do spełnienia i szukałem odpowiedniego człowieka.

– No i co?

– No i nic – uśmiechnął się. – Egzaminu pan nie zdał.

– Nie żałuję do dzisiaj – oświadczyłem po chwili namysłu.

– Pewnie ma pan rację – powiedział – i dlatego dałem panu później spokój... zdaje się, że ja również nie umiałbym zabić bezbronnego człowieka... nawet myślałem o tym dużo... no, ale zawsze musi być ktoś, kto wojnę będzie spełniał do końca i bez litości... ktoś ją przecież musi wygrać.

Kres naszej wędrówki zbliżał się szybko. Polska już była blisko. Już ją prawie było widać. Już pachniała. Już szumiąca dojrzwającymi kłosami. Gorącym, błękitnym niebem nas witała. Trudno jest opowiedzieć ileśmy sobie – my kresowi żołnierze – ją wytęsknili i wymarzyli. Szliśmy oto w udręce. Zwycięska armia była w odwrocie – a myśmy szli w krwi, w prochu i w pocie. Odchodziliśmy od przeszłości, która sobie tysiąc lat bez mała liczyła. Zostały tam – na polach i na stepach – kości ojców, marzenia, wspomnienia, wsiłki niezliczonych pokoleń, wielki ciężar historii. Któż mógł wiedzieć, co będzie? Wydawało się, że to jest niepowodzenie chwilowe, że wielka karta rzucona przez Komendanta na szalę wojny odwróci się jeszcze i jeszcze powrócimy tymi samymi szlakami po zwycięstwo już ostateczne. Niech nikt nie przypuszcza, że żołnierze z Wielkiego Odwrotu, opuszczali ziemię kresową biernie i bezmyślnie. Zwłaszcza ci żołnierze, którzy odchodząc od tej ziemi, odchodzili od swojej młodości, od domów rodzinnych, od przeszłości, od posterunków, na których trwały całe pokolenia. Pamiętam, czytając znacznie później książkę Remarque'a o wiel-

kiej wojnie byłem zdumiony jej bezieowością. Tak mógł pisać człowiek i tak czuć żołnierz, który nie kochał swojej ojczyzny. Wojna, którąśmy prowadzili, to nie tylko były cierpienia, wyrzeczenia, nędza, wszy, ból, zniszczenie i przerażający strach śmierci, ale to również była sprawiedliwość, wolność, poezja idei, wspaniały patos miłości i młodości. Z krwi i z cierpienia płynęło wyzwolenie i ta świadomość miała w sobie czar porywający i jedyne piękno na świecie. Wojna nasza miała dwa oblicza. Jeśli jedno było wykrzywione męką, to drugie było rozpromienione szczęściem i tego może nie rozumiałby Remarque. Armia owego czasu, poczynając od czasów legionowych, była właściwie armią ochotniczą i żołnierz szedł do walki przeważnie z całą świadomością swojego czynu. Dlatego, zapewne, było tam smutniej odchodzić, ale też ostatecznie armia taka musiała zwyciężyć. Stąd dzisiaj, odwrót spod Kijowa musi być rozpatrywany jako jeden z fragmentów – zwycięstwa. A wtedy – w tych czasach upalnych i zdyszanych od wielkiego wysiłku, wierzyliśmy w zwycięstwo nawet wbrew faktom i oczywistości. Zwłaszcza my – romantyczni chłopcy z Kresów – którzyśmy nie tylko Polskę kochali, ale byliśmy tą miłością urzeczzeni, byliśmy opętani od dawnych czasów i od wielu pokoleń. Większość z nas – z naszego kresowego oddziału, nigdy poprzednio Polski nie widziała i nie miała o niej żadnego konkretnego wyobrażenia. Staram się też w tej chwili sobie przypomnieć jak naprawdę ta Polska wyglądała w naszym pojęciu.

Pamiętam byłem wtedy jeszcze małym chłopcem, kiedy przez ziemie ukraińskie przeszedł pierwszy powiew rewolucji. Nie rozumiałem z tego wiele i coś nie coś zostało mi tylko z tych czasów w pamięci. Wiedziałem jednak, że ojczyzna jest w niewoli i że jednym z grabieżców jest Rosja. Jedyny zaszczyt i łaska płynąca od Boga, to być Polakiem i wierzyć w Polskę i żyć dla Polski. Dom był jeszcze pełen pamiętek i wspomnień po Powstaniu. Rodzicie moi i chyba rodzice wszystkich kresowych dzieci, nie uważali wcale Powstania za odruch szaleńców i straceńców, który należy przeboleć i o którym trzeba czym prędzej zapomnieć. Wprost przeciwnie. Była to epoka, o której wspominało się ze czcią i pietyzmem, której wypadki rozpamiętywało się wielokrotnie i która żyła w pokoleniach jako wzór godny naśladowania, jako przykład ofiary i walki sprawiedliwej. To wcale nie było klęską, ani hańbą, że walka została przegrana, że tysiące najszlachetniejszych poszły na zatrącenie. Przyjdą nowe tysiące i znów pójdą na zatrącenie, aż się dokona sprawa wyzwolenia. Wojna rosyjsko-japońska i idąca w ślad rewolucja 1905 roku targnęła nadzieją patriotów.

Zbierali się ludzie w naszym domu i prowadzili długie, gorączkowe rozmowy. Przedziwne typy wąsate, brodate, o rozwianych czuprynach, z ogniem w oku zasiadały wieczorami przy herbacie i coś dowodziły, o coś się spierały. Polska, rewolucja, wojna, królestwo, Japonia, Kraków – nie schodziły z ust. Siedziałem zasłuchany, aż wyrzucano mnie spać. Szedłem samotny do pokoju dzieciennego i nie mogłem usnąć. Tymczasem z przyległego pokoju dolatywał hałas rozmów, aż wreszcie kończyło się wszystko na chóralnym śpiewie: „Z dymem pożarów” i „Boże coś Polskę”. Opanowywała mnie bezmoc straszliwa. Rozumiałem, że nic jeszcze nie jest dokonane. Łzy z oczów zaczynały tryskać strumieniami i tak mokry od łez i okropnie nieszczyśliwy usypiałem. Później przychodziły dni, kiedy w ostatecznej rozpaczy tłukłem głową o ścianę i swój dziecięcy łeb rozbijałem w tęsknocie do Polski, której nie było na żadnej mapie, chociaż była w tysiącach i milionach serc.

Kiedy poszedłem do gimnazjum, czułem się cudzo i samotnie w obcym środowisku. Rosyjskiego języka nie znosiłem, nienawidziłem Rosjan – nauczycieli, gardziłem kolegami – Rosjanami. Byli wśród nich na pewno również ludzie mili i wartościowi, ale dla mnie wystarczało, że należeli do Rosjan i wszyscy mi jednakowo byli nienawistni. Każdy dzień wśród tych ludzi, każda godzina nauki języka rosyjskiego, lub kłamiwej i oburzającej historii Rosji, każdy nawet objaw zrozumienia albo współczucia ze strony tych moich wrogów, to było niekończące się pasmo udręki.

Gdzieś w pierwszej, czy drugiej klasie siedziałem na ławce z Saszą Wariagim. Był to typowy Moskal, o twarzy wystarczająco mongolskiej i niespokojnym charakterze. Zbieraliśmy wówczas zapamiętałe znaczki pocztowe i stąd kwitł między nami nieustający handel. Przyniosłem kiedyś jakieś cenne Tahiti, czy inną Gwineję lub Luksemburg. Sasza po dokładnym obejrzeniu zapalił się do znaczka i pyta:

- Ile chcesz za to?
- Rubla.
- Za drogo.
- Jak chcesz... Tyle zapłaciłem.
- Opuść co.
- Nie... nie będę do ciebie dokładał.

Sasza zdenerwował się. Wyszperał z kieszeni rubla i rzucił mi go z pogardą.

- Masz – powiedział ze złością – weź sobie tego głupiego rubla.

Pieniądz potoczył się i upadł przede mną w całej potęgze straszliwego, dwugłowego orła. Zostałem wstrząśnięty. Pomyślałem sobie, że to przecież znak, święte godło, symbol jego ojczyzny. Cóż bym uczynił, gdyby tak na pieniądzu widniał w tej chwili znak mojej Ojczyzny – Biały Orzeł. Oszalałbym ze szczęścia. Pocułem w sobie tyle nienawiści do tego wrogiego i okropnego symbolu i tyle tęsknoty, tyle pragnienia za własnym symbolem, że aż mi oddech zaparło. Sasza patrzył na mnie zdumiony, a mnie przez palce lały się łzy i padały na rubla, na ławkę i na cały smutny świat. Jakże mu miałem wytłumaczyć, o co poszło.

Gdyby mnie ktoś zapytał, o jaką Polskę chodzi, nie umiałbym odpowiedzieć. Wiedziałem, że w Polsce nie jest dobrze. Wiedziałem, że rozerwana na trzy części, zabita moralnie, wyszana gospodarczo przez zaborców, kona.

Pierwszym budowniczym Polski rzeczywistej, tej zbliżonej do ideału – był przed Komendantem – Sienkiewicz. Jego „Trylogia” wśród młodzieży kresowej czyniła cuda i znów należałoby zaprzeczyć każdemu, kto chciałby twierdzić, że jego postacie bohaterskie były urojone, że wyrastały tylko z marzenia i z wyobraźni. Nie – te postacie wśród nas żyły. Przenikały do rdzenia duszy. Wchodziły w serce i w krew. Czytaliśmy te powieści we łzach i uśmiechach. Czytaliśmy je niezliczoną ilość razy. Umiąłem całe rozdziały na pamięć. Wiedziałem na jakiej stronnicy jakie się dzieją zdarzenia, jakie padają słowa, jakie spojrzenia, i jakie rumieńce na twarzy mają bohaterowie. Ileż dumy, ile godności narodowej, ile wiary we własne siły, ile nadziei na lepszą przyszłość płynęło z tych kart. Niezapomniane, najlepsze chwile dalekiej młodości nad tymi książkami spędzone. Wielka danina entuzjazmu – jakby przedszkole do tej szkoły żołnierskiej, którą miał nam ofiarować Komendant.

Cały Naród czytał te karty z zapartym oddechem, ale były one pisane jak gdyby dla nas, dla ludzi z kresów i o nas były pisane, aby cała Polska przykładała i natchnienie.

Było nas na tych ziemiach kresowych pewnie z półtora miliona, a może i więcej, ale do Polski w Wielkim Odwrocie wracali już tylko niedobitki. W wojnie światowej, w rewolucji rosyjskiej stracone zostały ostatnie pozycje. Kiedy na dwa lata jeszcze przed odwrotem przejechałem wzdłuż i wszerz na koniu Ukrainę, widziałem tylko pożary, tylko zgłiszczą, tylko łuny, tylko trupy, tylko wydziedziczonych, wyzutych z odwiecznej ojcowizny, przerażonych, obłąkanych ludzi. Podobno majątek jaki Polacy stracili na Ukrainie wynosi kilka miliardów złotych rubli. Kilkaset tysięcy ludzi oddało życie w tym nowym potopie,

a reszta... jeszcze milion tych, co pozostali poszła w rozsypkę, na poniewierkę wśród dzicy bolszewickiej, na rozproszanie i wynarodowienie w oceanie przeobrażającej rewolucji rosyjskiej. Śniegiem to dzisiaj zasypane. Jedna wielka mogiła. Ostatni kurhan kresowy.

Ci, co szli w odwrocie, dobrze Polskę mieli w sercu. Setki lat trzeba było w stanicach kresowych wycierpieć, aby na taką Polskę sobie zasłużyć, setki lat ofiarę krwi i pracy trzeba było składać, aby zdobyć sobie prawo powrotu. Kiedym patrzył na twarze mych kolegów, to były to twarze rycerzy kresowych. Takie same twarze jakie widuje się na starych portretach. Ciemne twarze, wychudzone, umęczone, z wyrazem nieodwołalnego postanowienia w ustach, ze światłem dalekiego, prawie szalonego marzenia w oczach. Były to twarze młode, ale już ponure, już zacięte, już wściekłe. Twarze ludzi z Kijowa, z Humań, z Białej, z Żytomierza, z Winnicy, z Perejaśławia, z Kamieńca, z Czarna Tomeliku, z Odessy, z Czernichowa – ze starych dworów, z pałaców, z chat, z mieszkań miejskich, z chutorów, ze stepów, z lasów, z ostępów i Bóg wie skąd. Śpiewny, ale czysty słyszałem język – niezapomniany, troskliwie zachowany, przechowywany przez całe wieki i teraz niesiony w progi ojczyste. Chaty, pałace i dwory pozostały w ruinach. Gromady nędzarzy w odwrocie z burzy dziejowej szły ponure i milczące. Tylko serca pozostały nietknięte – wracały ze szlaków dalekich, z wędrówki przez czas cierpki, przez przestrzeń znojną – wierne i ufnie. Ojczyzna serca tułaczę przygarnie, ciepłym ramieniem obejmie, przytuli i pocieszy. Ojczyzna jest jedna. Ojczyzna jest dobra. Matka dla wszystkich swoich dzieci.

Dnia tego, a był to piąty dzień odwrotu, ledwieśmy nogi swoje i ciała umęczone wlekli. Gdyby nie świadomość, że granica jest już blisko, że lada chwila zacznie się już dla nas Polska, niejedyn z nas, nawet z najmocniejszych, padłby na ziemię i w śmiertelnym śnie wyczerpania, nic by już nie czuł i o niczym nie myślał. Nie wiem, czy to ze zmęczenia, czy może naprawdę tak było, ale kurz tego dnia był jakiś jeszcze gęstszy i jeszcze duszniejszy, słońce paliło gorzej, pragnienie spieczonym oddechem rzeziło w gardle, nogi – pozbawione skóry piekły żywym ogniem, sen mgłą przesłaniał oczy. Byliśmy u krańca sił ludzkich, a tymczasem, gdzieś z dala i jakby przed nami znów biła artyleria i głuchy odgłos warczał, dudnił i jęczał nad wlokącym się obozem. Ktoś krzyknął:

– Chłopcy, Malin już widać... Polska przed nami.

Gwałtowny prąd przebiegł po ludziach. Pędem wybiegłem na jakiś wzgórek

i zobaczyłem ogromnie jeszcze daleko dachy domów lśniące w słońcu. Jakieś budynki. Szeregi czerwonych wagonów.

– Boże... Polska... tam ma być Polska... już koniec naszej udręki.

Zatkało mnie na dobrych kilka minut, a potem poczułem gorącą wilgoć kręcącą się w oczach. Z jakimś niesamowitym wrzaskiem radości zleciałem do swojego oddziału i swoich wozów. Tymczasem już oddziały maszerowały szybko. Na wszystkich twarzach, na twarzach wychudłych, okropnie brudnych, szczyrzył zęby radosny uśmiech. We wszystkich oczach, oczach zapadniętych, przekrwionych, znużonych od słońca i kurzu, promieniata radość. Jak za dołknięciem czarodziejskiej różdżki minęły wszystkie cierpienia. Nikt nie czuł już zmęczenia, senność już nie dręczyła, nie paliło pragnienie, nie piekły nogi. Niektóre grupki maszerowały już w nogę. Żołnierze przyzwyczajeni trzymali karabiny na pasku. Słychać były śmiechy, żarty i okrzyki. Nadzieja wstąpiła w serca. To już jest koniec odwrotu. To odpoczynek. Nic nas złego już nie może spotkać.

Przed Malinem zatrzymały się nasze treny. Huk armat wzrósł na siłę. Przyszły wiadomości, że bolszewicy ostro atakują miasto, chcąc przede wszystkim zdobyć dworzec i odciąć w ten sposób możliwość dalszego odwrotu kolejną. Pułki naszej armii starają się zepchnąć nieprzyjaciela na bok. Ze wzgórz widać jak od Malina idą nasze tyraliery. Posuwają się wolno. Zapadają wśród zbóż. Potem idą znów na przód i bolszewicy cofają się, aż na linię dalekich lasów. Myślałem, że na ten raz zostaniemy już na pewno użyci do boju, jednak widocznie nasz beznadziejny stan fizyczny został wzięty pod uwagę, gdyż oddziały dnia tego pozostały nieruszone.

W pewnej chwili wpadł do nas sierżant Ćwiek i zakomunikował, że najwyższą za godzinę wejdziemy do Malina i dostaniemy wreszcie odpoczynek. Bolszewicy zaczęli się podobno cofać. Wiadomość ta wniosła nowe ożywienie w gasnącą już nastroje. Ciężka była droga do Ojczyzny, ale już pozostawał do Niej kilometr bezdroży. Już dojdziemy na pewno.

Wszyscy – Kresowiaczy – zebraliśmy się w jedną dużą grupę przy drodze. Potem weszliśmy na skraj lasu. Usiedliśmy pod drzewami, upadliśmy pod krzakami, wśród świeżo zielonych liści paproci. Niektórzy zdjęli furazerki z głów i ocierali pot z czarnych twarzy. Inni zapalili papierosy. Były to znakomite papierosy amerykańskie. Miały delikatny smak i słodki zapach. Byli również tacy, którzy zaczęli już drzeć, błędnie spoglądając wokół.

Słońce już było bliskie zachodu i rzucało pomiędzy drzewami długie, skoś-

ne, czerwone smugi. Pachniało gorącym lasem. Brzęczały owady. Serce miało pełne radości. Wstałem i chciałem coś powiedzieć do moich kolegów, ale to było trudno, bo cóż można mówić. Gardło miałem ściśnięte.

– Chłopcy – wykrztusiłem – chłopcy... rozumiecie chyba... doszliśmy.

Słowa moje musiały znaleźć dużo zrozumienia, gdyż szereg głosów odpowiedział na różne tony i z różnym wyrazem:

– Ano tak... doszliśmy... doszliśmy.

– Chłopcy – jękałem się dalej – to jest chyba taka chwila... taka chwila, że każdy będzie o niej pamiętać całe życie... Polska jest o miedzę... rozumiecie chyba...

– Tak... tak – odezwały się głosy – prawdę mówi... dobrze mówi... mów bracie, dalej.

– Nic nie mam do gadania – powiedziałem – tylko musicie wiedzieć, że to jest prawda.

Ukłękliśmy tego dnia, o zachodzie słońca, w lesie i zaczęliśmy się modlić. Nie była to modlitwa głośna, ale bardzo mocna... aż serce zamierało z wielkiego szczęścia i z dziękczynienia najgłębszego za siebie i za wszystkie minione pokolenia. Nie powracali to przecież synowie marnotrawni, ani zbląkani, tylko wierni i uczciwi. Nie powracali w spokoju i w wygodzie – tylko w boju i w znoju, w kurzu i w krwi.

Nie wiem później jak inni, ale zdaje się tak wszyscy uczynili. Przypadłem do ziemi ustami i całowałem ustami spieczonymi ziemię pachnącą igliwem, żywicą, grzybami, leśnymi kwiatami i jeszcze jakimś spokojnym, cichym usypianiem. Zupełnie jak piersi matki i śpiew kołysanki, w którym jest miłość i cisza.

W ten nastrój wpadł sierżant Ćwiek, który zawsze umiał wyrażać nowości, z wrzaskiem:

– Chłopcy... gazeta... zdobyłem gazetę!

Pędził i powiewał szarą płachtą papieru nad głową. Rzuciliśmy się na niego jak żbiki. Byłem już w obawie, że z gazety pozostaną strupy. Jakoś się jednak uciszyło i najlepszy wśród nas lektor zaczął odczytywać bardzo głośno i wyraźnie artykuł wstępny. Słuchaliśmy początkowych słów rozradowani. Była to przecież pierwsza gazeta z Polski. Święte słowa drukowane. Nieomyne i prawdziwe. Byliśmy tych słów spragnieni. Wchodziliśmy oto od dzisiaj w nowy świat i już ten świat stał nam słowa swoje. Tyle lat nie mieliśmy prawdziwych wiadomości z Polski. Tyle słów łudziło nas i zwodziło. Tyle się stało spraw wszelkich

w czasie naszego odwrotu, ale i przedtem nie czytaliśmy przecież wiele. W czasie zajmowania Kijowa nie było czasu na czytanie, a przedtem prawie wszystko ginęło w płomieniach rewolucji rosyjskiej i wszelkie wiadomości, jakie do nas dochodziły były już poprzekęcane, często celowo spaczane, przeważnie nieprawdziwe. Nareszcie prawda z Polski. Nareszcie Ojczyzna przemówi do żołnierza językiem, który dźwignie, doda otuchy, rozbudzi wiarę, przepełni myślą zwycięstwa.

W miarę jak słuchaliśmy słów artykułu gąsły uśmiechy na twarzach, tężyły spojrzania, zaciskały się ręce. Skończyło się czytanie i zaległo głucho milczenie. Słychać było tylko zdyszane oddechy.

Autor artykułu w zręczny i subtelny sposób dowodził, że winnym odwrotu spod Kijowa jest Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz – Józef Piłsudski, którego nazywał p. Piłsudski. Wojnę o Kijów nazywał „wyprawą Kijowską” /tak powiedzmy, jak wyprawa na polowanie, lub wyprawa po złote runo/ i starał się udowodnić, że nikomu nie była ona potrzebna i spowodzi na Polskę wszelkie klęski. Dalej dawał między wierszami do zrozumienia, że wcale nie jest wykluczone, aby pomiędzy Tuchaczewskim a naszym Naczelnym Wodzem nie miał istnieć jakiś układ, na skutek którego odbywa się ten odwrot, jak również może już są przewidziane ostateczne cele tego odwrotu. Było to pomówienie Naczelnego Wodza o konszachty z wrogiem, czyli zarzut zdrady stanu. Wódz wszystkich polskich żołnierzy dla jakichś osobistych celów podjął „wyprawę kijowską”, a obecnie w porozumieniu z bolszewikami przeprowadzał odwrot, widocznie w tym celu, aby ostatecznie Polskę przyłączyć do ZSSR.

W taki sposób dowiedzieliśmy się prawdy o naszym Wodzu. Było to przywitanie straszne ponad wszelki opis i moment ten zaliczam do najbardziej wstrząsających w moim życiu. Był to pogrom wszystkich marzeń i wszystkich ideałów. Zaczynała się jakaś straszna i niepojęta nowa rzeczywistość.

Spoglądaliśmy na siebie osłupieni. Żołnierz, który odczytał artykuł stał jakiś czas mrugając oczami jakby nie rozumiał o co chodzi. Potem pomimo brudu na twarzy spurpurowiał, oczy mu wyszły na łeb, ręce się zatrzęsnęły. „O sk... syny” ryknął nieludzkim głosem, rzucił przeklętą szmatę na ziemię i począł ją deptać ciężkimi, okutymi butami. Po chwili pozostała garstka śmieci. Schwycił się za głowę i oparł o drzewo. Widziałem jak mu drgały ramiona.

Przebiegła przez nas jakaś słabość. Pochyliły się głowy. Bezradnie opadły ręce. Nie ma zbrodni większej na świecie, niż zachwianie na polu walki wiary

żołnierza w swojego wodza. Jeśli się tak dzieje każda walka musi być przegrana. Tylko, że w naszych sercach nie można już było tej wiary zachwiać, pozostawała natomiast intencja najbardziej podła, najbardziej niska ze wszystkich jakie człowiek może sobie wyobrazić.

Młody żołnierz, student z Kijowa, związał się obok mnie i jęczał:

– O jaka hańba... o mój Boże... to nieprawda... dlaczego kłamią, dlaczego tak strasznie kłamią.

Właśnie o to samo chciałby każdy z nas zapytać i jeszcze o wiele, o wiele innych rzeczy. Jakżeśmy mieli w tę Polskę iść, kiedy na samym progu spotkało nas żądło gadziny i doszedł nas syk zaplutego karła.

A przecież ten, otwarcie przez pismo pomawiany o prywatę, o niedołęstwo i o zdradę, „p. Piłsudski”, to nie był byle kto. Miał już za sobą wielką kartę konspiracji, miał Sybir i więzienia, miał stworzenie ruchu niepodległościowego, miał już za sobą całą epopeję legionową, miał Magdeburg, okupację, 11 listopada, miał już budowę państwa i wszystkie odniesione dotychczas zwycięstwa, miał również zdobycie Kijowa. Cóż to więc był za opryszek, za bandytę polityczny, który się ośmielał Wodzowi w ten sposób przeciwstawiać. Czy to był żołnierz? Czy to był jakiś mąż stanu? Od czyjego imienia przemawiał do nas w ten sposób – do nas – młodych żołnierzy Rzeczypospolitej.

Nie rozumiał może pismaka upadły, ani ten kto go inspirował, ani ten kto go popierał, co czyni. Ale czemu sobie ręki przedtem nie uciął i serca psom nie oddał na pożarcie!

Tylko, że nas nie można już było oszukać. Mielśmy poza sobą straszliwe widowisko rewolucji, duży wysiłek żołnierski w wielorakich formacjach żołnierskich na wschodzie, już całą otchłań ofiar i wyrzeczeń dla Ojczyzny, a przede wszystkim płomienną, tak samo gorącą jak miłość, pracę peowiacką. Dużo książek już zostało o tym napisanych i zapewne niejedna zostanie jeszcze napisana. Jeszcze żyją w Polsce ludzie, pisali nam artykuły o zdradzie Wodza i w szmatach swoich te artykuły wysyłał na front – niech czym prędzej te książki czytają, niech myślą o swoich zbrodniach, niech sobie przypominą przeszłość niedaleką, niech wyciągną z biurek własne rękopisy, niech przejrzą roczniki swoich czasopism. Te roczniki w których opluwa się Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, gdzie obrzuca się błotem elektora Rzeczypospolitej, skąd strzela się w plecy Pierwszego Prezydenta, gdzie później gloryfikuje się zabójcę, gdzie sprzeciwia wszystkiemu, co zdrowe w Polsce i twórcze. O, upiory polskiego życia, trucielle duszy żołnier-

skiej – coście zyskali, coście zdobyli, coście zwojowali?! Za lat kilkanaście waszymi imionami nianki będą dzieci straszyc. Według waszego obrazu przyszłość będzie się uczyła pojęcia o draństwie i podłości. Zejdziecie bezstawni i zapomniani. Pozostanie po was wspomnienie zbrodni, warcholstwa i ciemności, a tymczasem Ten któregoście opluwali, syty chwały i czynów – nieśmiertelny – od królów większy – przestał progi wawelskie – i spoczywa w glorii. Zajrzyjcie, Polacy, do historii POW na Wschodzie, do dziejów Komendy Naczelnej Trzeciej. Niech z tych kart, prócz wspomnienia, spłynie na was gorący płomień, ofiarny stos Kresów. Niech serca wasze zapali na zawsze.

Pamiętam wtedy na środek polany wypadł jakiś oszalały, czarnowłosy chłopak. Usta mu drgały i nie mógł złapać oddechu.

– Koledzy – krzyknął – żołnierze, czy wierzycie tym słowom z warszawskiej gazety... czy nie oswobodził nas Komendant... nie natchnął nas nową miłością dla Polski... nie rozniecił dusz naszych na całej Ukrainie?!

Dopiero teraz rozpęła się przerażająca cisza. Wybuchło naraz mnóstwo rozgorączkowanych głosów. Oburzenie zaczęło się wylewać w przekleństwach i złorzeczeniach.

– Chłopcy – krzyczał dalej – przyszedł na Ukrainę, bo chciał, aby obok Polski powstała wielka i wolna Ukraina... druga nasza Ojczyzna... ale to jest wojna... raz się wygrywa... raz się przegrywa.

– Tak jest! – krzyczały usta rozpalone. – Niech żyje nasz Wódz.

– My zwyciężymy – dał się dalej szalony chłopak – my tutaj powrócimy, bo to jest od wieków nasze... ale chłopcy... On będzie szedł z nami... On nas ocalał... On nas uratował... On nam ten mundur włożył na ramiona... niech przekłety będzie każdy zdrajca jego spraw... niech przepadną wrogowie honoru polskiego.

Wszystkie głosy ryczały naraz:

– Niech przepadną... niech zgina!

Szalony chłopak krzyczał dalej. Słowa mu się rwały, zgrzytały i ikały w gardle. – Przysięgnijmy teraz... przysięgnijmy wobec tej świętej ziemi, że całe życie pozostaniemy Jego wiernymi żołnierzami.

– Przysięgamy !– dudniło w lesie, a z dala, pod Malinem ciągle waliły jeszcze armaty.

– Przysięgamy życie Mu oddać w potrzebie... siły nasze... zdrowie nasze... krew naszą...

- Przysięgamy... przysięgamy.
- Przysięgamy walczyć ze zdradą i podłością... a Jemu... naszemu Wodzowi... Komendantowi Piłsudskiemu... Dziadkowi Ukochanemu... miłość i wierność do śmierci samej i poza śmierć.
- Przysięgamy... przysięgamy! – ryczały potężne, kresowe gardziele i głosy basowe.

Patrząc po twarzach widać było, że ludzie ci nie zawiodą, że nie zwykli miłości i wiary cofać, że raczej śmierć chętnie poniosą, niż chociaż na chwilę zwątpią w Wodza swego. W ten sposób i dnia tego, złowrogie piśmidło, pomimo swej woli, przyczyniło Komendantowi niemały zastęp ludzi oddanych na życie i na śmierć, a przeciwno sobie rozpało tyleż serc gorących i ofiarnych.

Ryk nasz musiał być groźny, kiedy aż przyleciał kuszykając, ranny w nogę kapitan H.

- Co się u was dzieje? – zapytał.
 - Nic – ktoś odpowiedział – przysięgliśmy.
 - Coście znowu przysięgali?
 - Nic... że Polsce będziemy zawsze wierni.
- Pokiwał głową zdumiony i wzruszył ramionami. Zaraz ktoś podbiegł, aby podtrzymać go pod rękę, gdyż porządne to było chłopisko.
- Głupie cholery – powiedział – przecież i bez tego wiadomo.
 - Wiadomo, to wiadomo – potwierdził jeszcze z naszych – ale od Malina już się zaczyna Polska prawdziwa.
 - Aha – mruknął kapitan.

Oczywiście o zatrutej szmacie nikt nie wspominał. Nawet przed samym sobą wstyd się było przyznać.

Jeszcze tego samego dnia, przed zmierzchem, doszliśmy do Malina. Obóz został rozбитý na skraju tego miasteczka nad jakąś rzeczułką, która w pewnym miejscu rozlewała się w jezioro. Większość wozów odeszła w głąb miasta, natomiast nad wodą zatrzymał się tylko nasz ściśle sztabowy oddział oraz kilkadziesiąt wozów z majątkiem i archiwami sztabów. Żołnierze, wobec zapowiedzi, że będzie to pierwszy dłuższy postój, nie wiedzieli jak się zachować. Niektórzy padli na ziemię jak podcięte snopy i niezwłocznie usnęli, inni złapali się za konserwy z „małym mięsem” i puszki z sucharami, jeszcze inni polecieli nad jezioro i po raz pierwszy od tylu dni oddawali się uciechom kąpiel. Do tych ostatnich należeliśmy my z Henkiem. Rozebrałem się w jednej chwili,

ale kiedyś ściągnął buty i spojrzął na swoje stopy ogarnęło mnie przerażenie. Jakież dwa ochłapy brudnego sinawo-czerwonego mięsa. Wydostałem jakimś cudem czyste onuce i kawałek mydła, poczem mydliłem się i myłem długie chwile. Była to rozkosz zupełnie niesamowita, toteż żołnierze jęczeli i prychali z uciechy. Nad wodą unosiło się kilkadziesiąt mokrych głów jakby stado fok. Czuję jak powraca mi życie, jak w ciało wchodzi nowa, świeża i czyste siły. Przyleciał goniec i zapowiedział, że jest rozkaz, aby wszyscy żołnierze po umyciu nóg i otrzymaniu nowych onuców zgłosili się na opatrunek do łapiducha.

Nie była to przyjemna zabawa. Jeden z sanitariuszy trzymał w rękach butelkę z jodyną, drugi wielki pędzel i każdemu z żołnierzy poranione nogi zalewało się najprościej jodyną. Jak wiadomo żołnierz może dużo wytrzymać, ale kiedyś patrzył, jak moi koledzy po tym zabiegu wyglądają ciarki mi wędrowały po całym ciele. Wyli wniebogłosy, stawali dęba na głowie, spotniali i z wyrazem przerażenia w oczach kręcili się na siedzeniach jak bąki w kółko ryjąc w piachu potężne leje. Później bladzi i wykrzywieni spoglądali w osłupieniu przed siebie.

Przyszła kolej i na mnie. Wiedziałem, że nie ma rady, że jest to jedyny ratunek przed zakażeniem. Po oblaniu mi nóg jodyną, przez chwilę patrzyłem, nic nie czując, jak brązowe języki lekarstwa rozpyłują się po moim ciele, poczem rozdarł mi mózg jakiś błyszczący, jakby wypolerowany i jednocześnie piekący ból. Załamałem ręce, zagryzłem usta, momentalnie i prawdopodobnie instynktownie stanąłem „dęba” na głowie. Tak było iżej, gdyż krew odpływała od nóg. Potem zawylem, wykręciłem siedzeniem „lej” w piachu. Spotniałem, osłupiałem i powoli wszystko minęło. Później z uczuciem wielkiej ulgi owinąłem stopy w czyste onuce i naciągnąłem buty. W tej chwili powrócił Henek z małego wywiadu, a był on już poprzednio wyjodynowany i oświadczył mi, że znalazł niedaleko nieduży domek wśród zarośli. Mieszka tam rodzina kolejarska. Wygląda na to, że może być dobra wyżerka i oprócz tego jest kilka ładnych panienek.

Znacznie mi więcej wówczas chodziło o żarcie, niż o panienki. Byłem chłopcem skromnym i nie znałem się jeszcze na flirtach, lub miłościach żołnierskich, jakkolwiek nie mogę powiedzieć, abym pod tym względem żadnych doświadczeń nie posiadał. Jakoś mi to jednak nie bardzo odpowiadało i nie bardzo interesowało. Żarcie i dobre spanie zawsze było wtedy ważniejsze, niż najładniejsze panienki.

Dom kolejarski był nieduży i żółty. Cały tonął wśród pnących dzikiego wina. Wyszedł starszy, o pocziwym wyrazie członków w kolejarskiej bluzie i zapytał, czy nie znamy Józka Kałatowskiego, bo to jego syn i musiał być pod Kijowem.

Nie znaliśmy Józka, ale przez wzgląd na jego wspomnienie, dostaliśmy wraz z różnymi słowami, rzewnymi i dumnymi, wielkie garnce mleka i pajdy chleba z masłem. Bardzo to smakowało po kąpieli. Później wyszły dwa ciekawskie i nieśmiałe dziewczątka, ale myśmy byli również nieśmiali więc rozmowa się nie kleiła, dopóki nie oświadczyły nam, że w ogródku jest wysoka huśtawka. Nie zważając na bojące nogi poleciliśmy z wielkim hałasem do ogrodu i po chwili bujaliśmy się pod same niebiosy. Daleko dudniły działa, a tuż obok szumił i hałasował nasz obóz. Huśtawka była wielka i pomieściliśmy się na niej we czworo. Dziewczynom śmigały sukienki. Rozradowany Henek szczyrzył zęby i coraz przysiadł dla nabrania tym większego rozpędu. Świat wytryskał wysoko i okragło, to chował się wśród bliskiej zieleni.

Wtem spokoj w wieczoru, a gwiazdy już wtedy zaczynały migotać i kładły się pod lasem dymy z ognisk, rozdarł straszliwy ryk sierżanta Ćwieka:

– Alarm... do broni... kozacy w lesie!

Wysoko rozhuśtani nie mogliśmy długi czas zatrzymać ruchu huśtawki. Biedne dziewczętka coś piszczały, z obozu dolatywał wielki hałas. Wreszcie udało się nam zeskoczyć i popędziliśmy do oddziału. Biegnać zobaczyliśmy dwóch kozackich jeźdźców w wielkich papachach galopujących przez las. Dopadliśmy do swoich karabinów i zajęliśmy miejsce w leżącej tyralierce. Okazało się jednak po chwili, że alarm był fałszywy i że galopujący przez las kozacy należeli do oddziału atamana Machno, który wraz z 800 ludźmi przeszedł na naszą stronę.

Sierżant Ćwiek miałby, oczywiście wyraz skruchy, gdyby posiadał inną twarz. Było to oblicze młode, ale tak jednostajnie opalone na czerwono i tak poorane bruzdami, że można się było na nim domyśleć każdego wyrazu, jaki kto chciał.

– Cholery – mówił uśmiechając się nieporęcznie – diabli nam mochów nadal, wyrznąć to bractwo czym prędzej.

Koło furgonu na którym jechał mój plecak zastałem siedzącego na ziemi Romka J. Miał postawioną obok, napoczętą już puszkę z „małpim mięsem” i był bez butów. Jedną brudną ręką sięgał po „małpie mięso” i napychał sobie gębę do obrzydliwości, drugą brudną ręką grzebał się w bardzo brudnych i jeszcze nie jodynowanych stopach. Na twarzy miał wyraz dużego skupienia. Widać było, że myśłami błąkał się gdzieś daleko. Siedział w moim pięknym, „beselerowskim” płaszczu, który mu podarowałem w Kijowie oraz na głowie miał swój zdobyczny, niemiecki hełm.

KONFERENCJA „POWTÓRKA Z HISTORII FEDERACJI MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ”



Od lewej siedzą: G. Baciński, A. Anusz, M. Lewandowski, A. Sznajder

27 października 2015 roku w Centrum Edukacyjnym IPN Katowice „Przystanek Historia” im. Henryka Sławika przy ul. Św. Jana 10, odbyła się konferencja z cyklu „Powtórka z historii”. Tym razem tematem była Federacja Młodzieży Walczącej. Organizatorami konferencji byli: Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach oraz Instytut Historyczny Nurtu Niepodległościowe-

go im. Andrzeja Ostoi-Owsianego w Warszawie.

Przyszło kilkadziesiąt osób, w tym grupy młodzieżowe z nauczycielami, byli działacze opozycji sprzed 1989 roku a także przypadkowe osoby, zainteresowane tematem.

Konferencję prowadził i podsumował dr Andrzej Sznajder – dyrek-

tor katowickiego oddziału IPN. Prelegentami były osoby, które nie tylko zajmują się badaniami naukowymi w zakresie opozycji antysystemowej w PRL w latach 80., ale także same brały udział w takiej działalności. Dr Andrzej Anusz i dr Grzegorz Baciński w przeszłości byli związani z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów, z kolei Maciej Gawlikowski oraz Mirosław Lewandowski byli działaczami Konfederacji Polski Niepodległej. Osobiste doświadczenia każdej z tych osób niewątpliwie miały wpływ nie tylko na ich podejście do tematu (część wiedzy nt. FMW czerpali oni ze swoich osobistych doświadczeń i kontaktów w tym środowiskiem), ale także uatwił prowadzenie badań, dzięki dobrej znajomości realiów tamtego okresu i specyfiki prowadzenia działalności opozycyjnej przez środowiska młodzieżowe.

Każdy z prelegentów miał na swoim koncie kilka pozycji książkowych poświęconych wybranemu tematowi. Anusz jest autorem m.in. monografii „NZS na ATK (1980-1989) na tle historii opozycji studenckiej”, Basiński - monografii „Federacja Młodzieży Walczącej w Warszawie 1984-1990” (będącej zarazem doktorem auto-

ra), zaś Gawlikowski i Lewandowski - monografii krakowskiej FMW „No Future!”.

Anusz omówił specyfikę opozycyjnej działalności młodzieżowej w PRL nawiązując nie tylko do historii FMW, ale także NZS czy Pomarańczowej Alternatywy. „Młodzi ludzie, odwołując się do tożsamości pierwszej Solidarności, nadali nowy sens i nową dynamikę temu ruchowi oraz podjęli nowe formy działania” - mówił Anusz. „Twierdząc, że właśnie to pokolenie wygrało starcie lat 1988-1989 z systemem komunistycznym w Polsce. Impuls do wyjścia z apatii połowy lat 80. dali właśnie ci młodzi ludzie. Jednak już ktoś inny korzystał z owoców tego sukcesu. Okazało się, że w polityce nie ma miejsca na sentymenty (...). Solidarność podpisując porozumienie z władzą zepchnęła na margines problemy młodzieży”.

Anusz podkreślił także, że w badaniach naukowych ostatnich lat jest coraz więcej pozycji poświęconych opozycji młodzieżowej (która do tej pory była marginalizowana w badaniach).

Basiński przedstawił obszerne omówienie swojej monografii po-

święconej warszawskiej FMW. Autor zaczął od omówienia inicjatyw uczniowskich z lat 1980-1981, wymieniając w szczególności Federację Młodzieży Szkolnej, której kontynuacją - jego zdaniem - była Federacja Młodzieży Walczącej. W tym miejscu warto podkreślić, że o ile teza ta może być uzasadniona w odniesieniu do Warszawy (gdzie rzeczywście niektórzy założyciele FMW byli w przeszłości związani z FMSz), o tyle jest całkowicie nieprawdziwa, gdy idzie np. o Kraków (gdzie FMSz w ogóle nie było, a FMW miała zupełnie inną genezę). Generalnie wydaje się jednak, że rola FMSz, także w odniesieniu do Warszawy, jest przeceniana, gdyż grupa ta powstała dopiero we wrześniu 1981 roku, dość szybko się podzieliła i zanim rozwinęła na dobre działalność w niektórych przynajmniej ośrodkach (Warszawa, Gdańsk) została rozbita wskutek wprowadzenia stanu wojennego. Warto też pamiętać, że FMSz nie pozostawiła po sobie żadnego dorobku ideowego a jej postulaty sprowadzały się do kwestii reformy systemu edukacji.

Następnie Basiński omówił działalność opozycji uczniowskiej po wprowadzeniu stanu wojennego, by

wreszcie dojść do wydarzenia, które miało miejsce w czerwcu 1984 roku na nadwiślańskiej łączce na Pradze-Półdnie w Warszawie. Spotkało się tam kilka osób (m.in. Artur Dąbrowski, Tomasz Rogulski, Jacek Górski, Cezary Rautusko) i zdecydowało o utworzeniu opozycyjnej grupy. Grupa ta wkrótce przyjęła nazwę Federacja Młodzieży Walczącej, co przypominało nazwę FMSz (i prawdopodobnie ta zbieżność nazw jest źródłem tezy, że FMW była kontynuacją FMSz).

Autor omówił formy działalności warszawskiej FMW (które polegały głównie na akcjach małego sabotażu), podkreślając, że z czasem struktura ta utraciła swój impet. „Ta organizacja na przełomie 1988 i 1989 stała się organizacją jednoosobową” - podkreślił Basiński, mając oczywiście na myśli warszawską FMW.

Dużo miejsca w swoim wystąpieniu Basiński poświęcił także innym organizacjom uczniowskim i młodzieżowym funkcjonującym w Warszawie w latach 80. a także pismu „Uczeń Polski”. Autor wymienił kilku redaktorów tego pisma (wspominając m.in. Piotra Kraśko i podkreślając,

że jego kariera w mediach po 1989 nie jest wynikiem nomenklaturowego pochodzenia - jak niektórzy mu zarzuca - ale działalność w opozycji młodzieżowej, w tym właśnie w „Uczniu Polskim”.

Lewandowski w swoim wystąpieniu skupił się na omówieniu genezy FMW w Krakowie oraz omówieniu pierwszych lat jej działalności (od 1985 do 1987). Krakowska FMW została założona przez młodzież nowohucką, która wyrosła w specyficznym środowisku robotniczej dzielnicy Krakowa (będącej w tamtym czasie pustynią kulturalną) i dojrzewała w atmosferze walk ulicznych, jakie miały miejsce w tej dzielnicy Krakowa w drugiej połowie 1982 roku oraz 31 sierpnia 1983. Ta specyficzna atmosfera doprowadziła do powstania dwóch grup młodzieżowych, zorganizowanych głównie według klucza osiedlowego, skupionych wokół Piotra Fugla i Włodzimierza Pietrusa.

Autor omówił formy działalności tych grup (nie tylko mały sabotaż, ale także akcje z udziałem materiałów wybuchowych czy też „zamachy” na mieszkanie i mienie osób kolaborujących z komunistyczną władzą). Gru-

py te po wakacjach 1985 roku zaczęły wydawanie pisma „ABC Młodych”, przyjęły nazwę Ruch Młodzieży Niezależnej (przypadkowa zbieżność z nazwą organizacji młodzieżowej, która w latach 80. funkcjonowała w Gozrowie Wielkopolskim) i pod taką nazwą przystąpiły na początku listopada tego roku do FMW. łącznikiem między środowiskiem krakowskim i warszawskim był trzeci z założycieli FMW w Krakowie - Robert Kubicz.

Krakowska FMW przez pierwszy rok swojej działalności funkcjonowała anonimowo i z tego powodu nie zwróciła uwagi SB. Sytuacja zmieniła się dopiero w roku szkolnym (bo to właśnie lata szkolne a nie kalendarzowe wyznaczały rytm funkcjonowania tego uczniowskiego środowiska) 1986-1987 a zwłaszcza po pielgrzymce Jana Pawła II do Polski w czerwcu 1987. Krakowska Federacja zdecydowała się wówczas na demonstrację siły. Na krakowskie Błonie przybyło co najmniej 100 osób związanych z tym środowiskiem, mieli nie tylko transparenty (które rozwinęli w czasie mszy), ale także materiały wybuchowe. Po uroczystościach religijnych, w rejonie DH „Jubilat” doszło do starcia tej młodzieży z milicją, które

zostało przedstawione przez komunistyczną propagandę, jako przykład działań o charakterze terrorystycznym. Akcja spowodowała początkowo nawet pewną paniką w środowisku federacyjnym (obawiano się represji ze strony SB), ale wkrótce okazało się, że miała ona duże znaczenie propagandowe i przyczyniła się do gwałtownego wzrostu popularności organizacji w całym mieście (co przełożyło się na wzrost liczby uczestników i sympatyków). Zaś obawy dotyczące represji okazały się płonne, bowiem SB nigdy nie ustaliła osób, które użyły wtedy ładunków wybuchowych (aczkolwiek rozpoczęła poważną inwigilację całego środowiska, m.in. z wykorzystanie tajnych współpracowników).

Podsumowując pierwszą część konferencji Andrzej Sznajder powiedział: „Każde pokolenie powojennej Polski miało swój czas buntu”. Wymieniał tutaj trzy generacje buntów

zostało przedstawione przez komunistyczną propagandę, jako przykład działań o charakterze terrorystycznym. Akcja spowodowała początkowo nawet pewną paniką w środowisku federacyjnym (obawiano się represji ze strony SB), ale wkrótce okazało się, że miała ona duże znaczenie propagandowe i przyczyniła się do gwałtownego wzrostu popularności organizacji w całym mieście (co przełożyło się na wzrost liczby uczestników i sympatyków). Zaś obawy dotyczące represji okazały się płonne, bowiem SB nigdy nie ustaliła osób, które użyły wtedy ładunków wybuchowych (aczkolwiek rozpoczęła poważną inwigilację całego środowiska, m.in. z wykorzystanie tajnych współpracowników).

Na koniec tej części konferencji zebrani mieli możliwość zadawania pytań prelegentom.

Po przerwie miała miejsce dyskusja panelowa z udziałem Macieja Gawlikowskiego, Mirosława Lewandowskiego i Grzegorza Basińskiego, prowadzona przez Andrzeja Sznajdera. Pytanie zadane przez prowadzącego brzmiało - czy, a jeśli tak to jakie znaczenie dla losów uczestników FMW miała ich działalność opozycyjna w latach 80.?

Po 4 godzinach ciekawej dyskusji spotkanie się zakończyło, aczkolwiek temat na pewno nie został wyczerpany.



POZYCJE

WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



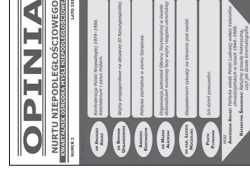
DEMOGRAFIA
KWANTYFIKACYJNE CZYNNIKI ROZWOJU
seminarium warszawskie



PIERŚCIEŃ GYGESA
autorstwa Bohdana Urbankowskiego



NZS NA ATK
autorstwa Andrzeja Anusza i Łukasza Perzyny



OPINIA
kwartalnik Ośrodka Myśli Niepodległościowej



Od lewej siedzą: G. Baciński, M. Lewandowski, M. Gawlikowski, A. Sznajder

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl

POLECAMY KSIĄŻKĘ

GRZEGORZ BACIŃSKI
FEDERACJA MŁODZIEŻY WALCZĄCEJ
W WARSZAWIE 1984-1990

